

JAN KANTY GREGOROWICZ NA WŁÓCZĘDZE

Opowiadanie historyczne

CZEŚĆ PIERWSZA.

I

W północno-zachodniej stronie Węgier, u samego podnóża Karpat, zamieszkuje lud Słowaków, należący do wielkiego szczepu Słowian, a dziś liczący się do królestwa węgierskiego. W dziewiątym wieku z sąsiednią Morawą, pod królem Światopełkiem, Słowaki należeli do utworzonego przez niego królestwa Wielkiej Morawii, które długo opierało się potędze sąsiednich Niemiec, ale gdy cesarz Arnulf, nie mogąc Światopełka zmódrz, przyzwał w pomoc Węgrów, świeżo osiadłych w okolicy Dunaju, Wielka Morawa upadła i rozbita na części, w większej połowie stała się łupem Niemców, a wschodnią jej stronę zagarnęli zwycięzcy Madziarowie.

Pomimo jednak tej klęski, z której się dotąd nie dźwignęli i jarzma podboju przeszło lat tysiąc trwającego, Słowacy zachowali swój język i narodowość i ludność ich, pod panowaniem węgierskiem, wynosi przeszło dwa miliony.

Jest to Ind poczciwy, pracowity, ale biedny, bo z każdej strony uciskany. Wszystkie też pieśni jego są pełne tęsknoty, i narzekając w nich na swoją dolę, powiada: — Hej! bracia Słowacy! śpiewajmy po pracy, każdy bierze, nic nie daje, każdy woła: daj! daj! daj! a⁴ty krzyczysz: aj! aj! aj!

Śpiewanie u Słowaków jest niezmiernie upowszechnione: tak jak u nas, Słowaki śpiewają przy chrzcinach, weselach i pogrzebach, śpiewają przy pracy, zabawie, w smutku i radości, pieśń rozlega się wszędzie w doli i niedoli, płynie jak fala Dunaju, to cicha, to jasna, to niewinna, jak świągotanie skowronka w poranku, to zmacona wichrem* i burzą, ale płynie wszędzie bez przerwy. Słowacka niewiasta; powiada Kotar, zbieracz pieśni ludowych, a pochodzący z rodu Słowaków, ożywia śpiewem pola, winnice, zagrody, pa górki i doliny; gdy jej niema, tam pusto i głucho, stąd powstało przysłowie w Węgrzech: gdzie Słowaczka, tam i śpiew. Ona sama powiada:

To boże słoneczko po niebie przebiega, A piosnka słowiańska w polu się rozlega.

Pomiędzy takim to ludem, w wiosce, zowiącej się Bożygród, mieszkał przy kościele proboszcz, zwany powszechnie Ojcem Michałem, zacny, prawy, wykształcony naukowo i niezmiernie przez swych parafian kochany i szanowany. Był też ich prawdziwą opatrnością, leczył w chorobie, radził w kłopotach, czem mógł dopomagał, o co nieraz pozprzeczał się z siostrą swoją ro- .dzoną, panią Barbarą, która zajmowała się całem gospodarstwem domowem.

Pani Barbara miała już przeszło lat czterdzieści. Proboszcz był od niej starszy o lat kilka, mimo tego był dla niej z wielkiem uszanowaniem i nigdy inaczej nie nazywał tylko Basią, albo panią siostrą. I ona była także bardzo dobrą osobą, aie niezmiernie gadatliwą, zawsze narzekającą na biedę, w czem było i wiele słuszności, bo dochody zacnego proboszcza bardzo skąpą cyfrę przedstawiały.

Jednego dnia w lecie, zacny proboszcz tylko co wróciwszy z pola, usiadł w ganku swego skromnego domku. Słońce już chyliło się ku zachodowi, domek razem z ubogim kościołkiem mieścił się na wyniosłości panującej nad całą wioską, której chaty rozsypane były poniżej w różnych miejscach, poprzedzielanych parowami. Przy nich bawiły się małe dzieci, gdzieś siedziały matki zajęte robotą, czasem pięś zaszczekał, lub zakrakała wrona, a od pola dolatywał świergot ptasząt, ryk bydła i śpiew pracownic wiejskich.

' Ojciec Michał, osłoniwszy się cieniem wystawki, zdjął szeroki kapelusz, jakiego i lud także używa, położył przy nim łaskę domowej roboty, całą sękami zaopatrzoną i wpatrzył się w piękny krajobraz, dokoła się rozpościerający.

Wtem wyszła z zabudowań gospodarskich pani Barbara i usiadłszy przy proboszczu, zajęła się naprawą bielizny, od której tylko co na chwilę powstała.

— Prawda, Basiu.— odezwał się proboszcz—jaki piękny widok z naszego ubogiego domeczku, toć i król piękniejszego ze swego pałacu mieć nie może.

8 "li" ,

— E! co mi tam widok znaczy! — odrzekła Barbara, — kiedy z niego ani jeden bochenek chleba do śpiżarni nie przybędzie.

— Albo go nam kiedy brakuje ? — odrzekł proboszcz.— Bogu dzięki, mamy wszystko, czego nam potrzeba...

— Ho! ho! — przerwała Barbara, — mamy, to prawda, ale z mego starania i zabiegu, bo gdybym tak jegomości pofolgowała, tobyś wszystko jednego dnia rozszaflował i sam umarł z głodu.

— Moja pani sestro! — odrzekł poważnie proboszcz,— Bóg miłosierny pamięta o każdym robaczku, miałżeby o mnie zapomnieć?

— Ja wiem, że miłosierny, ale to grzechem, mój panie bracie, tak się spuszczać we wszystkim na łaskę Bożą, — odparła Barbara. — Bóg dał człowiekowi rozum, żeby starał się i zabiegał około swego dobra.

Pocziwy proboszcz uśmiechnął się i widząc, że siostra umilkła, odezwał się po chwili:

— Nie wiedziałem, że imość pani siostra, umiesz takie piękne mówić kazania. Jakby to ślicznie było, gdybyś mnie mogła zastąpić na ambonie...

— Jegomość żartuje, — odezwała się już trochę rozniewana Barbara, — a ja naprawdę powiadam, że w tej ubogiej dziurze zmarniejemy, jeżeli jegomość nie postara aję o., przeniesienie do lepszej,/parafii.

— Jaby miał stąd wynieść się! — zawołał proboszcz ze zgrozą, — opuścić tych pocziwych ludzi, z którymi przeżyłem już przeszło lat dwadzieścia, pomiędzy którymi wszystka młodzież jest, jakby mojemi dziatkami! O! nie, pani siostró, nie zrobiłbym tego za nic w świecie. Czyż nie widzisz, jak jestem kochany i szanowany przez całą ludność tutejszą? Toć z nią składam, jakby jedną rodzinę, miąłzebym ją Opuścić?., po co i dlaczego?

— Oto dlatego, żeby miała za co jegomości sprawić nową sutannę, 'bo ta, 'co ją nosisz, już wytarta ze szczeniem, -żebyś miał bieleznię całą i buty także nie z latami-jedna na drugiej, żebyś miał zawsze szklanę piwa przy stole,- a choć W święta, kieliszek wina, żebyś...-

— Żeby miał powóz z czterema końmi,—przerwał proboszcz, — lokaja, kamerdynera i kucharza.

— Jegomości zawsze się niepotrzebne żarty trzymają,— gniewając się,, gdrzekją Barbara.— Kiedy więc

riO

jegomość nie citcesz wynieść się stąd na lepsze probostwo, to ja pójdę w świat od ciebie i samego cię . tu zostawię, a jak ói bieda dokuczy i głód dobrze dogryzie, to dopiero i poznasz, że siostra Barbara dobrze radziła. - ';

— Basiu! Basiu! — zawołał proboszcz wzruszony,—czyż miałabyś serce rozstać się ze mną?

— Z żalu i tęsknoty możeby umarła, — odrzekła Barbara, ocierając 'lzy w oczach— 'ale mnie się serce kraje, gdy sobie pomyślę, że ty, bracie mój, taki dobry i pocziwy, a żyjesz nieraz, jak ostatni biedak, gdy inni, mniej daleko warci, a rozpierają się w zbytku, jakby co najlepszego!

— Taka widać Boża wola, —' odrzekł proboszcz, przychylając głowę z pokorą,—podać się jej bez szemrania należy. Tak jest dobrze zawsze, jak Bóg. postanowi; gdzieindziej możeby więcej było korzyści, ale mniej szczęścia, którego za nic w świecie nie kupi. A jam tak szczęśliwy, że nic więcej nie pragnę, tylko żeby mnie Bóg tefn szczęściem do końca życia darzył. Życie krótkie... ';

— Ale w niedostatku długo się wlecze! — domówiła Barbara.

n

— W niedostatku? — zapytał proboszcz zdziwiony. — Czemuś mi o tern dawniej nie mówiła? Jeżeli brak w czem ci dolega, to trzeba temu radzić, zapobiegać, przestanę pić kawę rano, wyrzeknę się tabaki...

— I obiadu, a na bosaka sprawować będę posługi kościelne! — domówiła Barbara z westchnieniem.

— A dlaczegoż nie? — pytał proboszcz.— Gdyby cię to, moja Basiu, miało wybawić z kłopotu, to zaraz od jutra...

— Ach! mój bracie, nie mów tak, zawsze myślisz tylko o drugich, nigdy o sobie...

— A ty o mnie, pani sestro!-

— A bo tak należy, panie bracie!

— I mnie tak należy o drugich myśleć. Bóg więcej ma, niż rozdał, a wszechmocny i miłosierny, niepojęty rozumem, mową niewysłowiony, myślą nieogarnięty, wszędzie obecny, choć niewidzialny, kto Mu ufa z całą wiarą, czyż może troskać się o co?

— To prawda, to prawda, mój kochany bracie,— odrzekła Barbara, — święta twoja mowa idzie prosto do serca, napelnia je pociechą i błogością. Niechże się więc dzieje, jak pragniesz, a żebyś przekonał się, że

u nas w szpizarni nie pustki, to cię poczęstuję kawą z kozuszką, jak to lubisz, i z grzankami świeżo upieczonemu

— Ho! ho! — zawołał proboszcz z uśmiechem, — to widać jakaś u nas uroczystość i to nie małej wagi, skoro kawą powtórnie mnie częstujesz.

— Tak, wielka uroczystość, bo jutro przypada rocznica twego, mój bracie kochany, wyświęcenia kapłańskiego...

— Wiem, wiem o tem...

— Dlatego dziś napijemy się kawki,— przerwała Barbara, już zupełnie rozweselona, a jutro uczęstuję cię obiadem z kurczętami i leguminką.

— Pani Biostro, — odezwał się proboszcz,— jakże możesz przy takich zbytkach narzekać na biedę? A toć to będzie obiad pański, a nie wiejskiego skromnego plebana.

Pani Barbara nic już nie odrzekła, tylko z serdeczną czułością ucałowała brata w rękę i poszła do kuchenki przygotować zapowiedzianą kawę. Kiedy wreszcie zasiedli oboje do podwieczorku, w ogrodzenie gospodarskie wszedł włościanin z listem w rękę, i oddając go z ukłonem proboszczowi, oświadczył, że go wójt

przywiózł z poczty i kazał zanieść na plebanią. Rzadkie to było zdarzenie; proboszcz też zaciekawiony, zaraz list'odpieczętował. Smutna się w nim mieściła wiadomość. Ktoś zupełnie niezajomy donosił proboszczowi, że przed kilku miesiącami krewniaczka jego, pani Kowasowa, wdowa po urzędniku, umarła w Debreczy- nie, pozostawiając małą fortunkę tysiąc reńskich wynoszącą i syna Jana, dwunastoletniego sierotę, którego rada familijna postanowiła przesłać do proboszcza w Bo- żogrodzie, jako jedyne go krewnego, na opiekę, i obowiązuje się dobrowolnie dawać rocznie po sto reńskich, na pokrycie wydatków stąd wyniknąć mogących. W końcu dodano, że Janek w drogę wysłany zostanie zaraz w tydzień po napisaniu listu.

— Otóż nowa bieda! — zawołała Barbara.— Sto reńskich na utrzymanie takiego dryblasza, co zjadłby konia z siodłem i podkowami, to mi płaca dopiero! Napisz jegomość, że go przyjąć nie możesz, bo sam jeść co nie masz!

— To na nic się nie zdało, bo . chłopiec już w drodze..'

. — To jak przyjedzie, każ go zaraz wójtowi wypędzić ze wsi.

— Basiń", jakże możesz coś - podobnego doradzać?

— Więc cóż z nim zrobimy ? — zapytała: Barbara.

— Jeszcze nie wiem.

— Oho, to'już wiem, że nam nowa gęba przybędzie do żywienia.

• Proboszcz chrząknął hm! hm!

— "A co, nie powiedziałam! — krzyknęła Barba* ra. O! co na to, to nigdy nie pozwolę. Rób jegomość có chcesz, a ja ha taką krzywdę księdza brata'nie pozwolę.

— ' Ależ, parti sestro', ' nie- unoś się! — ódrzekł proboszcz. —Przecież nie powiadam, że go przy sobie zostawię... * .

: ' — Ale jegomość chrząknęłaś, a ja wiem, co to znaczy. ' • " -!'.■ ? ■ ' '•-> •> ^ < •

■■■■';■

-r- Najprzód musimy go poznać, mówił dalej proboszcz, a potem Uradzimy wspólnie, co z nim zrobić, czy odesłać... tylko gdzie? - • i - , ."

— Byle-gdzie, choćby na koniec świata! — odrzekła Barbara. — Cobym się miała o to frasować!..

—^L Zapewne, — potwierdził proboszcz, sierot Bóg opiekunem, to frasować się o niego nie potrzeba.

Przez cały ten dzień, a nawet drugi i trzeci, p a ni Barbara była bardzo gniewna i tetryczna, i cę chwila powtarzała:

— A to czysta kara Boża z temi przybłędami różnego rodzaju. Jeżeli to chłopak przysadzisty, a z pyskiem jak dynia, to pewna nasza zguba, bo tacy dzień i noc jedliby, a zawsze głodni. Z księdzem bratem nic nie poradzi, on by sobie z ust wyjął, a nakarmił drugiego, to już taka natura! Wiem, że teraz o niczem nie myśli, tylko o tym chłopcu, co ma się tuczyć na naszej chudobie.

Zacny proboszcz rzeczywiście myślał o nim ciągle, ale jako o sierocie przez wszystkich opuszczonym, zupełnie inaczej od siostry.

— Sierot Bóg opiekunem—myślał sobie—a mnie niegodnego, Opatrzność obrała za narzędzie swej łaski. Do domkn mego wchodzi nowa radość, jak promień słońca, co wszystko ożywia. Za ten nowy dar, za ten skarb, jakim bogaci się me serce, dziękuję Ci, Panie w pokorze mego ducha. Strzegąc sieroty, którego, Panie, oddajesz w moje ręce, rozkażesz chmurom, aby gradem nie niszczyły pól naszych, piorunom, aby nie paliły naszych zabudowań, burzliwym wiatrom, aby nie przy nosiły pomoru na ludzi i bydło, a polom, aby obficie plonowały, aby do każdego kłoska przybyło jedno ziarenko na pomoc dla sierotki, którego powierzasz mojej opiece. O! dzięki Ci, Panie! Z łaską swą wchodzisz w progi mego domku ubogiego, Ty, niepojęty Boże, którego wszechmoc głosi wszystko, począwszy od najmniejszej trawki, osłaniającej małego robaczka, aż do gór wyniosłych, nad których szczytem orzeł się unosi.

Ma włóczędzie Cl. I.

»7

II.

Zajęty takimi myślami, proboszcz był w najlepszym usposobieniu, o spodziewanym jednak sierocie nie robił najmniejszej wzmianki, a pani Barbara była pewną, że się nim nie zaprzęta; gdy tydzień minął, a zapowiadany gość nie przybywał, przypuściła wreszcie, że może inaczej postanowiono, i od tej załogi zupełnie uwolnieni zostaną.

Tak minął tydzień cały, zeszło dwa dni jeszcze, przyszła sobota i przed wieczorem znowu proboszcz, po powrocie z pola, zasiadł na ganku, oczekując na podwieczorek, zawsze przez niego o tej porze spożywany. Składał się zwykle z kwaśnego mleka i kromki razowego chleba. Gdy proboszcz zajmował się jedzeniem,

Barbara zasiadła przy nim, opowiadając różne kłopoty gospodarskie i nowinki na wsi pozbierane. W tym dniu szczególnie była wesola, wylęgło się jej stado kaczek i ani jedno jajko nie zepsnęło, a jałoszka wychowana przez nią skończyła dwa lata, i jeden z gospodarzy chciał ją koniecznie kupić, ofiarując cenę wyższą, niż się pani Barbara spodziewała.

— Sprzedam ją, — mówiła, — ale jeszcze nie teraz, razem z kaczkami, jak wyrosną, i za wzięte pieniądze sprawię ci, księżu bracie, nową sutannę, bo ta, którą masz, to jnż w kawałki się rozlatuje. Jeżeli co jeszcze zostanie od tego wydatku, to ci kupię buty ciepłe i czapkę na zimę futrzaną... »

— A to po co? — przerwał proboszcz. — Bez butów ciepłych i czapki obejdę się, a lepiej, żebyś, moja Basiu, sprawiła sobie na zimę kożuszek...

— Kożuszek! — zawołała Barbara, składając ręce, — a tobym' w nim ślicznie wyglądała! A mnie co po koźńchu. Czyż nie mam kaftana dobrze wy watowanego? Co to za zbytki księdzu bratu do głowy przychodzą?

Proboszcz chciał dalej dowodzić potrzeby tego sprawunku, ale nagle dwa psy podwórzowe przy wro-

tach leżące, zerwały się ze szczekaniem i pobiegły w dół drogi, prowadzącej do probostwa, zwiastując przybycie kogoś obcego.

Proboszcz odniósł się z ławki, przysłonił oczy od słońca i niebawem z pod góry wytknęła głowa idącego, potem pokazał się cały korpus jego, prosto ku wrotom zdążającego.

Był to chłopczyna lat dwanaście mający, smukły, zgrabny i ubrany według stroju Słowaków, w koszulę białą, w spodnie także wyszywane czarnymi sznurkami, w buty z cholewami aż pod kolana i w czarny pilśniowy kapelusz, twarz mu cały ocieniający. Na kiju, opar- tem na ramieniu, zwieszało się spore zawinięcie ściśle upakowane, a dwa psy podwórzowe szły przy nim, kręcąc ogonami i poszczekując radośnie, jakby witały dobrze sobie znajomego.

— A ty, chłopczyno, co za jeden? — zapytał proboszcz.—Psy nasze są dosyć złośliwe, a tak przyjaźnie się z tobą obchodzą, to mnie dziwi.

Poczuli, że psy lubię, bo u nas psów dosyć było na wsi, — odrzekł chłopczyna, i zdejmując kapelusz, mówił dalej: Powiedziano mi, że tu mieszka ksiądz proboszcz Michał.

ao
— A tak, to ja jestem, cóż chcesz ode mnie, moje dziecko?

— Jestem Janek Kowas, biedny sierota, bez ojca i matki,—odrzekł chłopczyna,—ten, o którym to opiekunowie pisali, że mnie przyślą na opiekę do księdza proboszcza, mego krewnego!

Rzekłszy to, pocałował go w rękę.

Pani Barbara porszyła się niespokojnie i szapnę- ła gniewnie:

— Krewnego, krewnego! Do miski, a pełnej, to krewnych nigdy nie brakuje!

— Pani siostrze,— odezwał się proboszcz znacząco, stając niejako w obronie chłopczyny.

— To siostra księdza proboszcza, pani Barbara?— zapytał Janek.

— A ty skąd wiesz, że się tak nazywam? — zapytała szorstko, marszcząc czoło.

— Kiedy opiekunowie wyprawiali mnie w drogę, — odrzekł Janek z westchnieniem, — to powiedzieli, że ksiądz proboszcz dobry jak anioł, będzie mi ojcem, a siostra jego, pani Barbara, choć niby gnie* wliwa, ale poczciwa bardzo kobieta, będzie mi matką,

Ojca mało pamiętam, ale matkę zawsze mam w myśli... tak ją kochałem... — tak mi dobrze było przy niej...

Janek, mówiąc to, przykląkł przed Barbarą na jedno kolano i całując ją pó rękach, rozplakał się rzewnie.

— No, no, nie płacz chłopczyno,—odezwała się Barbara,—ale skąd to ci twoi wielcy opiekunowie wiedzą, że ja jestem gniewliwa?

— Tak mi powiedzieli,—odrzekł Janek, łzy ocie¹ rając, — ale ja sobie zaraz pomyślałem, że mnie przecież nie zje, choćby nawet...

— Ale ty tobyś zjadł, choćby całe ciele, żeby było upieczone! — przerwała Barbara, niby gniewnie, widząc, że się proboszcz uśmiechnął.

— Ha! zjadłbym, — odrzekł Janek, — ale choć jestem dobrze głodny, to cielęciu całemu nie poradziłbym. Tak z połowy ćwiartki, toby może tylko kości zostały.

— A co, nie mówiłam! — zawołała Barbara, — że taki młody, toby zjadł konia z podkowami. A skąd tu brać na taki wydatek?...

— Oh! to prawda, — odezwał się smutnie Janek. — Nie pomyślałem o tem. Kochana matka nigdy się tak do mnie nie odzywała... Pójdę więc w świat dalej...

— Gdzie, gdzie? — zapytał proboszcz niespokojnie.

— Gdzie mnie oczy poniosą.

— A to impetyk! — mruknęła Barbara, — przecież cię nie wyganiam, a jeżeli myślę o twoim apetycie, to nie ze złą wolą, tylko z gospodarskiego zabiegu, bo nowa gęba do miski, to nowy wydatek.

— To prawda, — odrzekł Janek, — że na ochocie do jadła mi nie zbywa, ale mi matka zawsze mówiła, że bez pracy niema płacy, ja też na to co zjem, to zapracuję, bobym się sam przed sobą wstydził, żebym był darmożjadem.

— Hm! to wcale nie głupio, jak na takiego wyrostka,—mruknęła Barbara, a proboszcz rzekł:

— To bardzo pięknie powiedziałaś. Matka twoja była widać bardzo rozumna kobieta, skoro tak szlachetne zasady wpajała w ciebie.

— Oh! księżę proboszczu, tak była roznmna, jak dobra! — z zapalem odrzekł Janek, a potem z dumą

dodał: — aie to nic dziwnego, wychodziła z rodu Szechenych, a to ród bardzo starożytny i szlachetny i czują, że we mnie krew Szechenych krąży.

— Moje dziecko, — odezwał się proboszcz, — wszyscyśmy dzieci jednego Ojca Boga, a im większe zasługi naszych przodków, tern większe obowiązki.

— I tego mnie matka uczyła, — odrzekł Janek, prostując się. — Wiem kim jestem i wiem czem mam zostać.

— Ej! nim czem zostaniesz na świecie, — odezwała się Barbara, — to lepiej powiedz, jak to umiesz na chleb pracować, żebyś nie był darmożjadem.

— .Umiem jeszcze niewiele, — odrzekł Janek, — ale mam do wszystkiego ochotę, to się każdej rzeczy nauczę. Umiem jednak posługiwać przy nabożeństwach kościelnych, umiem trochę grać na organach i na skrzypcach, hodować kwiaty w ogrodzie, kopać rydlem, powodować końmi, młócić cepem, karmić bydło, a choćby gęsi i indyki...

— Ho! ho! toby z ciebie mógł być nawet folwarczny parobczak!— rzekł proboszcz, a Barbara zaraz dodała półgębkiem:

— Brakuje nam właśnie takiego pomocnika.

— A mógłbym być, — odezwał się Janek.— Kochana matka zawsze mi mówiła, że żadna praca nie hańbi, a każda chleb daje, dlatego ubierała mnie po wiejsku, jak dziś chodzę, żebym w hardości nie wzrastał, bo zawsze jej mówiłem, że ród nasz muszę dźwignąć i obok Szechenów postawić Kowasów.

— Co to mu się roi w głowie!—powiedziała Barbara,—a pytluje, jak najęty. Jeżeli tak będziesz umiał pracować, jak mleć językiem, to ci chleba nigdy nie braknie.

— I ja tak myślę, — odezwał się Janek, — dlatego śmiało tu przyszedłem, bo wiem, że wysłużę się za opiekę; na ubranie starczy mi sto reńskich, co mają za mnie płacić, a jeżeli po tygodniu powiecie mi, ruszaj sobie w dalszą drogę, a nam nie zawadzaj, to zabiorę swoje sieroctwo, manatki na nowo upakuję, ucałuję wam ręce i ruszę w świat szukać innej doli. Smu- tno by mi jednak było Bożygród opuszczać...

— Prawda, że piękna nasza okolica?—rzekł proboszcz, takiej nigdzie nie napotkasz.

— Ej! nie okolica mi się podoba, — odrzekł Ja-

nek, — ale ten aomek z wystawką, podobny do naszego wiejskiego dworkn, i ksiądz proboszcz z panią Barbarą, jakbyście wyszli z mego serca i nie ustami, ale sercem do mnie przemawiali. Prawda, że byle czem głodu nie zaspokoję; jak jem, to mi się tylko uszy trzęsą, a oczy wyglądają dolewki, ale na wsi będę za jadło uczył dzieci, a resztę dojem na probostwie, to i jakoś z wilczym moim apetytem poradzę sobie.

Patrzajcie, moi kochani, — odzwała się Barbara.—Jaki to z niego mechanik, a rozprawia, jak minister.

— Jak zostanę nim, to pani podziękuję za prorocstwo.

— Co to mu się zachciewa! Ministrem chcę zostać.

— Ej! proszę pani,—odrzekł Janek,—ja na ministerstwie nie poprzestanę i zostanę księciem.

— Może królem?

— A dlaczegóż nie!

«— No, no,—odezwała się Barbara,— takiego wygadanego chłopaka, to nie wszędzie spotka!

. — I ja tak myślę,—potwierdził chłopak,—bo ko
chana matka zawsze mi mówiła: dziękuj Bogu za to, co masz, a staraj się o więcej.

— To akurat,—odezwała się Barbara, — jak mój brat, ksiądz proboszcz, który zawsze powiada: — raduj się, gdy masz mało, a staraj się, abyś miał jeszcze mniej.

Proboszcz mruknął i odrzekł:

— Skończ, pani sestro, a pomyśl lepiej o pożywieniu naszego młodego gościa.

— Właśnie myślę o tem, — odrzekła Barbara,— ale się lękam, czy nasze proste jadło będzie smakowało takiemu, co ród wie dzie od Szechenych, a myśli zostać ministrem, a nawet królem.

— O! niech pani będzie spokojną, — odezwał się Janek, — w jedzeniu nie przebieram, jak organista na klawiszach, i co na misce, zmiatam wszystko do odrobiny, choćby djabła w potrawce...

— W Imię Ojca i Syna! — odezwała się Barbara, — o takiej potrawie jeszcze w życiu nie słyszałam.

— A ja jej jeszcze nie jadłem, — rzekł Janek,— ale gdyby mi ją dano...

— Janka! — przerwał proboszcz poważnie,— nie kalaj ust tym potępieńcom wiodącym łodzi do zgnby.

— Dobrze, księżę proboszcza, jaż go nigdy z przepaści piekła na świat nie wywiodę.

III.

Pani Barbara zakrzętnęła się około przygotowania posiłku. Był on bardzo skromny, złożony tak samo, jak proboszcza, z mleka kwaśnego i razowego chleba, ale mleko ozdobiła śmietaną, a chleb masłem posmarowała i układając na nim plasterki sera krowiego, mówiła do siebie:

— Chłopiec wygadany, jak stary, ale jakoś mu z oczów poczciwość patrzy. Jeżeli takim będzie ochotnym do pracy, jak sam o sobie mówi, to wydatku wiele na siebie nie przysporzy.

Janek zjadł wszystko, co mu przyniesiono, do ostatniej odrobinki, nawet okruchy pozbiierał i do ust wsypał, a potem ucałował ręce swoich nowych opiekunów

ag

i powiedział, że się najadł po uszy. Resztę dnia przeszło na gawędzie. Janek opowiedział, że ojciec jego był urzędnikiem magistratu w Debreczynie, że po śmierci jego matka zadzierżawiła małą kolonię pod miastem, że się przy niej uczył, dopomagał w pracy około domu, a rano zawsze wózek z mlekiem ciągnął do miasta, dla sprzedania go po gospodach. Kiedy matka umarła, sprzedano wszystko, co po niej zostało, i Wyprawiono w drogę na dalszą opiekę do Bożygrodu.

— I tak samego cię wysłano na piechotę z tło- moczkiem na plecach? — zapytał proboszcz.

— A samego,—odrzekł Janek,—alboż to nie mam głowy na karku? Najprzód jechałem na furach', co wiozły wino w beczkach z Węgier do Presburga...

—To tak Niemcy przezwali nasze poczciwe miasto, — odezwał się proboszcz, — al». po naszymu, po słowacku, to się Brzetysław nazywa, i tak je zawsze, Janku, mianuj, bo by cię wszyscy u nas za Niemca wzięli.

— Oh! niech Bóg broni, bo ja z ojca Słowak,— zawołał Janek, a tylko przez matkę z Węgrami spokrewniony i to z Szechenami, co Niemcowi nie pozwalają sobie w kaszę dmuchać.

—• Bardzo dobrze," mój Janku, ale z nienawiścią nie należy być dla Niemców, bo choć między nimi, jak wszędzie, wielu jest złych, ale cały naród jest dobry i poczciwy i tak pod tymi złymi stęka na biedę, jak i my na nich narzekamy.

— Dobrze, księżu proboszczu, zapiszę to sobie w pamięci.

— I cóż się dalej z tobą działo w tej podróży?

— Nic nadzwyczajnego. Z Brzetysława przyłączyłem się do pastuchów, co gnali woły węgierskie do Wiednia, a gdy się z nimi rozstałem, wypytałem się o dalszą drogę i tak idąc, doszedłem wreszcie do Bo- żygrodu.

— Biedactwo! — szepnęła Barbara, wzdychając. — Jak to sobie dało radę w tak wielkiej podróży...

— Ha! cóż było robić? — odrzekł Janek.— Miał- żem sięść na drodze i płakać, jak mały dzieciak? Wszakże skończyłem lat dwanaście i niedługo, jak huzar, zakręcę wąsa, to musiałem sobie radzić.

Proboszcz uśmiechnął się dobrotliwie, a Barbara zawołała:

— Patrzajcie, o wążach prawi, a mleko jeszcze ma na brodzie!

— Jeżeli tn choć Iz tydzień zabawię, — odrzekł Janek, — to się pani przekona, że wąsy już mi się niedługo zaczną sypać. Dziś jnż je wyciągam, żeby mi prędzej rosły.

Proboszcz z Barbarą szczerze się uśmiali z reżolutnego chłopczyny, a gdy po wieczerzy radzono o noclegu dla niego, gdzie go pomieścić, Janek odrzekł :

—: Niech się państwo nic mną nie kłopotczą, byle gdzie, a wszędzie będzie mi dobrze.

Przy mojej kochanej matce, co prawda, wygody mi nie brakło, ale teraz w drodze, przywykłem i do niewygody, i choćby na gołej ziemi z kamieniem pod głową, a śpię, jak zabity. Otóż widzę tu stodółkę, a z niej wygląda słoma, jeżeli więc pozwolicie, to buchnę się na słomę, gunią przykryje i będzie spanie królewskie.

— Czy bez pacierza? — zapytał proboszcz.

— A niech Bóg broni! — odrzekł Janek. — Matka kochana zawsze mi mówiła: — Janku, co przynależy ludziom, to oddawaj ludziom, a co Bogu, to Bogu.

33

Dzisiaj podwójne zaniosę dzięki, bo z Bożej to łaski idę spać syty i to pod dachem, co mnie od rosy ochroni.

— To chodź, chłopczyno, razem się pomodlimy wszyscy, bo to taki tu nasz obyczaj! — rzekł proboszcz, i zaraz udał się z siostrą i z dziewczyną służebną, oraz Jankiem, do ogródka, przy domku będącego i przy krzyżu ocienionym akacyami odmówił wieczorne modlitwy, zakończone pieśnią błagalną do Opatrzności. v

Janek z wielką pobożnością całe odprawił nabożeństwo, a gdy powstał z kolan i na dobranoc ucałował ręce swoich opiekunów, zacny proboszcz pobłogosławił go, i Janek poszedł do stodółki na nocny spoczynek. Na klepisku zastał już na .wiązce słomy rozpostartą ■ grubą derę i poduszkę wypchaną owsianemi plewami.

— To lepsze, niż pierze, — rzekła pani Barbara, pokazując chłopcu przygotowane posłanie.

— O, tak! — zawołał Janek, — ale najlepsze, to serce pani, te pocziwe ręce, co się dla mnie biedaka trudziły, aby przygotować posłanie. Matka moja ko-

Ka włóczędze. Cz. I. 3

33

chana zawsze tak robiła, niechże ręce pani ucałuję, jak matce.

Pocziwa Barbara pocałowała go w głowę, potem życząc snu dobrego, przymknęła wieżeje i obejrzawszy czy cblewki pozamykane, poszła do swojej izdebki.

IV.

W kilka dni potem, Janek już tak się rozgospo- darował na probostwie, jakby był domownikiem w niem od lat kilku. Robił wszelkie posługi, chodził około dobytku, nosił wodę, rąbał drzewo, czyścił statki kuchenne, dopomagał do dojenia krów, a raz nawet zabrał się do zrobienia masła, z czego wywiązał się z zupełnem zadowoleniem Barbary. Przekonana też, że młody przybysz, choć z wybornym apetytem, ale może stanowić wielką pomoc w małym ich gospodarstwie, postanowiła nie sprzeciwiać się pozostawieniu go w domu, ale z pewnem drożeniem się i narzekaniem na biedę, aby księdza brata nie ośmielać zbytecznie do czynów miłosierdzia z własną, niemałą często szkodą

— I cóż zrobimy z tym młodym naszym krewniakiem? — zapytała raz Barbara, gdy proboszcz wrócił od siana grabionego przez Janka i zasiadł na ganka, według swego zwyczaju.

— Hm! hm! — mruknął proboszcz, i spojrzawszy z ukosa na siostrę, stuknął w tabakierkę do jej otwarcia.

— Widzę już, że jegomość myślisz go zostawić, a to zawsze wydatek.

— Moja Basiu,—odrzekł proboszcz, — łaska Boża niewyczerpana. W Kanie Galilejskiej na godach brakło jadła i napoju dla godowników, ale nie brakło serca dla nich, Bóg też cudownie rozmnożył pokarm i napitek, to i nam przysporzy w naszej chudobie, aby biedny sierota nie cierpiał głodu i my przy nim.

— Co prawda, — mówiła dalej Barbara, — taki pracowity wyrostek zdałby się do roboty i w domu i w polu...

•• ■— A czyż to imość chce go na parobka wychować? — przerwał proboszcz z oburzeniem.— Pięknych- by w nas znalazł opiekunów, Panie, odpuść!

— Ej! i parobcy są ludźmi, cóż więc jegomość chce z niego zrobić?

— Zrobię z niego organistę!—odrzekł proboszcz.— Pobożny, ma głos piękny, gra na organach, a nasz organista już bardzo się zestarzał i pono wkrótce przyjdzie mu skończyć ziemską pielgrzymkę.

— A toś mu ksiądz brat stan wybrał, — odrzekła Barbara, podnosząc ramiona. — On tak patrzy na organistę, jak ja na admirała, a ksiądz na huzara!

— To wszystko być może, ale jednak chłopca nie mogę zostawić bez nauki, co sam umiem, tego i jego nauczę, a przyszłość oddam woli Bożej i własnemu jego uznaniu.

Na tem skończyła się narada. Janek pozostał na probostwie, pracował, ale i uczył się, wnosił szafliki z kuchni, ale i książką się zajmował. W Bożymgro- dzie jeden z gospodarzy służył niegdyś w kawaleryi i umiał doskonale rąbać się na pałasze, wywijać lancą i strzelać wybornie z pistoletu.

Janek często go nawiedzał, wyuczył się wprędce tego od niego, razem z nim polował, bił wodne ptactwo, w polu zające i kuropatwy, w lesie sarny, wilki, rysie, lisy, dzikie koty, jelenie i dziki, tak że te owoce myśliwstwa nietylko przynosiły mu pewne korzy-

ści, ale nadto śpizarnia proboszcza zawsze miała zapasy zwierzyny, przedtem w nbogiem probostwie nigdy nieznanej. Raz miał spotkanie z niedźwiedziem. W zimie wypatrzone go w głębokiej jamie na legowiska i drażniąc drągiem o kolcu żelaznym, wypłoszono z ukrycia.

Stary żołnierz miał mu pokazać, jak się to od jednego uderzenia toporem wali niedźwiedzia na ziemię. Janek także umiał nim dobrze wywijać, ale miał stać w odwodzie. Tymczasem niedźwiedź, wyskoczywszy z jamy, wprost ruszył na Janka, ten do niego zmierzył się ze strzelby, piston pękł, wystrzał nie nastąpił, niedźwiedź tuż znalazł się przy Janka i kiedy wyciągnął łapę, aby go uchwycić, młody myśliwy, nie tracąc przytomności, siekierą uderzył go w samo czoło, i zwierz padł na ziemię, jak jabłko z jabłoni, gdy się nią zatrzęsie.

Na takich to różnorodnych zajęciach schodził czas Jankowi: nauka jednak i praca zajmowała pierwsze miejsce, potem szło dopiero myśliwstwo, gdy się zapasy w domu wyczerpały, a pani Barbara narzekała, że śpizarnia pusta.

Bywał także często u organisty, przy którym chowała się jego wnuczka, mała Etelka, z włoskami cie-
mnemi, a oczkami modremi i niezmiernie figlarnemi. Janek był jej nauczycielem i kikorga innych jeszcze dzieci, i tak jakoś umiał się rozporządzać, że mu na nic czasu nie brakowało. Grzeczny, usłużny, wesoły i wygadany, podobał się wszystkim, wszyscy go kochali, chwalili, powiadając, że jest dla wsi całej ja- snem słoneczkiem, które cały świat ożywia.

Stary żołnierz nazywał go zuchem, godnym służby w kawaleryi, organista tylko kręcił głową, mówiąc, że już dziś zakasował go w grze na organach, a Etelka, zobaczywszy go, biegła zaraz ku niemu z wyciągnięte- mi rączkami, i nazywając braciszkiem, powiadała, że lepszego, jak Janek, niema w całym Bożymgrodzie.

Barbara nawet za Jankiem przepadała, gdy wyrusza ł na dłuższe polowanie, to go wyglądała, raz po raz wzdychała, a gdy figle jakim rozśmieszył, to powiadała potem, że z przybyciem sierotki wszystko się w Bożymgrodzie odmieniło na dobre. Miłość ta, jaką Janek zyskiwał pomiędzy ludźmi, poczciwego proboszcza cieszyła niewymownie, i gdy go Barbara chwaliła, zawsze powiadał:

— To łapka Boża dla sieroczej doli, bo czyż sama

nie przyznasz, pani siostrze, że nasz Bożygród zmienił się na Kanę Galilejską?

— To prawda, — potwierdziła Barbara, — teraz i kieliszek wina znajdzie się na probostwie, za skóry: dziczyzny, którą Janek bije.

Ale nietylko starsi lubili Janka, i młodzież także bardzo się z nim przyjaźniła. W dniach świątecznych na małej polance nad strumieniem, zwykle zbierała się i pod przewodnictwem Janka, a nadzorem starego huzara, pana Tomasza, odbywała różne manewry wojskowe z pałaszami i lancami z drzewa wyrobionymi, z rusznic także, a nawet z łuków strzelano - do celu. Dla przypatrywania się tej zabawce podążali prawie wszyscy ze wsi, czasami zajrzała i Barbara, sam nawet proboszcz często na polankę przychodził, a gdy słońce już do zachodu chyliło się, ustawiano się po czworo w szeregi: Janek stawał na czele, poprzedzało go trzech podobnych, jak on, młodziaków, jeden umiejący grać na skrzypcach, drugi na piszczałce, a trzeci walić w bęben, co sił tylko starczyło.

Na komendę pana Tomasza, utworzony tak oddział ruszał w pochód, muzyka grała marsza, młodzież wtórowała mu śpiewem, wyuczonym przez organistę, pana Cyryla, do którego proboszcz dorobił odpowiednie wierszyki, i obszedłszy w koło polankę, przez dolinki, wąwozy i różne zagłębienia wzniesionego gruntu, kierowała się ku wsi, utrzymując wzorowy porządek. Jeżeli po drodze spotkała którego ze starszych gospodarzy, wznoszono wiwaty na cześć jego, bęben werblował, a skrzypce i piszczałka wtórowały.

Czasami manewry kończyły się piasami tanecznymi, a zwykle w święta bardzo rano zbierano się u organisty dla choralnego uczenia się śpiewów nabożnych, i potem w czasie nabożeństwa śpiewano przy organach, do czego łączył Bóg i lud w świątyni zebrany.

W tym wszystkim przewodnictwo trzymał zawsze Janek, on zachęcał, za poradą proboszcza nowe wprowadzał pomysły, godził poważniejszych, każdemu starał się jakąś zrobić przysługę, a gdy go opiekuni chwalili za to, to odpowiadał skromnie: .

r— Nie moja to zasługa, -bo pełnię tylko wolę matki, która, mi zawsze mówiła: — Staraj się, mój synu, aby cię ludzie kochali, to i Bóg będzie cię błogosławił.

I na takim to życia przechodziły lata Jankowi, aż wreszcie wyrósł na młodzieńca, któremu brakowało już tylko wąsów, aby stał się dojrzałym mężczyzną.

Pocziwy proboszcz kłopotał się teraz, co z nim zrobić w przyszłości, bo pojmował to dobrze, że tak zdolny młodzieniec, chętny, pracowity, a nawet dość przez niego wykształcony, umiejący dobrze mówić oprócz rodzimego słowackiego języka, po węgiersku, niemiecku i łacinie, nie może całego życia przepędzić w ubogiej wiosce, przy podnóża Karpat.

— Dobrzeby było, — mówił do Barbary, — żeby mógł pójść na uniwersytet, ale na to nie mamy funduszu.

— Co też Jegomości przychodzi do głowy? — zawołała Barbara. — Jak pryśnie w świat, tak i przepadnie!

— Więc jakże go pokierować? — zapytał proboszcz. — W naszym Bożymgrodzie nie mamy dla niego miejsca.

— Nie mamy miejsca! — powtórzyła Barbara. — Alboż to nie może zostać organistą? Rada więc moja, ożenić go z Etełką, wnuczką organisty naszego, jak dzieciuchy lepiej podrosną, bo dziś lubią się bardzo, to będą szczęśliwi.

— Ej! moja jejmość, — odrzekł proboszcz, — wprzód trzeba myśleć o chlebie, a potem o żonie.

— Albo to mu na organistostwie braknie chleba? Powiadają, że organista nasz siedzi na pieniądzech i ma pewno z tysiąc reńskich, po matce Janka jest drugie tyle...

— Daj imość pokój! — przerwał proboszcz, — i ja- bym Janka nie rad puścić od siebie, ale nasza wios- czyna nie dla niego.

— To rób jegomość, co chcesz, a ksiądz brat przekona się, że tak stanie się, jak radzę.

Etelka była jeszcze bardzo młodziutką dziewczynką. miała zaledwie lat dwanaście, Janek zaś kończył dopiero dziewiętnaście lat życia, projekt więc Barbary był bardzo zabawny. Proboszcz rozniął to dobrze, zwłaszcza, że wiedział, iż Janek myśli także o przyszłości swej, małżeństwo nawet mu się przez myśl nie przemknęło, i zawsze tylko marzy o tem, jak w świat pójdzie i będzie się chleba dorabiał.

— Inż ja między ludźmi dam sobie radę, — mawiał zwykle. — Będę tylko zawsze miał na pamięci rady matki mojej kochanej i nauki księdza opiekuna, a nie wejdę na manowce, na których można zbierać same guzy, a pożytku żadnego. Pójdę do Presburga dowiedzieć się, co się dzieje w świecie, bo wieści różne dochodzą, że się między Węgrami zanosi na jakieś poruszenia. Krewny mój, Stefan Szechenyi, pewno należy do tego; on nigdy Austryaków nie był przyjacielem, postaram zbliżyć się do niego, a on mi dopomoże radą, co zrobić ze sobą. Mam ochotę zapisać się do huzarów węgierskich, do pułku, w którym niegdyś mój krewny służył, a zresztą zrobię, jak mi poradzi. Jutro zaś chciałbym pójść do naszego miasteczka, gdzie towarzystwo myśliwskie urządza za nagrodą strzelanie do celu. Może mi tam przyjdzie dłużej zabawić, niech więc ksiądz opiekun będzie spokojny, jeźlibym na drugi dzień zaraz nie wrócił.

Strzelanie do celu miało się odbyć na południe, w miasteczku, do którego podążał Janek. Znano go tam dobrze, i lubiono bardzo, jak się też pokazał przy trybunie otoczonej gronem młodzieży, wszyscy powitali go z wielką życzliwością i zaraz wpisali na listę przyszłych zapaśników.

Widzów również dosyć się zgromadziło, i kiedy zajęto się zbieraniem stawki, a następnie strzelaniem, Janek uczuł, że ktoś stanął przy nim i rzekł tajemniczo:

— Nie oglądaj się, tylko wieczorem przyjdź do gospody „Pod Łabędziem”, a pogadam z tobą o sprawie jednej bardzo ważnej. Nie lękaj się, jestem Paweł, twój przyjaciel.

Janek Pawła bardzo lubił, poznał go po głosie, bo z nim najczęściej robił dłuższe wyprawy myśliwskie. Od pół roku jednak nie było go w miasteczku i powiedziano, że udał się do Wiednia do wuja swego, aby się poświęcić zawodowi handlowemu.

Wiadomość ta zrobiła Jankowi wielką przyjemność, ucieszył się on bardzo, że znów spotkał się z przyjacielem, ale go zadziwiła tajemniczość, z jaką do niego przemówił. Nie wdając się jednak w badanie jej przyczyny, wysłuchawszy żądania, nie obejrzał się, jak mu polecono, i dopiero po chwili, przybliżywszy się do trybuny, zaczął przyglądać się zgromadzonej publiczności. Pawia nie dostrzegł między nią nigdzie, tylko zobaczył jakiegoś w burce szarej, z kapturem na głowie i w okularach ciemnych, zupełnie mu oczy zakrywających. Gdy spojrzenie zatrzymał na nim, nieznajomy położył palec na ostach i zmieszał się z tłumem.

— Czyby to był Paweł? — pomyślał sobie Janek.—Ale Pawła byłbym odrazu poznał, a tego pierwszy raz widzę w życiu. A jednak dany mi znak milczenia wyraźnie za Pawłem przemawia.

Strzelanie odbywało się bez przerwy, z różnem powodzeniem strzelających. Gdy przyszła kolej na Janka, kula z pomiędzy wszystkich najbliższej celni trafiła. Ozwały się oklaski, ale mu zwycięstwa nie przyznano.

— W drugiej kuli poprawię się,—rzekł Janek,— bo kiedy ręka mi nie drży, gdy strzelam do niedźwiedzia,

46

to tembardziej powinna być spokojna, gdy mierzę do tarczy.

Drugi strzał rzeczywiście był lepszy, kula utkwiała o dwa cale od centralnego punktu, już go miano uznać za zwycięzcę, gdy wystąpił wachmistrz od dragonów austriackich, kwaterujących w miasteczku, z oświadczeniem, że chce popróbować szczęścia, i rzucił na stół wymaganą kwotę na stawkę.

— Ale ja strzelać będę ze swego karabinka, — rzekł opatrując broń, — bo z waszych haubic z rurkami pociętymi, można strzelać do wróbla na płocie...

— Albo do dragonów austriackich!— dodał jakiś głos tak głośno, że go wszyscy usłyszeli.

Publiczność słowa te przyjęła z oklaskiem i hu- cznemi okrzykami, wachmistrz obejrzał się gniewnie, ale winowajcy nie mógł wyśledzić.

— Cóż to za papla wybełkotał taki głupi zarcik?— zapytał, rękę opierając na biodrze.

Nity na to nie odpowiedział, tylko przelatująca wrona zakrakała, co znowu wszystkich rozśmieszyło: Wachmistrz zaklął, pokręcił węża i zabrał się do strzału. Ale był obrażony, gniewny, ręka mu drżała, i gdy

47

dal ognia, kula w świat poleciała, tarczy nawet nie dotknąwszy.

— Wiwat, dragonia 1 — zawołało kilka głosów, reszta publiczności podniosła okrzyki i klaskania, a wachmistrz, podając karabinek Jankowi, rzekł:

— Weź, młodzieńcze, moją broń, wyborna jest i dalekonośna, haubice porzuć bo nie zdała się nawet psu na budę!

— Nie bierz, Janku, nie bierz! — odezwało się kilka głosów, — pokaż, .co umiemy, choć broń nasza prosta i stara.

— Ze swojej będę strzelał, — rzekł Janek do wachmistrza, — bo ją znam dobrze i po dwóch strzałach wiem, jak ją użyć. Z nowej mógłbym chybić...

Tym razem strzał Janka był trafny,, kula w samo centrum tarczy trafiła, i gdy z drugiej strony wypalił pistolet na znak zwycięstwa, całe zgromadzenie zawrzało głosami radości i otoczyło Janka, jako tryumfatora.

— Dobrze masz oko i rękę pewną, —rzekł z cicha wachmistrz.-^- Jeżeli chcesz, mogę ci ułatwić dostanie się do strzelców celnych. Wuj mój jest tam kapitanem, a to dzielny żołnierz!.

48

— Jak jego siostrzeniec strzelec!—ozwał się znowu głos nieznajomy, ale i teraz nie można było dojść, kto go wymówił.

Jeszcze strzelano o zakłady, do wyrzuconych przedmiotów, wreszcie postanowiono zakończyć zabawę, udaniem się do gospody „Pod Łabędziem" na poczęstunek, na który Janek, jako zwycięzcy, wszystkich zaprosił.

Gospodarz już był przygotowany na przyjęcie spodziewanych gości: izba była wymieciona, w oknach umajona doniczkami kwiatów, zastawiona stołami i stołkami, a sam gospodarz kręcił się z córką Agatą, i ścierał kurze z blatów stołowych. Wtem wbiegł mały chłopiec z raportem, kto został zwycięzcą.

— Janek Kowas z Bożygrodo, — powtórzył gospodarz, stojąc nn środku izby i pukając palcem w czoło.— A! przypominam sobie, to ten sam zapewne, com kupił od niego wydrę. Dzielny chłopak, zgrabny, rzeź- ki i jpkis taki przyjemny, że mu z oczów sama poczciwość przegląda. Był potem u nas jeszcze dwa razy. Agatko, jemu szafuj wszystko co zażąda, bo jeżeli mu nie starczy pieniędzy z wygranej, to się pokwituję z nim zwierzyną, albo skórami wilczemi, jakich dwóch brak mi jeszcze.

Xi włóczędzie Ci. 1. 4

49

Niebawem izba napełniła się całym towarzystwem myśli wskiem. Z niemi wsnał się i wachmistrz sztywny, ale buńczuczny, z miną hardą i z wąsami starannie wyBzwarcowanemi.

Podano konwie z winem natoczonym z beczek, niewiele droższem od piwa, rozdano kubki, słoninę i bryndzę z chlebem i bułkami, a Janek, zapraszając do traktamentu, oświadczył, że całą wygranę poświęca na poczęstunek, wyjąwszy dwóch reńskich, za które musi swoim opiekunom przynieść podarunki, na pamiątkę odniesionego tryumfu.

VI.

W gospodzie, gdy już towarzystwo wychodziło, w zagłębieniu okna siedział ten sam nieznajomy, który Jankowi przy strzelnicy dał znak milczenia. Nie zwrócono na niego uwagi, ale Janek dostrzegł go zaraz i pozdrowił spojrzeniem, na które nieznajomy odpowiedział lekkim poruszeniem głowy.

Przy poczęstunku gwaru w izbie nie brakowało, rozprawiano o dobroci broni, o trafności strzałów, o różnych wypadkach i zdarzeniach myśliwskich, wnoszono przeróżne zdrowia, miano przytem przemowy; mówcom przyklaskiwano, wnoszono na ich pochwałę wiwaty i okrzyki, a gospodarz się kręcił, częstował tabaczką i z bliżej znajomymi witał, prowadząc krótką

z nimi rozmowę. Wesołość więc ożywiała wszystkich, ale wachmistrz rad jej nie był. Gniewało go, że nie był uważany za pierwszą osobę, że jakoś mało się nim zajmowano, i nawet nie wniesiono toastu za jego zdrowie. Mimo tego policzki dobrze już miał zarumienione, oczy błyszczące, a nogi niezupełnie pewne. Zobaczywszy wreszcie, że pozostał prawie sam przy stole, pałaszem zaczął uderzać w stół, wołając:

— Uciszcie się! Proszę o spokojność! Hej! ty, panie, co tam coś dowodzisz, stojąc na stole, zamilknij i posłuchaj... Cicho! Proszę o głos, cóż to pogłuchliście, że nie słyszycie, co do was mówię!

Uciszone wreszcie, a wachmistrz, kręcąc wąsy, zawołał:

— Wnoszę zdrowie naszego cesarza Ferdynanda w Wiedniu, hura! niech żyje sto lat! Wiwat!

— Wiwat, wiwat! — powtórzono, a wachmistrz, na nowo kubek nalewając, wniósł go w górę, mówiąc:

— A teraz wypijmy zdrowie jego ekscelencyi, księcia kanclerza Klemensa Meternicha, hora! niech żyje!..

W zgromadzeniu nie odezwał się ani jeden okrzyk wiwatowy; wachmistrz spojrzął po zgromadzonych i zaklął półszepem, potem oczami przerzucił po izbie, a zobaczywszy owego nieznajomego, siedzącego w odosobnieniu i zajętego jedzeniem, zbliżył się do niego i rzekł:

— Hej! panie w okularach, co siedzisz na uboczu, jak wrona na gnieździe, myśmy tu wzniesli dwa zdrowia, ty jeden ich nie wypieś, czy miałbyś nie szanować naszego cesarza?

— Owszem, szanuję, — odrzekł nieznajomy, głosem przez nos szepleniącym, i podnosząc kubek podany przez wachmistrza, dodał: — Wiwat! niech żyje cesarz Ferdynand!

— To dobrze, — odezwał się wachmistrz, — a teraz za zdrowie księcia kanclerza.

— Panie wachmistrzu, — odrzekł nieznajomy, — uwolnij mnie pan od tego kubka, bo jestem słaby, zakatarzony, trunek więc mógłby mi zaszkodzić.

— To nic nie szkodzi, pewno się przeziębieś, wino cię rozgrzeje i będzie wszystko dobrze.

Nieznajomy się wypraszał, wachmistrz nacierał, młodzież zgromadzona, lękając się awantury, wdała się

w tę sprawę, prosząc wachmistrza, aby od żądania swego odstąpił, ale ten oparł się i stukając pałaszem o podłogę, wołał:

— Nie odstąpię, żeby tam sto tysięcy far beczek batalionów, bo ja nie gemajda z rezerwy, ale wachmistrz dragonów z pułku... .

— A gdybym nie chciał wypić tego zdrowia, — zapytał nieznajomy, — to coby się ze mną stało?

— ' Coby się stało?

• — A tak, przecie skóry nie zdarłbyś ze mnie, panie wachmistrzu?

— Skóry nie zdarłbym, — odrzekł wachmistrz, troszkę zataczając się, — ale nos zbiłbym ci, żebyś gadał po ludzku, a nie jak przez zepsutą trąbę, w której piszczy, że aż uszy bolą Słuchać.

— Ha! w takim razie, — zawołał nieznajomy, — toć już wolę wypić, aniżeli nos stracić. Piję więc zdrowie waszego księcia i życzę wszystkim jego przyjaciołom, aby ich los ten sam spotkał, jaki w tej chwili spadł na niego.

— A cóż go za los spotkał? — zapytał wachmistrz.

54

illki!

— A toć wszystkim wiadomo, że został wielkim dygnitarzem! — odrzekł nieznajomy z szyderskim uśmiechem.

— Ho, ho f to coś w tem podejrzone, — zawołał wachmistrz, i wyciągnawszy rękę, dodał: — W Wiedniu różnym awanturnikom pali się we łbach, a 'tobie jakoś hardość pobłyskuje przez okulary. Aresztuję cię więc, nośaczu obrzydliwy!

Nieznajomy odtrącił rękę, pchnął wachmistrza tak silnie, że ten, będąc nietrzeźwym, zatoczył się i padł na ziemię, jak długi. Powstało zamieszanie, z którego nieznajomy korzystając, dostał się do Janka i szepnąwszy mu: — Czekam cię na drodze pod lasem, wybiegł z izby pośpiesznie.

Nim się wachmistrz podniósł z podłogi, nim oprzytomniał i przekonał się, że nieznajomego nie ma w izbie, zesłała długa chwila czasu. Wyszedł wprawdzie na podwórze, ale zbiega nie mógł nigdzie wypatrzeć, i prosto poszedł do kwatery, aby za nim udać się w pogoń.

Niebawem i towarzystwo rozprawiając o burdzie, której był świadkiem, i rzucając różne domysły, kto mógłby być ów nieznajomy, rozeszło się. Jankowi było

55

to bardzo na rękę, teraz był już pewny, że to Paweł, jego przyjaciel, więc pospieszył, aby się z nim jak najprędzej zobaczyć.

Lasek, a raczej gąszcz leśny, z samej prawie leszczyny złożony, pomiędzy którą tylko tu i owdzie grab, lub dąb, sterczał, był o parę wiorst od miasta oddalony. Słońce w tej chwili zachodziło, oświetlając jeszcze całą okolicę blaskiem swoich promieni. Janek idąc, rozważał powody takiej tajemniczości, pod jaką ukrywał się Paweł, który znany był wszystkim wymieście, a że był dobrym chłopakiem, przyzwoicie się sprawującym i lubianym przez wszystkich, nie miał więc właściwie powodu do ukrywania się. Wkrótce doszedł do lasu* a chcąc dać wiadomość o sobie, idąc ścieżyną, zaczął pokrzykiwać, jakby na polowaniu, gdy myśliwi zwołują się, aby zmienić stanowiska.

Niebawem ozwał się głos odpowiadający na to wołanie, krzaki zaszeleściły i wydobył się z nich młodzieniec starszy od Janka od lat kilka.

— Pawle poczciwy! — zawołał Janek, podając rękę na powitanie, — co znaczy twoje przebrani[^], pod którym cię tylko z głosu poznałem, kto jesteś?

— Musiałem to zrobić, bo mam ważne sprawy do spełnienia, — odrzekł Paweł, — a nie chciałem, aby wiadano o mojem przybyciu. Dziś zapewne, a jutro najdalej w Wiedniu, Meternichowi dobrze przytrą rogów...

— Teraz rozumiem, coś o nim w gospodzie wyrzekł.

— Była to wielka nierozwaga, ale nie mogłem się powstrzymać z oburzenia na brutaLstwo wachmistrza. Kiedy mnie jednak nazwał obrzydłym nosaszem, ledwo mu się w oczy nie roześmiałem z radości, że go tak pięknie w pole wywiodłem. Na drugi jednak raz będę ostrożniejszym, bo mimowoli mógłbym wpaść w pułapkę.

— Niezmiernie też zaniepokoiłem się o ciebie, — odrzekł Janek. — Lękałem się jakiej awantury.

— Umiałbym się jednak z niej wykręcić, wiedząc, że was wszystkich mam za sobą. Ale o tem—potem, na gawędy niema czasu, bo mi pilno w drogę. Spieszę do Pesztu, a po drodze mam wstąpić do różnych miejsc, bo wszystko zaczyna się gotować i zanosi się na rzeczy bardzo ważne. Panowie węgierscy postanowili stanowczo, korzystając z wypadków, działać odpowiednio do swego interesu...

— Czy hrabia Stefan Szechenyi,—zapytał Janek,— należy także do tych panów?

— A jakże, jest jednym z nich najczynniej- szym...

— Ach! to dobrze, myślą właśnie przedstawić się mu i prosić o radę...

— Ja ci to ułatwię, — odrzekł Paweł, — bo teraz jestem przy nim) ale to jeszcze tak prędko zrobić się nie da, bo i hrabia jest w ciągłej podróży. Czekaj więc cierpliwie, dopóki cię nie zawiadomię, a gdybyś chciał przyspieszyć przyłożenie ręki do roboty, to udaj się pod tartak do wdowy Gryzowej, mieszkającej w ubogiej chałupinie, a tam znajdziesz zawsze kogoś, któremu, jak tylko powiesz, że ja cię przysłałem, to ci wskaże, co masz zrobić z sobą i przedstawi pułkownikowi Mikosowi* dowódcy partyzantów. Dzielny to człowiek, a obawy żadnej nie miej, bo do Gryzowej schodzą się sami nasi przyjaciele, a jeden zawsze jest w miejscu dla informacji. Co on ci poleci, zrób to bez wahania i ufaj, jak mnie samemu* Później przy pomocy hrabiego i pułkownika Mikosa, wejdiesz na pole obszerniejszego działania i dokładnie o wszystkim

5»

się dowiesz. Teraz musimy się rozstać, bo słońce już zaszło, a ja jeszcze kawał drogi mam przed sobą

Janek, zapewniony jeszcze raz o współdziałanie hrabiego Szechenyego, ucieszony tem niezmiernie, rozstał się z Pawłem, który go zapewnił, że go wkrótce zobaczy.

59

VII.

Gdy Janek przyszedł na probostwo, wszyscy już spali, w całej wsi także w oknach chałup było ciemno, w jednym tylko, a organisty Cyryła, świeciło się, a przy lampie siedziała Etelka zajęta czytaniem. Janek przechodząc podszedł przed samo otwarte okno.

— Cóż to, Etelko, tak siedzisz długo,—rzekł,— gdy wszyscy udali się już na spoczynek?

— Acb! jakżem się przestraszyła! —zawoła Etelka. — Ale dobrze, żeś wrócił, bo ojciec Michał i mój dziadek byli bardzo o ciebie niespokojni.

— A to z jakiego powodu?

— Nie wiem, ale od sąsiedniej Pikory, — odrzekła Etelka, zbliżając się do okna, — jakiś przyjechał

podróżny, był u wójta, tam zeszli się gospodarze i radził z nimi długo, potem wstąpił na probostwo, ale co mówiono, nie słyszałam, bo dziaduś nie kazał mi się w to wtrącać. Byłam jednak bardzo ciekawą, bo jakoś potem wszyscy coś między sobą szeptali, pokręcali głowami, a ja, aż drżałam, tak się lękałam, żeby wojny nie było.

— Skądże ci wojna mogła przyjść do głowy? — zapytał Janek z uśmiechem.

— Nie wiem skąd, — odrzekła Etelka, — ale mi się zdawało, jakby się na kogoś zmawiali. Jakby zaś była wojna, toby wszystkich we wsi zabrali do wojska, może dziadka nawet..

— Ej! możesz być spokojna, — przerwał Janek, uśmiechając się, — mogę cię zapewnić, że gdyby nawet na całym świecie wojowano, to jeszczeby twój dziadek, pana Cyryła, w domu zostawiono.

— Ale dziadek sam poszedłby, bo jak pan Tomasz pokręcił węża i powiedział, że na Węgrów ruszy, choćby zaraz, to dziadek wyprostował się i rzekł: — I ja z tobą, panie Tomaszu, bo Węgram radbym dobrze przypieprzyć. To cóż to znaczy, jeżeli nie to, że zostaną żołnierzami?

— Wojną, moja Etelko, z takimi, jak oni, żołnierzami, niech cię nie trwoży. Do podobnych rycerzy strzelają z armat malowanych na papierze.

— To może być, ale zawsze strzelają, — odrzekła Etelka, — ale idź już, idź, żebyś się nie zaziębił. Pani Barbara była u nas przed wieczorem strasznie niespokojna, że poszedłeś do miasteczka, bo powiedziała, że lęka się, abyś nie wpadł w jaką biedę.

— No, dobranoc ci, Etelko, — odezwał się Janek, — śpij z Bogiem, a z główki swej wybij wojnę, bo o niej ani jednego słówka nie słyszałem w miasteczku, a tamby lepiej o tem wiedzieli, niż u nas.

Etelka przymknęła okno, i Janek wszedłszy na podwórze, pogłaskał psy wybiegłe na jego powitanie, a potem prosto udał się do stodółki, w której od pierwszych dni wiosny sypiał zwykle do późnej jesieni.

Na drugi dzień cokolwiek zasnął, zastał już bowiem proboszcza siedzącego w ganku i czytającego z brewiarza. Janek, nic nie ukrywając, opowiedział wszystko, co go spotkało w miasteczku, a potem wydobył nową tabakierkę, kupioną na podarunek dla opiekuna.

— A to co za zbytki?— zapytał proboszcz.—Czyż to nie mam tabakierki?

— Piękna mi tabakierka z dnem zalepionem tekturą.

— Dobra i taka, bardzo dobra, — odrzekł proboszcz, — ale potem o tem, a teraz muszę ci powiedzieć, moje dziecko, że spotkanie z Pawłem wcale mnie nie cieszy.

— To bardzo uczciwy chłopak, najwięcej się z nim przyjaźniłem.

— To nie dotyczy jego uczciwości, ale ludzi, którym służy.

— Należy przecież do nich mój krewniak, Stefan Szechenyi.

— Węgier, moje dziecko!—przerwał proboszcz,— a Węgry biorą na kiel i z pewnością się zbuntują. Wczoraj był tu we wsi emisaryusz, których parę setek wysłał książe kanclerz Meternich, po wszystkich prowincjach pobratymczych nam Słowakom,, żeby w razie buntu Węgrów, wszyscy nasi stanęli pod przewodnictwem Kroatów, którymi dowodzić będzie ban Jella- czyc. Rozkaz to, jakby cesarski, to mu się sprzeciwić

nie można, a tymczasem Paweł staje po stronie Węgrów, i ciebie zważa do siebie.

— To prawda, że tu jest jakaś sprzeczność, jakże więc myśli ksiądz opiekun?—zapytał Janek.

— Moje dziecko, — odrzekł proboszcz, podnosząc ramion, — i tak źle i tak nie dobrze! Węgrów gnębią Niemcy, a nas i Niemcy i Węgrzy. Jeżeli więc pozbędziemy się Węgrów, to kanclerz obiecuje wielkie dobrodziejstwa, że będziemy sami sobie i Niemca nie znajdzie nas na nasienie.

— Dobrzeby to było,—odrzekł Janek,— ale przy Węgrach stoi hrabia Szechenyi, a matka mi mówiła, że to człówek i roznomy i bardzo poczciwy, jestem pewny więc, że on by się w złą sprawę nie mieszał.

— I ja go znam za takiego, ale od Węgrów wie- leśmy złego doświadczyli.

— I od Niemców niemniej, sądzę więc, księżu opiekunie, że najlepiej będzie czekać i patrzeć, co się dzieje w świecie.

— Będzie to najrozumniej, moje dziecko! Gdzie się kułaku ją, tam o guza łatwo, a mamy ich i tak sporo i z jednej i z drugiej strony, to po cóż o nowe się dobijać?

Gdy Barbara zobaczyła Janka, przybiegła do niego i obejmując go w uścisku, mówiła z wielkiem wzruszeniem :

— Powróciłeś przecie, ty bałamucie, a ja tak byłam niespokojna o ciebie. Zdawało mi się, że już cię nie zobaczę, bo kiedy się zanosi na burzę między ludźmi, to najlepiej, jak borsuk, siedzieć w jamie i nasłuchiwać, co się dzieje w świecie.

— Ja też tak myślę zrobić, — odrzekł Janek — i nasłuchiwać będę co robi hrabia Szechenyi, bo przecież...

— Już tylko o nim nie mów mi nic,—przerwała Barbara,—bo mam przecucie, że się przy nim w jaką biedę wplączesz.

Po śniadaniu, Janek udał się na polowanie na wodne ptactwo, bo w spiżarni żadnych zapasów nie było. Barbara bardzo była temu rada, mówiąc, że zawsze lepiej z kaczkami wojować, niż z ludźmi.

— Bodaj przepadli ci, co wojnę wymyślili!—rzekła, kładąc do torby Janka zapasik pożywienia na zamierzoną wycieczkę. — Idź, moje dziecko, i wracaj rychło, tylko nie zachodź pod miasto, ażeby cię tam przyjaciele nie zaciągnęli do jakiej awantury.

Na włóczędzie- Ce. I. 5.

Przechodząc koło okna organisty, Janek zobaczył Etelkę siedzącą pod oknem. Powitał ją życzeniem dnia dobrego, a dziewczynka, ujrawszy go w przystroju myśliwskim z dubeltówką i torbą [na ramieniu, zawołała:

— To znów dziś lekcyi nie będzie? Jaki ty, Janku, latawiec, to aż mnie wstyd za ciebie!

— Muszę pójść,— odrzekł Janek,— bo jakoś pani Barbara narzeka na pustki w spiżarni, ale jutro zaraz rano zasiądziemy do nauki.

— To dobrze, ale pamiętaj, żebyś dotrzymał przyrzeczenia, bo naprawdę się na ciebie pogniewam.

I rzekłszy to, pogroziła mu paluszkami, dodając :

— Pamiętaj!

— Bądź spokojna, nie zapomnę, tylko ty znów pamiętaj zadań wszystkich wyuczyć się dobrze, bo wiesz, że jestem surowym nauczycielem.

— O! nie boję się, bo znów ty wiesz, że jestem pilną uczennicą.

Polowanie powiodło się, ale Janek musiał się od- w dalić daleko od domu i nie wrócił, aż przed samym

-zachodem słońca, obciążony zdobyczą myśliwską. Widok ptactwa dzikiego wielce był miłym dla Barbary, powiedziała, że przygotowuje z niego pański obiad i zaraz zastawiła dla swego faworyta posiłek, przypuszczając, że musi być, jak hart, głodny.

— O, tak, zjadłbym konia z podkowami!—odrzekł Janek.

— Zjadaj, choćby po dwóch naraz,—odezwała się Barbara,—bo teraz z tobą nie mam kłopotu.

Proboszcz, siedząc przy Janku, z zadowoleniem przypatrywał się, jak młodzieniec szybko wypróżniał talerze, a Barbara ciągle mu coś nowego donosiła, zachęcając do jedzenia.

— Jedz, moje dziecko,—mówiła—widać, żeś zdrow, kiedy masz apetyt.

— Jak pójde w świat, — rzekł Janek, krząc ser na zakończenie traktamentu,— to mi tak może nie będzie dobrze, jak tutaj, może się nieraz głodu przy- nirze...

— A i po cóż masz iść w świat, kiedy ci tutaj tak dobrze?—zapytała Barbara.]

— Dla chleba, kochana ciotko, dla chleba, aby

go nie brakło na stare lata, — odrzekł Janek, zwykle ciotką nazywając pocziwą Barbarę.

— Jest w tem racya, ale gdybyś chciał zostać organistą..

— Nie, moja ciotko, za młody jestem na organistę. Kiedy gram na organach, to mi zawsze przychodzą do głowy różne pieśni, śpiewane przez nasze wiejskie dziewczęta: Hej! dziewczynki, jak kwiatuszki, A chłopaki, jak junaki, Dalej w płasy, w górę wasy, Pęc! w obcasy, buczcie basy!

— To coby na to ksiądz opiekun powiedział? Ciotka zaś nazwałaby mnie wartogłowem i może nawet za uszy wytargała.

— Ma się rozumieć, żeby uszom dobrze się dostało, bo dom Boży, to nie gospoda!

— Widzi więc, cioteczka, że na organistę nie mam powagi potrzebnej, ani nie umiem potulnie nachylać głowy do ziemi. Przeciwnie, jadę z nią zawsze hardo ku górze, jak przystoi na tego, co ma być kiedyś huzarem.

— Oh! nie lubię huzarów,— odezwała się Barba- Ta,—to wszystko bezbożniki.

— Cioteczko! — zawołał Janek, — ja też będę innym huzarem, takim co to śpiewają o nim:

U huzara dzielna mina, Ładny wąsik i czupryna, Pałasikiem brzdęk, A ostrogą szczęk!

— Tak, tak, — odezwał się z boku głos starego Tomasza, który przyszedł z jakimś interesem do proboszcza. — Takim huzarem ja byłem i takim zostanie Janek, jak mu wasy urosną i mundur przywdzieje. Gdybyś mnie imość znała, jak wojowałem po świecie, tobyś sama została huzarem.

— W Imię Ojca i Syna! a panu Tomaszowi, co aię troi w głowie! — zawołała Barbara.— Jabyś miała zostać huzarem, a to mi się podoba!

— Niech się imość tak przeciw huzarom nie oświad-

cza, — odrzekł Tomasz, pokręcając węża już dobrze siwego,—bo huzary...

— To stare bezbożniki! — odezwał się organista Cyryl, który z kluczem od kościoła zatrzymał się na boku i przysłuchiwał się całej rozmowie.— Jeszcze raz: powtarzam, że to stare bezbożniki, hultaje, awantur- nikil.. ,

— Ej! panie organisto, nie szkaluj! — przerwał Tomasz, i strojąc groźną minę, chociaż uśmiechał się żartobliwie i dodał: — bo jak stracę cierpliwość, to jegomości wyzwę na pojedynek.

— Wstydz się, jegomość, z taką bezbożnością, jak pojedynek, grozić staremu słudze kościoła!—zawołał organista. — O pacierzu lepiej myśleć, niż o zbó- jostwie.

— Co, ja mam być zbójcą? To jegomość jestei dławidudą, sakramenckim miechem i sem baszama te- temtete, szlafmycą niemiecką! — zawołał Tomasz, udając gniew wielki.

— A toś mnie jegomość przystroił! — zawołał organista, na prawdę urażony. — Wszystko jegomości

przebaczę, boś huzar, pędziwiatr! wagabunda, ale szlafmycy niemieckiej—tej nigdy nie zapomnę!

— A ja wagabundy,— dodał zaraz Tomasz, także cokolwiek urażony.

Organista chciał coś odpowiedzieć, ale Janek przyskoczył do niego i całując w rękę, rzekł:

— Dziadku, nie osławiajcie huzarów, bo gdy pan Tomasz odkazywał się na Węgrów, toście powiedzieli, że z nim trzymać będziecie, żeby Węgrom dobrze przy- pieprzyć.

— To tak w złości rzekłem, — odezwał się organista, ale zrobić mnie szlafmycą niemiecką...

— A, jakby to ślicznie było, — mówił dalej Janek,— gdybyśmy tak we trzech: dziadek, pan Tomasz i ja, w jednym służyli pułku. Ksiądz, ojciec Michał, byłby naszym kapelanem, Etełka trębaczem, a ciocia Barbara wiwandyerką...

— A to czyste nasłanie z tym chłopcem! — przerwała pani Barbara. — Tylko czekać, a sama nie będę wiedziała, czy ja huzar, czy Barbara?

— Wiesz co, chłopcze, że to byłoby niezłe, — odezwał się Tomasz.— Ksiądz proboszcz modliłby się,

pan organista śpiewałby pieśni nabożne, jabym z tobą rąbał pałaszem, a pani Barbara szafowałaby nam wino....

— I pytki na plecach! — dorzuciła pani Barbara.

VIII.

Na takich żartach nchodził czas. Proboszcz śmiał się, Barbara udawała zagniewanie, organista z Tomaszem także się uśmiechali, niby z ukosa na siebie spoglądając, Janek dalej plaperował z jedną zawsze żarto- bliwością: dość, że wszyscy rozweselili się, i gdy rozmowa coraz się bardziej ożywiła, a na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy, nagle na podwórze wbiegła Etelka, niezmiernie przerażona, i ledwie mogąc oddychać od przyspieszonego biegu, wołała:

— Janku! uciekaj! uciekaj! Do wójta przyjechali pandury i mają cię wziąć do więzienia. Uciekaj, bo tylko co ich tu nie widać!

Zerwali się wszyscy z pod wystawki, spojrzeli ku wsi i zobaczyli kilkunastu zbrojnych, na koniach

klusem puszczających się od domu wójta, na drogę wiodącą na probostwo.

Pomiędzy zgromadzonymi zrobił się wielki popłoch, wszyscy nie wiedzieli co robić. Barbara załamała ręce, Tomasz klął po cichu, Cyryl kręcił się z kluczami, proboszcz stał w milczeniu i przypatrywał się jadącym pandurom, a Etelka ciągle krzyczała, płacząc :

— Uciekaj! Janku, uciekaj!

Janek nie stracił przytomności, rzucił okiem na pandurów, Etelce powiedział, że skryje się w jarze pod dębem, i zarzuciwszy na siebie guńkę i przybory myśliwskie, chyłkiem przemknął się między budynkami, spuścił urwistą ścianą wąwoziku, przeskoczył strumień i wbiegł w zarośla leśne, okrywające pobliskie skalne wyniosłości. Tu odetchnął swobodnie, uczył się bezpiecznym, znał najmniejsze załamki, zagłębienia gór, pogoń więc nicby nie dokazała i zawsze potrafiłby ująć jej przez czas pewien.

Jar pod dębem znajdował się w zagłębieniu pomiędzy stromemi bardzo skałami.

Nad nim wznosił się dąb olbrzymi, a niedaleko wypływał strumień, i przerzynając całe zagłębienie,

74

płynął łożyskiem coraz głębszem, tak, że zupełnie przystęp do niego był zatamowany. Do owej dolinki zarośniętej wiotką trawą, gdyż słońce tylko przyświecało jej kilka godzin w samo południe, prowadziła wązka nadzwyczaj ścieżka pomiędzy skałami i przepaściami, która to się wznosiła w górę, to zniżała, a czasami zupełnie kryła się pod gałęzie drzew; czasami znów była tak wązka, że zaledwie stopę przedstawiała szerokości i tylko bardzo obznajmieni mogli ją bez obawy przebywać. W podobnych miejscach nagle urywała się, jakby ginęła bez śladu, gdyż dalszy ciąg stanowiły granitowe wystawki wzgórz, na których wydeptania żadnego znać nie było.

Janek wszystkie te zakąty znał wybornie, jak podwórze probostwa i wiedział, gdzie się ukryć. Prawie w mgnieniu oka dostał się do niziny i usiadł na trawie dla spoczynku i wytchnienia. W około panowała pomroka nocna, ciszy nic nie zakłócało, tylko mruczał strumień, płynąc po kamykach. Od wioski, z której wybiegł, dochodził go jakiś gwar niewyraźny i ujadanie psów, ale po chwili i to ucichło.

Janek, uczuwszy się bezpiecznym od pogoni, zaczął zastanawiać się nad swem położeniem, przypusz-

75

czając, że może niepotrzebnie uległ ogólnemu popłochowi.

— Przecież jestem zupełnie niewinny, — mówił do siebie.—Nie zrobiłem nic takiego, abym się potrzebował kryć i uciekać, jak złodziej, albo zbójca. Etełce musiało się zdawać, że to o mnie idzie, nie mogę nawet przypuścić, abym był ścigany. Bo o co i za co?

I długo podobnie Janek dumał nad swoim położeniem, przychodził mu na myśl Paweł i awantura z wachmistrzem. Aleć w tem zdarzeniu żadnej czynnej nie odgrywał roli, a zobaczenie się z Pawłem, było tak tajemnicze, że nie przypuszczał, aby mógł być przez kogo podpatrzony.

I na tem dumaniu zesła mu blisko godzina; znudzony chciał już powrócić do wsi, gdy usłyszał szelest gałęzi ścieżynę okrywających i z pomiędzy nich wysunęła się jakaś postać.

Była to Etełka z małą koneweczką w ręce i z pakunkiem w drugiej. Gdy Janek ją poznał, zaraz ku niej podążył.

— I cóż się tam n was dzieje ? — zapytał.

.— Ach! straszne rzeczy, mój Janku, — odrzekła Etełka z wielkim smutkiem. — Całe probostwo prze szukali, zagłądali do wszystkich kątów, do szaf i schowań...

— A i kogóż szukali?

— A kogóż, jak nie ciebie? Powiadali, że miałeś schadzkę z buntownikiem, który przyjechał z Wiednia, gdzie teraz jest wielkie zamieszanie, i że muszą cię złapać, bo jesteś wielkim przestępcą, należącym do strasznego spisku.

— Ja do spisku? — odezwał cię z wielkim podziwem Janek,— czy zwaryowali, żeby mnie o coś podobnego posądzać ? ■

— To samo mówił im ksiądz proboszcz i mój dziadek, ale oni zawsze przy swoim obstawali i powiadali, że jutro w zaroślach zrobią obławę, to cię złapią. Ach! Janku, jak wszyscy jesteśmy przerażeni, to tego ci nawet powiedzieć nie umiem.

— Bądź spokojną, Etełko, bo czuję się zupełnie niewinnym, sam pójdę do nich i zapytam się, czego chcą ode mnie.

— Oh! nie rób tego! — zawołała Etełka z przestraczem.— Ksiądz proboszcz powiedział, że nimby się rzecz cała wyjaśniła, to mógłbyś długo, bardzo długo

cierpieć, a nie Oże i zatracić zupełnie, bo o sprawiedliwość n nas bardzo trudno. Kazał ci też powiedzieć, abyś opuścił nasze strony, i powrócił cichaczem dopiero za dni kilka, gdy się burza uspokoi, a wtenczas uradzicie, co dalej robić. Przysłała ci przeze mnie trochę pieniędzy od siebie i od dziadka mego, ciotka Barbara kawał wędzonki, a ja przyniosłam twój pakunek z rzeczami...

— Jakaż ty dobra jesteś, Etelko, że tak o mnie pamiętałaś...

— Wzięłam dzbanek, jakbym szła po wodę,—mówiła dalej Etelka, — a rzeczy to wprzód wyniosłam w krzaki, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

— Dziękuję ci za wszystkie twoje przysługi, moja dobra Etelko! — mówił Janek,—teraz zaś wracaj do domu i powiedz ojcu i księdzu proboszczowi, że spełnię jego wolę, że mam bezpieczne miejsce do ukrycia się, i że za dni kilka podsunę się pod probostwo nocną porą. Wieczorami więc nasłuchuj, a jak w zarośli usłyszysz głos puhacza, to przybież do jaru, a spotkamy się z sobą.

— Mój Boże! — rzekła smutnie Etelka, — ktoby się spodziewał, że spadnie na nas tak wielkie nieszczęście/ _

— To prawda, tak byliśmy weseli, tak wszyscy żartowali, ja wyśpiewywałem, nie wiedząc, że za chwilę spotka mnie taka straszna niedola!

— Codzień, mój Janku, będę się modliła za ciebie.

— Módl się, moja Etelko, snódl, a wymodlisz dla mnie może łaskę Bożą. Ufam Bogu zupełnie i pewny jestem, że mnie szczęśliwie z tej biedy wyprowadzi. A teraz do widzenia, moja Etelko kochana, za dni trzy będę pomiędzy wami.

— Oh! jakże wszyscy będziemy o ciebie niespokojni. Wracaj, wracaj, ale bądź ostrożny!

— Nic mi się złego nie stanie,—odrzekł Janek,— mając troszkę grosza i co na ząb włożyć, to mi bieda nie tak bardzo dokuczy. Pozdrów ode mnie wszystkich, podziękuj za pamięć i powiedz, że zaraz ruszam w dalszą drogę, na której mnie i w sto koni nikt nie dogoni.

Janek, pocieszoną cokolwiek Etelkę, odprowadził aż do strumienia, potem pożegnawszy się z nią serdecznie, poskoczył w góry i znikł w zaroślach.

Polując często w całej okolicy otaczającej Boży- gród, znał ją doskonale i dlatego nie pilnując się drogi, przez zarośla i pola dążył prosto do miejsca, zwanego pod tartakiem. ■

Zmuszony tak nieprzewidzianym wypadkiem do ukrywania się, postanowił użyć pomocy wskazanej mu przez Pawła, gdyż w miasteczku nie chciał narażać nikogo na odpowiedzialność, gdyby przypadkiem odkryto u kogo przebywał.

IX.

Osada pod tartakiem, niedaleko od miasteczka położona, składała się z kilku chat, zamieszkałych przez wypalaczy węgla i wytapiaczy smoły. Gdy lasy okoliczne były w całej pełni swej wartości, znajdował się i tartak, ale po wycięciu zdatnego drzewa, tartak skasowano i tylko nazwa po nim pozostała.

Osada mieściła się tuż przy drodze publicznej była opuszczoną, chałupy miała zniszczone, pochylone, dachy dzinrawe, pogieęte i oberwane, przy nich znajdowały się małe polanki zasadzone ziemniakami, za nimi zaraz ciągnął się las dobrze podszyty, a przed nimi rozpościerały się obszerne mokrzadła bagniste.

Gdy Janek z pola wyszedł na drogę, nadśluchaw-
Na włóczędzie. Cz, I. 6.

8f

szy wprzód, czy na niej nie spotka kogo z jadących, obejrzał się potem na wszystkie strony i znowu nadśluchiwał. Cicho było wszędzie, przeszedł więc śmiało drogę, i ścieżyną dobrze wydeptaną, doszedł wkrótce do jednej z chałup. Północ już dochodziła, okienko w chałupie było zasłonięte, drzwi na zasuwę zamknięte, szparką małą zajrzał do izby, i zobaczył na murku kominowym palący się kaganek, a tuż przed nim siedzącą kobietę na ławce przy kołowrotku, w dużym czepku i kaftanie zniszczonym, z głową zwieszoną na piersi. Widać spała i to dość twardo, bo w izbie słychać było chrapanie. Janek zastukał w szybę i to z coraz silniejszym naciskiem.

— A tam kto się dobija?—zapytała gospodyni domu, obudzona stukaniem.

— Otwórzcie, matko Gryzowa,—odezwał się Janek przytłumionym głosem,—to ja, przyjaciel!

— A cóż to za przyjaciel, co po północy włóczy się po świecie? Jeżeli przyszedłeś do mnie na rabunek, to cię zapewnić mogę, że nic tu nie spotkasz, tylko nędzę ostatnią. Idź więc z Bogiem...

— Nie jestem zbójcą, matko Gryzowo, tylko przychodzę z polecenia waszego przyjaciela...

8a

— Nie mam przyjaciół, ani nieprzyjaciół,—odparła Gryzowa,—bo przyjacielowi nie mam co dać, a nieprzyjaciel nie ma co wziąć...

— Ależ matko!—zawołał zniecierpliwiony Janek,— ja nic od was 'nie chcę...

— Idź z Bogiem, jeszcze raz powtarzam, — zawołała Gryzowa, — bo jak mnie będziesz dalej napastował, to cię przywitam ukropem, abyś nauczył się szanować starszych!

— Ho! ho! to nie żarty!—odrzekł Janek.

— Z wami, włóczęgami, to żartować nie można, uciekaj więc pókiś cały.

— A jak nie ucieknę?

— Spróbuj, to zobaczysz, jak ci karku naferęją.

— Ale, matko Gryzowo, przysłał mnie tu do was Paweł.

— Paweł? — zapytała kobieta nagle łagodniejszym głosem.

— On sam, bo to mój przyjaciel.

— Czegoż mi zaraz tego nie powiedział, — odrzekła Gryzowa, potem powstała z siedzenia, zaczęła coś mrużyć, weszła w najdalszy kąt izby, i niedługo

83

dało się słyszeć głośne ziewnięcie, potem rozmowa, przytłumiona, wreszcie z ciemnicy wydobyła się jakai męska postać, która drapiąc się, poruszając ramionami i ziewając, zbliżyła się do okna, pytając Janka, od kogo został przysłany.

— Od Pawła,—odrzekł Janek.

— No, to chodź, — odrzekł nieznajomy, odsunął zasuwę, wprowadził Janka do środka i znowu drapiąc się, kuląc i ziewając, rzekł gniewnie:

— Bodaj was i gęsi i kaczki podeptały, że się tak zbieracie po jednym. Już drugą dobę spać mi nie dają, a ten Paweł, to po prostu zwaryował, co pierwszy lepszy patyk spotykany na drodze bierze za cały klocek i przysyła go nam, żebyśmy go ociosali.

. < —Gzy zastałem go tutaj?—zapytał Janek.

— Ale... tutaj... — mruknął nieznajomy, usunął się w kąt izby skąd wyszedł, i natychmiast usnął, chrapiąc na różne tony przez nos i gardło.

Teraz Janek nie wiedział, co z sobą zrobić, czy czekać, czy pójść dalej? Ale gdzież się obróci, zmuszony unikać znajomych?

— Paweł jest tu znany, — mówił do siebie, — tcazał mi zaufać, a on by nie zdradził. Trzeba więc ■czekać.

W tej chwili weszła kobieta przedtem napotkana i nic nie mówiąc, usiadła na ławce, westchnęła pobożnie, głowa jej opadła i także usnęła, jakby w izbie Janka nie było.

— Co u licha! — pomyślał Janek, — czy się do- stałem do krainy snu wiecznego i chrapania, bo i mnie Jakoś sen ogarnia.

Usiadł więc w rogu izby na ziemi, i oparty o ścianę, jak zaczął marzyć i kombinować, znużony całodniowym polowaniem• i niewywczaśem, tak niewiedząc kiedy, usnął bardzo twardo. Co się działo przez czas spoczynku, nic nie wiedział, a gdy się ocknął, zastał całą izbę pełną uzbrojonych mężczyzn i jakiegoś stojącego przed sobą draba.

— Wstawaj, wstawaj, — wołał, — chodź, zaprowadzę cię do pułkownika, a on rozporządzi tobą.

— Czy do pułkownika Mikosa? — zapytał Janek, przypomniawszy sobie to, co mu Paweł polecił.

— Naturalnie, że do niego, — odpowiedział nieznajomy i tylnymi drzwiami wprowadził go z izby i prosto ruszył ku lasowi.

— A kto tam idzie? — odezwał się głos z krzaków, gdy Janek z przewodnikiem zbliżyli się do nieb na kilka kroków.

— Swoi, — odrzekł przewodnik, — prowadzę jakiegoś młodzika od Pawła do pułkownika.

Wszyscy, tak w izbie zgromadzeni, jak przewodnik i spotkany pod zaroślami, byli uzbrojeni, i z pakunkami na plecach przytrokowanymi, jak tornistry.

— A co tam w waszej dziurze się dzieje? — zapytał wartownik.

— Pełno w niej naszych, — odrzekł zapytany, — a wszystkim jakoś dobrze z oczu patrzy. Zawsze to> jednak zbieranina i pewno, jak przyjdzie co do czego,, uciekać zaczną jak zajęce.

— A ty z nimi.

— W twoim towarzystwie to mi nie będzie smutno, — odrzekł przewodnik cokolwiek urażony, — gdybyś jednak miał jaką przekąskę na śniadanie, tobym. chrupnął, bom strasznie wygłodzony.

— I ja także,—odpowiedział wartownik,— wódki to mam jeszcze kilka łyków we flaszce, ale na ząb, to mi brak nawet choćby kruszyny chleba.

— A to bieda!—szepnął przewodnik.

. A

— Ja się podzielę z wami, — odezwał się Janek, — bo mam w torbie mały zapasik żywności.

— Bracie, dawaj, dawaj, — odezwali się obydwaj, — zjemy choćby kamień, byle był ugotowany.

— To prowianty wasze pułkowe widać, że nie obfite, — rzekł Janek, wydobywając z torby wędzonkę i bułkę razowego chleba, włożone mu przez poczciwą Barbarę.

— Różnie bywa, mój bracie! Czasem jest pułk i pułkownik, a magazyn pusty, czasem znów przeciwnie, magazyn pełny, a pułk ,o miłę. Teraz właśnie tak wypadło.

— Czy pułk wasz dopiero się formuje? —zapytał Janek.

— Naturalnie, a mundury nam wiozą razem z kasą na wydatki, i z prowiantami na wozach.

— A broń?—zapytał znowu Janek.

— A i broń także, kupują ją w arsenałach węgierskich, ale teraz każdy musi się jeszcze obchodzić własną, jaką posiada.

— To do Węgier pójdziemy?

— Ma się rozumieć, — odrzekł przewodnik, — z Węgrami dobra sprawa, bo mają dobre wino i bryn-

dzę wyborną. Ale poznajmy się lepiej. Jestem Jurwas, świeżormianowany sierżantem i mający nadzieję awansu aż na generała!

— A ja jestem Gruzda, — odezwał się wartownik, mający nadzieję utycia na kwaterze, — bo teraz wycieńczyłem, jak pijawka w butelce chowana.

— Ja zaś, — odezwał się Janek, rozruszany wesołością towarzyszy, nie chcąc jednak wydawać się z nazwiskiem przed nieznanymi i przypuszczając, że i oni tylko przybrane miana wymienili, rzekł ze swobodą: — jestem rekrut z pod Karpat, ale pewny, że zostanę naczelnym wodzem.

— Wiwat! nasz wódz! — zawołał Jurwas, i wyprostowany zasalutował wojskowym obyczajem. — Rad- bym cię, wodzu, nigdy nie opuścić, ale pod warunkiem, że mi zawsze służbę będziesz naznaczał, nie gdzie rąbią i strzelają, ale gdzie dzwonią w szklanki i brzęczą w talerze.

— Dobrze, wojaku! — odrzekł Janek, udając dobry humor, aby sobie zaskarbić życzliwość poznanych towarzyszy. — W nagrodę zaś twych walecznych czynów, obdarzę cię gwiazdą wygryzioną z pieczonego ziemniaka, lub surowej marchwi

— Dobrze ci powiedział, — rzekł Gruzda.

— A to cięta sztuka! — zawołał Jurwas. — Widzę, że z tobą na języki nie łatwa sprawa.

— To samo na lance i pałasze, a z dubeltówki, biję jaskółki w locie! — odrzekł Janek.

— Toś ty wojak całą gębą! — zawołał Jurwas.

— I dobry towarzysz, — dodał Gruzda, — bo nas pożywił przyzwoicie i człek rozweselił się i baraszkuje, jak za dobrych czasów, chociaż wojna za pasem.

— O wojnie coś przebąkują, — odezwał się Janek, — ale nie wiem, kto się ma bić i o co?

— No, i ja nie wiem z kim i o co, — odrzekł Jurwas, — ale mnie to niewiele obchodzi, byle bić i basta!..

— Ale mnie obchodzi, — odezwał się Janek, —• bo chcę wiedzieć za czyją sprawę głowy będę nadstawiać;

— Od pułkownika wszystkiego się dowiesz, kiedyś taki ciekawy! — odrzekł Jurwas. — Pójdźmy więc, panie rekrucie z pod Karpat!

X.

Mikos był to chłop olbrzymi; w kapelusza czarnym, twarz mu całą osłaniającym,, leżał w wydrążeniu skalnem pagórka, okryty bnrką. Niedaleko od niego tlało ognisko, słabym migocząc płomykiem; przy niem siedział góral, podrzucając gałązki, aby nie zgasło. Pod samą ścianą wyniosłości, stromo wznoszącej się w górę, leżało kilku ludzi w tak twardym śnie pogrążonych, że zdawało się, jakby byli nieżyjącymi. Gdy zbliżył się Jurwas z Jankiem, Mikos uniósł się z ziemi.

— Czego chcesz?—zapytał.

— Przyprowaździłem tego, którego Paweł zwerbował...

— Dobrze, — potwierdził Mikos,— zbliż się tu, chłopcze!

— Ja nie jestem... — odezwał się Janek, podsuwając się ku Mikosowi.

Ale ten zerwał się i zawołał:

— Milczeć i odpowiadać na moje pytania! Na rozprawy nie mam czasu i żądam tylko wojskowej karności i posłuszeństwa.

Teraz Janek przypatrzył mu się dobrze. Był to mężczyzna, niemający lat jeszcze czterdziestu, silny, muskularny, z zarostem czarnym, twarz mu całą okalającą. cym, i z oczami iskrzącymi, spojrzeniem kota, albo wilka, który zarówno w dzień widzi dobrze, jak w nocy. Ubrany w obcisłą, szamerowaną, dość bogatą kurtę, za pasem miał pistolet i sztylet w pięknej oprawie. Gdy z fukiem nakazał milczenie Jankowi, ten słowa już nie przemówił, a Mikos spojrzał na niego i kręcąc brodę na palcu, zapytał po chwili:

— Jak się, nazywasz ?

. T— Nazwiska mego prawego nie mam powodu żadnego wymieniać, — odrzekł Janek, — bo jeszcze nie wiem, czy zostanę tu, czy pójdę dalej.

— Jakto, bez mego pozwolenia? — zapytał Mikos porywczo.

— Przyszedłem tu z własnej woli, to i odejdę, jak zechcę, — odrzekł Janek, — a nikogo o pozwolenie pytać się nie będę!

— A ja cię osmyczę za to zuchwalstwo! — zawołał Mikos, zbliżając się do Janka z pięściami do niego wyciągniętymi.

— Spróbuj!—odrzekł Janek, wyjmując także pię- ście z pod burki.

— Młokosie! czy nie wiesz, że tylko skinę, a zostaniesz związany i zasieczony różgami.

— To być może!— odparł Janek.— Słabszy może uledez silniejszemu, ale nie powinien pozwalać, aby mu ubliżano.

— I cóż dalej?—zapytał Mikos, wąsem kręcąc.

— Nic już więcej, tylko to, że obchodząc się z ludźmi, jak z drapieżnym zwierzem, można mieć przy sobie zwierzęta, ale z ludzi ani jednego.

— Hm! uwaga sprawiedliwa, — mruknął Mikos, — jeżeli więc chcesz, wezmę cię do swego sztabu.

— Być może, że stopień ten przyjmę, ale chciałbym wiedzieć, — odrzekł Janek, — jeżeli na wojnę zanosi się, z kim ma być wojna i o co?

— A cóż ci Paweł powiedział?

— Powiedział, że hrabia Szechenyi głównie tu jest działający, a ja tam tylko chcę służyć, gdzie on będzie występował.

— No, to dobrze trafiłeś, ja właśnie z jego polecenia zbieram ochotników i ulegam jego rozkazom.

— Jestem zatem na rozkazy pułkownika! — odrzekł Janek,—a nie chcąc się jeszcze wydawać ze swem nazwiskiem, dodał: — Nazywam się rekrut z pod Karpat.

— Bardzo dobrze,—odrzekł Mikos, — jak chcesz się zwij, byłeś był posłuszny. A teraz odpocznij, bo wkrótce odkomenderowany zostaniesz do oddziału po odbiór kasy, której się'co chwila spodziewamy.

To rzekłszy, Mikos okrył się burką i skinął na Janka, aby odszedł. Młodzieniec usiadł przy uśpionych i zaczął rozważać przeprowadzoną rozmowę. Życzenie jego spełniło się, zbliżył się niejako do hrabiego, z którym się tak pragnął poznać, ale nie mógł sobie wytłómaczyć tajemniczości tak Pawła, jak Mikosa, którą się widocznie otoczył. O spodziewanej wojnie były tylko gawędy, ale tej jeszcze nie było, a tu wszystko tak wojennie wyglądało, i ochotników zbierano po ca

łym świecie, jak grzyby w lesie, i to prawie samych Słowaków.

— Co to wszystko znaczy? — myślał sobie. — Mikos mnsi wiedzieć wszystko dokładnie, ale od niego nic się nie dowiem, a ta zbieranina, która pułk ma utworzyć, tyle wie co i ja. Ścigany niesprawiedliwie i może już osądzony, jak ostatni zbrodniarz, narażony na niebezpieczeństwo schwytania, nie mogę wybierać i muszę się trzymać Mikosa, dopóki położenie rzeczy dokładnie się nią wyjaśni. Potem postanowię, co mam dalej rbbić.

Zaledwie ukończył tę rozmowę z samym sobą, gdy nadbiegł od pola wartownik Gruzda, powiadając, że trąbka pocztowa dała się słyszeć w oddaleniu, i że Jurwas z Mrukiem już udali się z oddziałem na gościńiec, naprzeciw jadącego pocztowego wozu.

— Zbudź więc wartę,—odezwał się Mikos,—i poprowadź ją na miejsce oznaczone, ja zaś tu na was czekać będę.

W kilka minut wszyscy wartownicy i Janek, pod dowództwem Gruzdy, wyruszyli spiesznie Jku gościńcowi. Na horyzoncie, jak rąbek świetlany jaśniała już jutrzienka, zapowiadając błysk zorzy. W około panował jeszcze mrok, ale przedmioty bliższe już można było rozpoznać. Oddział szedł w milczeniu; gdy się przesuwali około chaty Gryzowej, drzwi do niej były na oścież otwarte, a izba pusta. Niebawem, przez groblę pomiędzy moczarami, weszli na drogę.

Trąbkę pocztową coraz wyraźniej słyszeć można było, droga dndniała pod kołami jadącego wozu, już się rozlegało potrzaskiwanie bicza, parskanie koni, gdy nagle ozwały się wystrzały z palnej broni, podniósł się okrzyk, wrzawa, tętnienie biegnących jeźdźców, z których część, z dobytymi pałaszami, dawszy kilka wystrzałów, wpadła na jadących.

Janek, nie mogąc zrozumieć, co to wszystko znaczy, w zamieszaniu, jakie stąd powstało, zobaczywszy się szczęśliwym trafem odosobniony, zbiegł z drogi na pole i chyłkiem zaczął uciekać. I byłby tak biegł zapewne bdrdzo długo, aby od napastników oddalić się jak najdalej, ale nagle wpadł w jakąś grzęzawicę, i pragnąc z niej wydobyć się, ugrzązł prawie do połowy ciała.

Zaprzestał więc gmerać się w bagnisku, chciał obejrzeć się, co się tam za nim dzieje, ale nie mógł obrócić się w uwięzi, dał więc pokój dalszym usiłowa

niom i tylko bacznie nasłuchiwał. Hałas wrzał bez przerwy, zamęt panował ciągły, odzywały się jeszcze kiedy niekiedy wystrzały, czasami jęki boleści i krzyki wielkiej trwogi, wreszcie ucichło wszystko, tylko w polu świergoliło ptactwo, a w zbiorowiskach wody rechotały żaby, jak to zwykle bywa w polu przed wschodem słońca.

Janek, o ile mógł, przyjrzał się okolicy. Pusto wszędzie było, i nie dostrzegł ani jednej żywej istoty. Spojrzał na siebie. Z przyborów nic nie utracił, ale Usłyszał w pewnym oddaleniu, jakby głos ludzki coś mówiący, ale tonem przytłumionym, jakby zagniewanym.

Zaniepokoił się tem bardzo. Mógł to być jeden z towarzyszy, tak niefortunnej wyprawy. W takim razie rad byłby mu bardzo, ale mógł być i nieprzyjaciel, ściągający zbiegów i złoścący się na mokradła, które musiał przebywać. Spojrzał przed siebie, ale głos odzywał się z tyłu, gdyby więc nieprzyjaciel wypatrzył go w tej łapce, stałby się jego panem, bo o obronie nie mógł nawet pomyśleć. Postanowił zatem zachować się jak najspokojniej i nie wydawać niczem swej obecności.

.96

Wtem weszło słońce w całej wspaniałości blasku, jakim darzy ziemię. W innym wypadku byłby je Janek powitał z radością, ale w swem położeniu tak niezmiernie krytycznym, wołałby, żeby zjawienie się swoje spóźniło. Weszło jednak, nie można było dłużej czekać, i Janek zaczął się gramolić do wydobycia z uwięzi.

Niełatwa była sprawa, bagno było niezmiernie- grzązkie, za każdym większym wysiłkiem, Janek zapadał się coraz więcej, i w końcu byłby się cały zanurzył, ale pomału za pomocą dubeltówki przyciągnął do siebie gałąź jakiegoś krzaku, i przy jego pomocy z wielkim trudem dostał się wreszcie na kępę, na której ów krzak zbawczy wyrastał.

Do gościńca z miejsca tego spory był kawał drogi, zuacznie większy, niż przypuszczał, i nie mógł pojąć, jak go mógł przebyć w tak krótkim czasie.. Zapomniał, że chleb ma rogi, a strach nogi, którym i ptak często nie zrówna. Gościńcem nikt nie jechał, wokoło także było pusto, Janek więc uspokojony, otarł się z powalania, osączył z wody, uporządkował rzeczy, i postanowił wrócić do gościńca, bo dalej w bagniska zapuszczać się nie miał odwagi.

Zaledwie jednak postąpił

Na włóczędzie. Cz I.

97

kilka kroków, zobaczył na bagnisku coś sterczącego, podobnego do olbrzymiego czarnego grzyba.

— A to co? — zapytał Janek sam siebie, postępując kilka kroków.

— Hej! najdroższy przyjacielu,— odezwał się ów grzyb mniemany. — Czyś przyjaciel, czy nieprzyjaciel, ratuj biednego wędrowca, tonącego w tem przekłętym bagnie. Gdyby to była małmazya, albo tokaj węgierski, tobym tu chciał siedzieć do sądneho dnia, ale bagno i do tego trącające zgnilizną, to potrawa niezmiernie wstrętna. Ratuj więc... co widzę? — zawołał nagle, spojrzawszy na Janka, który w tej chwili doszedł do niego.— Toć to nasz rekrut z pod Karpat...

— Jurwas!— zawołał zdziwiony Janek.

— A tak, ja, ten sam, tylko zdaje mi się, że z bokiem trochę przedziurawionym.

— To niedobrze.

— O! i bardzo niedobrze, ale raz kozie śmierć, ratuj więc, bo jeszcze z pół godziny, a zginę, jak komar na nosie!

Janek, nie wdając się w długą gawędę, zaraz zabrał się do udzielenia pomocy towarzyszowi, z którym

przed dwiema zaledwie godzinami zapoznał się w tak wesołej pogadance, a teraz oba wpadli w taką biedę, jakiej ani przypuszczali.

Ratunek tu jednak był bardzo trudny. Biedny ■Jurwas był cały jakiś słaby niezwykle, gramolił się, Janek go ciągnął ku sobie, ale napróżno, pasek, który mu rzucał, wysuwał mu się z ręki, a raz Janek tak się nachylił, że o mało sam nie wpadł w bagno, tylko ■chwycił się za pień brzozy, i to go uratowało od powtórnej kąpieli.

-< Rekrucie, ostrożnie! — zawołał Jurwas — bo jeżeli łbem utkniesz w bagnie, a nogami popłyniesz w obłoki, to komu zapiszę testamentem całe moje mienie, złożone z pragnienia, które mnie piecze i z głodu, który mnie pali, jakbym wulkan miał w sobie buchający lawą.

Janek mimowoli uśmiechnął się z żartobliwości ■swego towarzysza, którego nawet w tak dokuczliwej biedzie wesołość nie opnszczała. Wreszcie udało się Jur- wasa wyciągnąć z bagniska, a ten zaraz nsiadł na kępie przy drzewie i zaczął opatrywać * ranę krwią brocząca. Była ona dosyć szeroka, pałaszem w bok przy .zebrach zadana.

— A co, nie zgadłem, że mam bok przedziurawiony? — odezwał się Jurwas. — Ale dobrze ci tak* głupi Jurwasie, że zamiast siedzieć w domu i łapać muchy po dniach całych, gonisz wiatr po świecie, łba. nadstawiasz, żeby drudzy przysmaczki zajadali, a ty ślinę łykał. Niech tam wszystko lichu porwie, ot, wiesz co, jakoś mi słabo być zaczyna. Daj dubeltówkę, to sobie w łeb palnę!

* — Nie bądźże waryatem!

— Prosisz? — zapytał Jurwas.— No, kiedy prosisz, żebym żył jeszcze, to zrobię to dla twej przyjaźni, ale najprzód trzeba pomyśleć o ranie, która jakoś za bardzo się rozhułała, a ma ochotę wszystką krew ze mnie wytoczyć. Potem pomyślimy o obiedzie, ze wspólnej naszej składki. Ty dasz zapewne worek pusty, a ja brzuch wygłodzony, i zrobimy z tego traktament, a na deser zjemy po kawałku bagna. Wiesz co, bracie, że nie ma, jak być partyzantem! Człek nauży- wa i chłodu i głodu, niewywczasu i pragnienia, a w zysku odbiera różne siekanki od kuli, albo szabli. Wiwat! niech żyje partyzantka!

Przez ten czas Janek opatrywał ranę Jurwasa;.

Nie była ona głęboką i dosyć się z niej krwi wysączyło. Biedny chłopak otrzeźwiał cokolwiek, a gdy Janek podzielił się z nim resztki swoich zapasów i powiedział, że muszą *się jak najprędzej z miejsca tego -oddalić, bo być bardzo może, że wkrótce będzie przeszukiwane dla przekonania się, czy jaki ranny w bagnistych zaroślach nie ukrywa się.

— Tylko to najgorzej, że nie wiem, dokąd pójść, żeby spokojnie mózdz wyleczyć się z odebranego guza. Do' miasta nie, bo wydadzą; do wsi także nie, bo -chwycą. Mam ja na przygórzu Karpackim ciotkę, pocziwa to bardzo kobieta, kocha mnie, ale niezmiernie - oszczędna. Żałowała mi zawsze grosza, a ja jedyny do hulanki, łajała za próżniactwo, a ja 3 pracą, jak pies z muchami. Kadziła naukę, żeby czemś zostać na świecie, ale to rzecz i trudna i nudna. Prysnałem więc 1 domu i zostałem partyzantem, bo 'to człek hardo wygląda, coś znaczy, wąsa pokręca, a może zostać generałem. A i zostałem... prosiakiem babrzącem się w bagnie, zgubionym kretem bez twego ratunku. Bracie, pomocy tej nigdy ci nie zapomnę, jeżeli więc zdołam nogami poruszać, to cię zaprowadzę do pocziwej mojej ciotki, która ze mnie, hultaja', chciała zrobić czło-

wieka. Jeżeli łapy moje odmówią posłuszeństwa, to .mnie porzucisz na drodze...

— Nigdy!—zawołał Janek.—Wprawdzie i ja pragnąłbym do swoich się dostać...

— Czy po stryczek?—zapytał Jurwas.

— A to dlaczego?

— Cóż to, nie wiesz, że opryszków bez wyroków wieszają?

— Przecież ja, ani ty, nie jesteśmy opryszkami, tylko partyzantami.

— I ja tak myślałem, — odrzekł Jurwas, — ale- przekonałem się, że nas w pole wywiedziono. Mikos, to najprostszy zbójca, ułożył zasadzkę na furgon pocztowy, wiozący grube pieniądze, ale widać, że dowiedziano się o tem i znowu na niego zastawili łapkę. Pandury to bowiem taką nam sarabandę sprawili, z której ja może się i nie wyliżę.

— Ależ to byłoby podłością ze strony Pawła, — odezwał się Janek,— gdyby nas rozmyślnie na zbójców wy kierował.

— Zapewne, ale sądzę, że i jego oszukano.

— To być może, cóż jednak dalej zrobimy?—zapytał Janek.

102

— Prawda, nie pomyślałem o tera!—odrzekł Jurwas, i kręcąc głową, dodał:—Otóż wylazłem z jednego bagna, a zabrnąłem w drugie. Niema więc rady, i jeżeli mają mnie powiesić za to, -żem bez wiedzy został zbójcą, to zacznę rabować i napadać, żebym został prawdziwym opryskiem, a wtedy stryczkiem nie popełnię niesprawiedliwości.

— Ej! pleciugo! — odezwał się Janek,—nie lubię nawet żartów podobnych.

¹ — Masz słusność, żarty więc na bok, a z wszelką powagą rozważmy nasze położenie. W bagnie siedzieć dalej nie możemy, bośmy nie żaby. Wszak prawda?

— Na nieszczęście, najzupełniejsza!

— Gdy więc nie może być ani siak, ani owak, to ostatni ratunek ciotka... U niej wypoczniemy i naradzimy się, co dalej robić.

— Ruszajmy więc do twej poczciwej ciotki, — odezwał się Janek.— Do niej cię odprowadzę, a potem sam udam się do mego zacnego opiekuna, może się już burza uspokoiła.

— To i ty przed burzą smyrnąłeś?

— Tak jest, ale niewinnie prześladowany.

103

— I ja to samo. Policjanta, co burmistrzował za wiele u ciotki, wyrzuciłem za drzwi, i powiedziałem, że cały magistrat złożony z samych szubrawców i złodziei. Nie spodobało się im to, chcieli mnie złapać za łeb, ja też wziąłem nogi za pas i wpadłem... w bagno.

Jurwas choć udawał wesołość, był jednak porządnie osłabiony i bez pomocy Janka puszczać się pieszo nie mógł. Wypocząwszy więc należycie, wyruszyli w drogę. adając myśliwych, i jak tylko zobaczyli coś podejrzanego na gościńcu, zaraz puszczała się w pola, lub zarośla przydrożne. -W chacie jakiejś na uboczu sio-; jącej, pożywili się mlekiem i ziemniakami i znowu szli dalej. W jakiejś cienistej dąbrowie, przespali kilka godzin, podczas największego upału, a gdy się ocknęli i ranę opatrzyli, Jurwas rzekł:

— Wiesz co, rekrucie z pod Karpat, że swoboda, jakiej używamy, bardzo mi się podoba, tylko głód, wielki grubianin, bo ciągle dokncza.

— I jabym się chwycił choćby wilka, — odrzekł Janek, —ale trzeba sobie radzić. Czuję dym w powietrzu, ogień się więc gdzieś blisko pali...

— Poczekaj! — zawołał Jurwas, podnosząc się, —
204

i ja mam nos dobry, szczególnie dó wywężania pieczeni. I pociągnąwszy nosem dodał:

— Prawda, dym, ale jakiś chndeusz, najpewniej wychodzący z ogniska rozpalonego przez wiejskich pastuszków.

— Trzeba się jednak przekonać, — rzekł Janek, — a może co zdobędziemy!

105

XI.

Głód naprawdę dobrze już dokuczył naszym wędrownikom. Przez noc' całą i dzień mało co jedli, a ciągle prawie byli na nogach, poszli więc obaj w stronę wychodzącego do nich dymn, i zaledwie z zarośli wydobyli się na pole, zobaczyli przy palącym się ognisku grono dziatwy wiejskiej, otaczającej je w koło. Na widok dwóch obcych ludzi i do tego uzbrojonych, dziatwa zaczęła uciekać, ale jakoś opamiętała się. Kilka chłopców się zatrzymało, do nich dołączyli się drndzy, i utworzyła się znowu kupka wyrostków, podobnych do ptaszyn wyglądających z gniazdeczka.

W ognisku Ziemniaków nie było, Jurwas zwiesił nos, a Janek westchnął strasznie miłosiernie. Z chłopcami chciano zawiązać rozmowę, ale zbliżyć się nie chcieli, a gdy ich badano, dlaczego są tak bojaźliwi, odrzekli:

— A kto panów wie, co jesteście za jedni? Może zbóje, którzy dziś na pocztę napadli?

— Masz tobie! — mruknął Jurwas, — już nawet te małe sikory wiedzą o nocnej awanturze.

Do wsi zatem iść nie można było, a nawet i mi- trężyć nie należało, jeżeli chcieli uchronić się od przy- aresztowania. Radzi więc, nieradzi poszli o głodzie dalej, w napotkanej osadzie pożywili się trochę, gdyż na szczęście, jak wiemy, Janek miał mały zapasik pieniędzy, ale jak tylko wyszli z chałupy, w pewnym, dość zhażnionym, oddaleniu, ujrzeli patrol konny, spuszczający się z góry wprost ku nim.

— Otóż nowa bieda! — zawołał Jurwas.— Czeka nas miłe spotkanie! Uciekać nie mogę, bo mi rana przeszkadza, uciekaj więc ty, rekrucie, a mnie zostaw memu losowi.

Janek nie chciał opuścić towarzysza, ale poradził, aby nie okazując żadnej trwogi, weszli na tyły osady, a tam może znajdą możliwość ukrycia się na czas jakiś. Ponieważ mieszkańcy byli na robocie w polu, niepostrzeżeni też przez nikogo, przemknęli się między

budynkami i za ogródkiem pomiędzy gęstymi krzakami tarniny, napotkali dobrze osłonięty dół, do przechowywania ziemniaków przez zimę, z wejściem tak nieznanym, że tylko przez świadomych mogło być dostrzeżone. Cichaczem oba wsunęli się do niego.

Dół był obszerny, wysłany cały słomą, którą ncznwszy Jnrwas pod nogami i obmacawszy rękoma, zawołał:

— Komnata pałacowa, jakby przygotowana na nasze przyjęcie, nawet z puchową pościelą...

— Cicho, gaduło! — odrzekł Janek, — trzeba nam zachować się jak najspokojniej...

— Prawda, — przerwał Jurwas, — w lisiej norze trzeba lisiem rozmawiać skomleniem. Milczę więc, jak ryba.

W dole było ciemno: Jurwas położył się na słomie i kiedy wyciągnął nogi, czuł, że dotknął się jakiegoś przedmiotu miękkiego, który poruszył się i wydał jakieś niezrozumiałe mruczenie.

— Oj! — zawołał Jurwas, — a tara co takiego?

Janek zaczął się rozpatrywać, nasłuchiwać, Jnrwas także nastawił uszy: mruczenie niebawem zmieniło się w sapanie.

xo8

— A może wpadliśmy w norę węża grzechotnika, — odezwał się Jurwas, ale go Janek zaraz trącił, dając znać, aby był cicho, i po chwili rzekł przyciszonym głosem:

— Zdaje mi się, że tu ktoś śpi.

— Ludzka dusza, powiadasz? — zapytał Jurwas. — Szczęśliwy człowiek, że tak spać może smacznie. Widać, że dobry zjadł obiad.

Wtem sapanie ustało, śpiący ziewnął i nagle umilkł. Podróżni zachowali się jak najciszej, starając się nawet nie poruszyć, aby słoma nie zaszeleściła. Śpiący w dole równą zachował ostrożność, aż wreszcie Janek ośmielił się zapytać:

— Kto tu jest?

— Hm! — mruknął nieznajomy.

— Kto tu? — zapytał znowu Janek, ale już śmieiej.

— Albo co? — odrzekł nieznajomy.

— Spuść z tonu, bracie, — rzekł ostro Jurwas, — bo nas dwóch, a ty jeden, to się w kaszy nie damy.

Nieznajomy podniósł się i podsunął ku Jurwasowi.

109

— Podnieś się,— rzeki, — niechno ci się przypatrzę w tej ciemnicy, bo mi się po głosie zdaje, żeśmy obaj szczury, które wpadły w jedną łapkę.

— Do stu tysięcy!—zawołał Jurwas,— toć to widzę Gruzda, a ty tu co robisz?

— Oj! wolałbym być zającem, niż' sobą,— odparł Gruzda,— bo za zającem tylko się kurzy, co tak zmiata przez poła, a ja siedzę w norze, z której tylko czekać jak mnie wykurzą, jak lisa.

— Ale skąd się tu wzięłeś?

— Az naszej partyzantki i wyprawy na furgon pocztowy, — odrzekł Gruzda.— Jak pandury, czy żandarmi wpadli na nas, kula jedna fru! mi koło ucha, druga warknęła przy nosie i urwała mu sam czubek, trzecia zawadziła o ramię i zdarła skórę do kości, 'a ja myślę sobie: źle bracie, dalej w nogi! I kopnąłem się w pole, ale jak mnie pandur rypnął pałaszem przez szyję, takim przewrócił trzy koziołki, i potem stanąłem na głowie dęba.

— A to cię uczęstował, — odezwał się Jurwas,— niech go!..

— Daj pokój, nie przeklinaj, bo choć to pandur, ale poczciwy człowiek. Nie ostrzem mnie płasnął, ale płazem pałasza...

— To nie może być!—przerwał Jurwas.

— W pierwszej chwili i ja tak myślałem, — odrzekł Gruzda, — bo jak mi zaszumiało i zatrzęszczało w uszach, jak gdyby cały most pod Pesztem walił się w Dunaj, tak myślę sobie: a to mi łeb gracko uciął, jak brzytwą, co to z tego będzie dalej. Bez łba przecie na tamtym świecie pokazać się nie mogę, bo to byłoby nie po służbie! Ale macam, łeb jest w swoim miejscu, tylko mnie kark boli, i jak chcę łbem obrócić, to dopomagam sobie rękoma, jak młynarz kołowrotem, gdy wiatrak pod wiatr ustawia. '

— A to się nam obu udało,—mruknął Jurwas,— tyś łba o mało nie stracił, a ja wszystkich kiszek z brzucha.

— A kto to ten drugi, czy uasz brat?

— A toć to rekrut z pod Karpat,— odrzekł Jurwas,—znasz go dobrze!

— Rekrut, co nas uczęstował wędzonką?— zawołał Gruzda, zwracając się nagle do Janka i w tej chwili straszliwie syknął, chwytając się za szyję.

— Oj! — zawołał, — zobaczcie, czy mi się głowa nie urwała, bo zdaje się, że wisi już tylko na cienkiej żyłce.

— Ej! bajdo, przestań pleść koszałki opałki...

— To tylko tak dla własnej pociechy,— odrzekł Gruzda,—bo mi bieda tak dogryzła, że prawie radbym, aby mnie złapano i powieszono.

— Smacznego apetytu,—odezwał się Jurwas,—widać, żeś wielki elegant, bo pragniesz ozdoby, jakiej mało kto używa.

— Oj! byłem nim niegdyś,—z westchnieniem odrzekł Gruzda,— ale dziś skończyło się wszystko...

— Cyt! — zawołał Janek, który zbliżył się do wejścia i wspięty na palce, wytknął głowę otworem, nasłuchując.

W tej chwili dał się słyszeć gwar rozmowy kilku ludzi, brzęczenie ostróg i pałaszy, szelest w krza? kach, wreszcie wszystko to zbliżyło się do dołu i jakiś głos zapytał:

— Co to? Dół ziemniaczany? Trzeba go przeszukać, bo być bardzo może, jak honor kocham, że się tu ukryli. Hej! jest tam kto? Jeżeli jest tam kto, niech

113

się odezwie, bo słowo honoru, na zwiady poślę wam kilka kul pistoletowych.

— Juźcić jestem, — odezwał się Gruzda,— i kiedy mnie tak grzecznie prosicie, to znów nie będę tak uparty, abym gwałtem w tej jamie siedział.

— A! jesteś, wylaż, ptaszku!

— Ma się rozumieć, że wylazę,- -odrzekł Gruzda,— bo i cóż mam robić?

— A gdzie drugi? — zapytał wachmistrz pan durów.

— Jestem,—odrzekł Janek, i wysunął się za Gru- zdą z dołu.

— A niema już więcej nikogo?

— Niema już nikogo, — odrzekł Gruzda.

— Ho, ho, waszym zapewnieniom, jak honor kocham, nic nie wierzę. Trzeba dół zrewidować!

— Nie potrzeba! — zawołał Jurwas, wysuwając ¹ się z dołu. — Oto jestem trzeci i ostatni, na co daję wam słowo honoru!

— Co, co? — zawołał wachmistrz,— zbójcecki honor nic u mnie nie znaczy, słowo honoru! Dół więc przepatrzeć.

Na włączędzie: Cz. I. 8

U3

Rozkaz spełniono natychmiast, a gdy się przekonano, że był pusty, wachmistrz zaczął zaraz wypytywać, co są za jedni, i dlaczego w dole się ukryli.

Janek opowiedział wszystkie okoliczności, które spowodowały ucieczkę jego z domu, i jak skutkiem tego wplątał się w położenie, w jakim się obecnie znajduje. Nie wymienił tylko nazwiska Pawła, nie chcąc wydawać przyjaciela.

— Byłem pewny, — rzekł w końcu, — że Mikos zbiera oddział partyzantów węgierskich, i gdy sam to potwierdził i dodał, że spełnia polecenie hrabiego Szechenyego, czułem się w obowiązku być mu posłusznym, jak żołnierz swojemu dowódcy. Znajdowałem się te? przy napadzie na furgon pocztowy, ale nawet wystrzału nie dałem do eskorty, rzuciłem się potem na mokradła i ledwo w bagnie nie utonąłem. Tam spotkałem Jurwasa, i jako rannego, nie mogłem porzucić. Postanowiłem więc odprowadzić go do domu, a sam wrócić do Bożygrodu.

— Wszystko to może być prawdą, — odezwał się wachmistrz, węża pokręcając, — ale mam honor ci powiedzieć, że czy tak czy owak, kara cię sroga nie minie, bo dla zbójców niema pobłażania, słowo honoru!

— Niech się spełni Boża wola, — odrzekł Janek, — jestem na wszystko przygotowany!

— To bardzo pięknie, — odrzekł wachmistrz, — ale mimo to będziesz dyndał, jak honor kocham! A teraz, wy dwaj drudzy, zaczynajcie się wyłgiwać i kręcić, zapewne także jesteście niewiniątkami?

— Tak, panie wachmistrzu, — odpowiedział Gruzda, — jesteśmy czyści, jak kryształ, jak honor kocham!..

— Zapewne, jak twoja morda zbójcka, — odparł wachmistrz, — która wygląda, jakby w wazce ze krwi ulepiona!

Janek teraz dopiero spojrział na Gruzdę i aż się przestraszył, tak biedak całą twarz miał krwią zakrzepłą zawałaną.

— Nic dziwnego, — odrzekł Gruzda, — że wyglądam jak maskara! Gdy nas licho złączyło z Mikosem, wyszedł rozkaz, ruszyć w pole i przyjąć kasę pułkową. Poszedłem więc, a tu kula omyliła się i zamiast mnie w sam łeb palnąć, żeby raz biedowanie moje się skończyło, utraciła mi malutki koniec nosa, który rozgniewany, jak zaczął krwią pryskać, tak zrobił ze mnie maskarę, choć to nie karnawał, słowo honoru!

— Co ty, wisielcze, tak honorem szastasz? — zapytał wachmistrz. — Zbójca i honor, to jak woda i ogień.

— Ja też nie jestem zbójcą, — odparł Gruzda, — i na to daję najuroczystsze słowo honoru!

— Otóż masz, znowu wyjechał z honorem, jak z łysą kobyłą na targ!

— Ha! naśladuję tylko pana pana wachmistrza, — odparł Gruzda.

— Ja co innego, bo jestem człowiek honorowy, jak honor kocham, ale ty, zbójca, opryszek i waga- bunda, żebyś miał mnie naśladować! A to mi się podoba!

— Przepraszam, pana wachmistrza, to nie z rozkoszy, tylko z ostatniej rozpaczy, — odrzedeł Gruzda, — , bo szubienica nikogo nie cieszy. Jeżeli Bóg mi ją przeznaczył, to mnie nie minie!

— Bardzo mądrze powiedziane, — odrzekł wachmistrz, — a że cię szubienica nie minie, to ci zaręczam, jak honor kocham, i to jutro najdalej, a jeżeli pragniesz pośpiechu, to dziś jeszcze wieczorem^

— Najniższy sługa, pana wachmistrza dobrodzie*-

iP :

ja, — odrzekł Gruzda, kłaniając się z uszanowaniem. —. Słowo honoru...

— Jak honor kocham! — przerwał wachmistrz, — widocznie masz takie przysłowie.

Oducz się tego, bo to rzecz arcy brzydka, jedno w kółko klepać!

— Radbym to spełnić, — odrzekł Gruzda, — ale podobno braknie mi na to czasu.

— I ja także tak myślę, ale żeby ci ułatwić poprawę, to postawię przy tobie wartownika z puśliskiem, i jak wymknie ci się wyraz tak święty, jak honor, to on puśliskiem przez plecy oduczać cię będzie przysłowia, tak dla ciebie niewłaściwego. Ja honor czuję w sobie, wymieniam go więc nie z przysłowia, tylko z tego, co mi przynależy, żeby wiadano, że kłamstwem ust swoich nie kalam. Rozumiesz, trutniu?

— Rozumiem, panie wachmistrzu, bo rzeczywiście byłem trutniem i zginę jak truteń! — odrzekł Gruzda, smutnie zwieszając głowę.

W dalszem badaniu, zeznania tak Gruzdy, jak Jurwasa, były podobne, z małemi zmianami, do zeznań Janka. Wachmistrz ¹ wysłuchał wszystkiego z wielką powagą, i kazał wszystkich trzech zamknąć w chlew-

ko, w którym było pełno różnej nieczystości, a Błomy ani garści, poczem postawił przy nim warte.

— Zmiłoj się, panie wachmistrza, — rzekł Jurwas, — spoglądając we wnętrze chlewka, każ nam przynieść choć pęk słomy, bo jestem ranny...

— A ja głodny, jak wrona w zimie, — przerwał Gruzda, — dajcie nam chleba i wody!

XII.

Gdy się nasi wędrowcy znaleźli sami, Janek był przygnębiony, Jurwas milczący, a Gruzda obmywszy twarz ze krwi, i obwiązując nos szmatką płócienną, mówił sam do siebie:

— Dobrze ci tak, przekłety nosie, zawsze się wtykałeś tam, gdzie ci niepotrzeba, cierp teraz i medytuj!

Janek spojrział na niego, i z wielkim podziwem zobaczył łzy w oczach Gruzdy.

— Płaczesz? — zapytał. *

— To nie ja płacę, ale żal, że byłem zuchwałym głupcem w latach mej młodości. Tak, moi kochani, baraszkowałem* figlowałem, próżnowałem, od nauki stroniłem, ot, i wyrosłem na dryblasę, co nic nie umie, tyl-

ko jeść, pić, bawić się i stroić. Póki na mnie pracowano, wszystko było dobrze, gdy mnie łajano i napędzano do nauki, to skrycie pokazywałem im, aż cztery figi, po dwie u każdej ręki, a w myśli mruczałem: — gadaj, nudziarzu, gadaj, a mnie po co męczyć się przy książce i pracy, kiedy rodzice mają majątek. A i zostałem sam, bez rodziców i majątku, i teraz tułam się po świecie sam, nie wiedząc co z sobą mam robić, aż się wreszcie dopchałem... do szubienicy.

— To tak, jak ja, — odezwał się Jurwas. — Ojciec zawsze mi mówił: — Nicponiu, skończysz na stryczku, a wróżba, widzę, spełni się!

— Ja, moi kochani, inaczej młode lata przepędziłem, — odezwał się Janek, — bo i uczyłem się i pracowałem, i miałbym kawałek chleba w świecie...

— A jednak, jak my, przerwał Gruzda, — wpadłeś w łapkę, z której podobno żaden z nas już się nie wygramoli

— Prawda, że wpadłem, ale to przez nierozwagę trochę, mam jednak nadzieję, że mnie Bóg nie opuści i wyprowadzi szczęśliwie z biedy zupełnie niezasłużonej.

— Daj, Boże! Daj, Boże! — odezwał się Jurwas, — ale jakoś mam złe przeczucie.

— I ja to samo, — dorzucił Gruzda z wielkim przygnębieniem. — Dopóki wachmistrz paplał swoje trzy po trzy szpikowane honorem, to trzymałem się na duchu jako tako. Teraz jednak jestem zupełnie przy-, gnębiony. Tak młodo ginąć na szubienicy!...

— I mnie mory przechodzą! — odezwał się Jurwas.

— Nie dziwię się temu, módlmy się więc, — rzekł poważnie Janek, — a Bóg nas pocieszy, lub da. męstwo do zniesienia doli, jaką nam przeznaczył.

I modlono się długo. Janek zaczął potem pieśń do Opatrzności, do czego przyłączyli się i jego towarzysze, w czasie której przyniesiono im posiłek, złożony z gotowanych ziemniaków i krupniku ugotowanego na kościach.

Jakoś raźniej się im zrobiło, na duszy; wygłodzeni zajadali wieczerzę z wielką chciwością, a gdy ją ukończyli, Gruzda rzekł:

— Mój Boże! nigdyś strasznie byłem wybredny i na taki krupnik spojrzećbym nawet nie chciał. Dziś jadłem go z takim smakiem, jakby najwykwintniejsze

delicje. Bieda—to dobry nauczyciel, uczy rozumu, a głód najlepszy kucharz, wszystko po nim smakuje.

W pół godziny potem, zawołano ich do samego dowódcy oddziału. Był to człowiek niemłody, z zarostem czarnym, jak węgiel i z bardzo srogiem spojrzeniem. Stawionych przed sobą zmierzył od stóp do głowy, rzucił kilka pytań, a gdy mu na nie odpowiadano, uśmiechał się szyderczo, zaszemrał cichaczem złorzeczenia, a potem krzyknawszy groźnie:

— Cicho, hołoto! Dość tych wykrętów!

Zwrócił się do wachmistrza, mówiąc:

— Jutro, o wschodzie słońca rozstrzelasz ich, a potem ruszymy w drogę... Pamiętajcie wczas się przygotować. Wreszcie można ich powiesić, bo na takich łotrów szkoda prochu. Zostawiam to zupełnie twemu gustowi, co wolisz. Wyprowadź ich!

Młodzieńcy oniemieli, żaden głosu wydobyć nie umiał z piersi, jeden-tylko Janek zdołał przemówić:

— Wybaczy, pan dowódca, ale zdaje mi się, że prawom wyjątkowym nie ulegamy, a takie doraźne wydanie wyroku..

— Precz, zuchwalcze! — przerwał gwałtownie dowódca, ^— jutro możesz mnie zaskarżyć, a dziś marsz do

122

więzienia. Jeszcze z wami, zbójami, będę się kłopotał !

Nadzieja ocalenia zginęła. Biedaków tak niesprawiedliwie osądzonych, tak bez litości traktowanych, odprowadzono do chlewa i powiedziano, aby-się przygotowali, bo jutro wyrok z pewnością wykonany będzie. Usłyszawszy to, Gruzda choć udawał tak wesołego zucha, o mało nie zemdlał, Jurwas zachował się ze spokojną rozpaczą, Janek zbladł, jak ściana.

— Żegnaj, ojczyzno Michale,— szeptał, składając ręce i opierając się na nich czołem. — Żegnaj i ciebie, zacna, kochana ciotko! Pierwsze to pono zmartwienie, jakie wam sprawiłem w życiu swoim... straszne, okropne, nie z mojej winy. O, gdybyście razem z panem Tomaszem i Cyrylem mogli wiedzieć, co się ze mną w tej chwili dzieje, jakżeby serca wasze straszną uczuły boleść. A Etelka, dobra, kochana Etelka? co ona teraz porabia? Niema jak dni kilka, od opuszczenia Bożygrodu, a zdaje mi się, że już wieki moich ukochanych nie widziałem.

Co się działo z Gruzdą i Jurwasem, domyśleć się- nie trudno. Gruzda łamał ręce i ciągle narzekał na

!*:3

swą nierozwagę, zmarnowania całej młodości bez najmniejszego dla siebie pożytku.

Jurwas klęczał przy ścianie i jak osłupiały patrzył' bezmyślnie, chwiejąc głową rozpaczliwie. Janek milczał także, a rzewne wspomnienia matki i pobytu w Bożygrodzie, ciągle mu się przewijały po głowie.

— Bracia! — odezwał się po chwili.— W Bożygrodzie mieszka szczególnie zacny kapłan, ojciec Michał. Zawsze powiadał mi:—Moje dziecko, wszystkim Bóg rządzi i wszystko sądzi, a śmierci nie należy się lękać, tylko złych czynów. Śmierć od Boga pochodzi, złe czyny z ludzkiej złości, żałujmy więc przewinień spełnionych, a Bóg nas nie opuści. Módlmy się!

Wszyscy trzej rzucili się na kolana, i podnieśli modły szczere, serdecznie prosząc Boga o miłosierdzie i ocalenie. Uspokoilo to ich znacznie, podniosło na duchu, wywołało poddanie się wyrokowi Bożemu, tak, że zaczęli się zastanawiać, czyby nie udało się im uciec w nocy z więzienia.

Było to jednak niepodobieństwo. Chlewek był niewielki, ale na podmurowaniu, ściany miał z grubych bali, a żołnierz postawiony na straży, ciągle obchodził go w koło. Gdyby podkopali się, zamiast rydla ręka mi się posługując, zaraz byliby dostrzeżeni przez war-, townika. Zresztą, samo wydzieranie ziemi z pod muru nie dałoby się skutecznie bfez zwrócenia na siebie uwagi. Jak się ściemniło, próbowali podkopu, ale za- ledwie zeszło pół godziny czasu, żołnierz zawołał:

— Hola! hola! dajcie pokój temu babraniu się w ziemi, to na nic się nie przyda. Jeżeli nie zaprzestaniecie roboty, zostaniecie powiązani, jak barany.

Jurwas zaczął prosić żołnierza, aby udał, że nic nie słyszy i nie widzi, błagał go i zaklinał, ale żołnierz ciągle jedno powtarzał, że tego żadnym sposobem zrobić nie może.

— Choćbym i zatkał uszy i oczy przymknął, — dodał,—to na nicby się to nie przydało. Za kwadrans zostaną zluzowany, to jeśli nie ja, to drugi posłyszycie, co się u was dzieje, i zaraportujecie wachmistrzowi. Dajcie więc pokój wszelkim usiłowaniom wydobywania się z uwięzi, bo tylko pogorszycie los swój i tak nie budzący zazdrości.

Obluz warty wkrótce nastąpił. Zabrano się znowu do roboty, ale żołnierz w tej chwili prawie nad- słuchawszy co się wewnątrz dzieje,' zawołał:

— Hej! grzebały, czy myślicie, że ja taki głupi i dam głową swoją za wasze puste mózgownice? Przestańcie roboty, żal mi was, ale, jak powiadają, śmierć i żona od Boga przeznaczona. Jeżeli macie zginąć, to nic nie pomoże i zginąć musicie.

Trzeci wartownik, był to stary wyjadacz i śmierci, jak mówił, nieraz w oczy zaglądał.

— Nie trwóście się, — mówił do nich, — śmierć straszna, ale tylko zdaleka. Mnie na pograniczu woj- skowem powieszono' i tak mi się miło zrobiło, że byłem pewny, iż w wielkiej paradzie wjeżdżam do raj. Przez oddział patrolujący przyprowadzony do przytomności, w taką z tego wpadłem złość, że z dowódcą patrolu pokłóciłem się za wyrządzenie mi przysługi wcale niepożądaney i oddany pod sąd za niesubordynacją, o mało co nie zostałem rozstrzelany. Skończyło się wszystko na poście i kozie.

Z żołnierzami więc nie dało się nic zrobić, a chociaż, gdy jeden rozmawiał, a drudzy kopali, starając się jak najciszej zachować, robota szła tak wolno, że była prawie nic nieznacząca.

XIII.

Nadeszło wreszcie rano* Wschodzące słońce pro- mieriem zajrzało do chlewka obróconego na chwilowe więzienie. Skazańcy, zaprzestawszy pracy, która teraz jużby się na nic nie zdała, siedzieli przy sobie i modlili się. Byli bladzi, zmęczeni pracą daremną, miewczasem i smutnem swem położeniem. Z przerażeniem nasłuchiwali, czy nie idą już po nich, aby spełnić wyrok tak bezlitośnie wydany.

Żołnierze z patrolującego oddziału spali w stodole, w sąsiedkach, konie chrupały owies na klepisku, wachmistrz na przewróconym korycie, siedział oparty o ścianę i drzemał, a na małym wzgórk, dającym widok na całą okolicę, stał konny jeździec na straży, zupełnie

jak podczas wojny, czuwający nad bezpieczeństwem całego oddziału, aby niespodziewanie nie został napadnięty. Konie w stodole były okulbaczone, przy nich przechadzała się warta, żołnierze byli nie rozebrani. Wachmistrz pierwszy się obudził, poruszywszy się tak gwałtownie, iż runął na ziemię jak długi.

— Słowo honoru! — zawołał, gramoląc się z ziemi, byłem pewny, że leżę na łożku i chciałem się na drugi bok przewrócić. Hej! oddział na nogi i do koni. Trze - ba je napoić, wstawajcie, wstawajcie! Już słońce weszło, jak honor kocham!

Żołnierze zaczęli się podnosić, ziewając straszliwie, konie zaparśkały, wachmistrz opiął mundur, pokręcił wąsy i poszedł do komendanta. Zastał go jeszcze leżącego na posłaniu.

— Przychodzę do pana komendanta z raportem,— rzekł, zatrzymując się przy drzwiach: i mam honor oświadczyć, że w nocy nie zaszło nic nowego, wszystko w porządku, jak przynależy.

— To dobrze,— odrzekł komendant,— niech oddział zabierze się do śniadania i potem zaraz ruszymy w drogę.

Wachmistrz zrobił lewy zwrot i już miał wyjść z izby, gdy komendant zawołał:

— Ale, ale, cóż się dzieje z więźniami?

— Idę właśnie spełnić wyrok.

— To ich jeszcze nie rozstrzelałeś?

— Dopiero weszło słońce, słowo honoru, panie komendancie, nic w służbie nie uchybiłem.

— To dobrze, egzekucji nie będzie.

— Jestem na rozkazy, pana komendanta!

— Odebrałem wczoraj depeszę, którą dopiero w nocy przeczytałem, aby na opryszków przez szpary patrzeć i tylko złapanych na gorącym uczynku chwycić i wydawać najbliższej władzy.

— Dobrze, panie komendancie, biedota to wielka, w pakunkach nic podejrzanego nie znalazłem.

— Zostaw wszystko, nic im nie zabierać, — odrzekł komendant, — a nawet każ przygotować dla nich śniadanie... Niechaj poznają, żeśmy im przychylni. Możesz im to powiedzieć.

Wachmistrz, przechodząc koło stodoły, wydał żołnierzom odebrane polecenia, a potem poszedł do więźniów.

— No, chłopaki,—rzekł, wchodząc do nich,—przychodzę do was z dobrą nowiną, słowo honoru!

Więźniowie sądząc, że to ma znaczyć przystąpienie do wykonania wyroku, w milczeniu powstali przygotowani na dołę, jaka ich czeka.

—■ A i cóż wy na to ? — zapytał wachmistrz, uśmiechając się przyjaźnie.

— Jesteśmy gotowi, panie wachmistrzu, — odrzekł Janek, — ale radbyra się zobaczyć z panem komendantem...

— Ale mówię wam o dobrej nowinie, słowo honoru, a kiedy tak mówię, to musi być dobrą!

— Cóż takiego? — zapytali się więźniowie.

— Oto jesteście wolni, zupełnie wolni, jak honor kocham...

— Czy to być może? .

— Chłopaki! nie obrażajcie mnie, — odrzekł wachmistrz,—bo kiedy się klnę na honor, to u mnie rzecz święta.

— Jakże się to sjpło? — zapytali wszyscy razem, nie mogąc pojąć tak nagłej zmiany w losie swoim.

— Jak się to stało? powtórzył wachmistrz,— bardzo prostym sposobem. Powiedziałem komendantowi: panie komendancie, to jakieś chłopaki poczciwe, dobrze im zoczów patrzy, a jeżeli troszkę pobaraszko- wali, to i nam się to zdarzy. Trzeba im więc przebaczyć, proszę o to, zrób to dla mnie, panie komendancie, słowo honoru!

— Komendant zmienił wyrok?—zapytano.

— Przecież ja o to prosiłem, jak honor kocham, mógłże mi odmówić? Żeby zaś okazać, jak ceni moje słowo, kazał wam przygotować śniadanie, a ja ze swej strony wydam wszystkie rzeczy, choć prawem zdobyczy do nas należą. Poznajcie z tego, jak jesteśmy dla was życzliwi.

Więźniowie własnym uszom wierzyć nie chcieli, ale gdy zobaczyli drzwi otwarte, wartę ściągniętą i zabrane pakunki zwrócone, uwierzyli wreszcie szczęściu, jakie ich spotkało. Nieświadomi obrotu całej sprawy wydali okrzyk radości, samochwale y serdecznie podziękowali, uściskali go, ucałowali, a Gruzda prawie szalał i wachmistrza ledwo nie udusił, tak go ścisnął zapalczywie.

— Dość tego, — rzekł wreszcie wachmistrz, —

jak honor kocham, zanadto mnie męczysz, chociaż zasłużenie.

— Słowo honoru!— odezwał się Gruzda, ale mu przerwał wachmistrz.

— Jużem ci powiedział, — rzekł, — że klepać tak jedno w koło, to strasznie brzydko. Ja co innego, jak się na honor powołam, to zawsze zasadnie, tam gdzie przynależy, a ty przypinasz honor, jak kwiat do kożucha. Trzeba się koniecznie od tego odzwyczać.

— Dobrze," panie wachmistrzu, słowo honoru, — odrzekł .Gruzda i złapał się za usta.
— Ach! bo- dajcie!

Wachmistrz uśmiechnął się i pogroziwszy palcem, rzekł L[^]i

— Widzisz, jak to trudno odwyknąć od złego, jak honor kocham!

Wywikłani z tak wielkiego niebezpieczeństwa, młodzieńcy, pożywieni śniadaniem, pożegnawszy się z komendantem, jeszcze raz podziękowali wachmistrzowi za tak skuteczną opiekę, który wyjeżdżając za od* działem, rzekł do nich:

— Bądźcie jednak ostrożni, bo nie wszędzie spotkacie takiego wachmistrza, żyjącego w takiej przyja

źni ze swym komendantem. Strzeżcie się, bo jak was inny patrol złapie, to się z biedy tak, jak tu, nie wydobędziecie, i jak honor kocham, stryczek, albo kula w łeb pewna, słowo honoru.

Wyrzekłszy to, wachmistrz kopnął się za oddziałem i młodzieńcy zostali sami, radząc, co z sobą robić, aby zabezpieczyć się od podobnego w przyszłości wypadku.

Jednocześnie z wyjazdem wachmistrza, z chaty wyszła gospodyni i mąż jej z kosą, wybierający się do roboty w polu. Z innych także chat pokazali się włościanie i kobiety, i ze współczuciem otoczyli młodzieńców, ciesząc się z ich uwolnienia.

— Ach! te hajdamaki, — mówili, — bodaj przepadli i dostali się na same dno piekła. Ścigają opry- szków, a sami gorsi od zbójców.

— Przeszłego roku, — odezwała się jedna z kobiet, — jak wpadli do naszej osady, to zabrali wszystko do ostatniego kawałka chleba i jeszcze syna mego pobili.

— A memu to samo chcieli zrobić, ale uciekł i poszedł w góry, — wyrzekł jakiś poważny gospodarz. — Radzę wam to samo zrobić, bo inaczej to was

chwycą i uśmiercą. Węgier rusza się jakoś, powiadali nasi, co byli w Brzetysławiu, a po niemiecku w Pre- sburgu, że tam tylko wszystko wre i kipi. Trzeba się mieć na ostrożności, bo jak Węgier się rozbryka i weźmie górę, to nam poskąpi i powietrza, co niem darmo wszyscy oddychamy.

I długo jeszcze podobnie rozprawiano i wszyscy jedno radzili, aby młodzieńcy, unikając jakiego smutnego wypadku, poszli w góry, gdzie właśnie Czuwas zbiera oddział, i później połączyć się ma z Kro- atami.

Rada ta spodobała się Gruzdzie i Jnrwasowi, Jankowi tylko nie trafiła do przekonania, bo on pragnął dostać się do Węgier, a tu wszystko przeciw nim wrzało.

Spełniając jednak życzenie dwóch swych towarzyszy, postanowił udać się z nimi w góry, dla wyszukania Czuwasa, ale zawsze z zamiarem opuszczenia go, gdyby przeciw Węgom wystąpił. -

— Gadajcie mi co chcecie,— rzekł,— ale ja znam Węgrów i pewny jestem, że nikomu krzywdy nie zrobią.

— Niech tam sobie będzie jak chce,— ozwał się Gruzda, — ja zrobię wszystko, jak uradzicie, bo jestem jeszcze nieprzytomny, który nie wie, czy ma głowę całą na karku, słowo honoru, jak powiedział nasz wachmistrz pocziwy!

XIV.

Nie mitrząc więcej, młodzieńcy nakarmieni i zaopatrzeni w żywność na dni kilka, na co tylko ubóstwo włościan zdobyć się mogło, udali się w podróż z zamiarem wpisania się do oddziału* zbieranego przez Czuwasa.

Janek chciał odłączyć się od swych towarzyszy, ale nie był pewny, czy się do domu bezpiecznie dostanie i czy tam nie spotka nowego niebezpieczeństwa. Przykro mu to było niezmiernie, że ani wiadomości o sobie dać nie może, ani dowiedzieć się, co tam ukochani jfego porabiają. Ale uległ konieczności i uszczęśliwiony odzyskaną swobodą, ruszył w drogę z przyjaciółmi, obdarzonymi jeszcze błogosławieństwem gościnnych, ale biednych wieśniaków.

. — My tam nie chcemy się do niczego mieszać,— rzekli jeszcze przy rozstaniu się. — Czy to Węgier, czy to Niemiec, to dla nas jedno lichy! Czy ten, czy drugi stanie górą, nam zawsze wiatr będzie w oczy i choć się potłuką, to się i pogodzą, a na nas wszystko się skrupi.

Mając zapasy żywności, młodzieńcy w podróży, o ile mogli, starali się omijać wsie i miasta. Byli weseli, rozmowni, Gruzda umyty, z plasterkiem na nosie?- danym mu przez jedną z wieśniaczek, żartował, śmiał się; raz poraż o honorze robił wzmianki. Janek także odzyskał dawny humor, tylko Jurwas trochę narzekał na ranę, którą także miał obłożoną plasterem.

— Co prawda, — odzwał się Gruzda, — bez kawałka nosa będzie mi czas jakiś niewygodnie, ale jak mi odrośnie...

— Jak rakowi noga, — dołożył Jurwas.

— Żartuj, bracie,— odrzekł Gruzda,— zawsze mi łatwiej bez kawałka nosa, niż tobie z rozprutym brzuchem. Ale dobrze, żeś o rakach wspomniał, w pierwszym strumieniu nałowię ich — i sprawimy sobie gody...

— Ze śliwowicą i tokajem, — dorzuci! wesoło Janek.

— Ach! śliwowica, jakże Jej dawno nie piłem.

— Jabył wolał, - rzekł Gruzda, '— wygodne

łóżko. Nie pogardziłbył dobrym traktamentem, ale od miesiąca prawie nie znam co dach, nawet w psiej budzie nie spałem.

— Ha! nic dziwnego,— odezwał się Jurwas,— na włóczędze różnie bywa. Dawniej w domu wybredzało się, to złe, a to nie dobre, to takie, a to owakie, dzisiaj zjadłbył nawet skorupy z jaj, obrzynki rzeźnicze ...

— Co tam obrzynki,— przerwał Gruzda,— jabył zjadł, jak delicye, podeszwy ze starych pantofli.

— A jame pantofle, choćby niedopieczone i przydymione!—dorzucił Janek.

— Słowo honoru, prawda, ale bądź có bądź, nasz pocziwy wachmistrz z tym swoim honorem, dosyć był zabawny. A jak karciał za przyzwyczajenie.

— Nic dziwnego,— odezwał się Janek,— przecież to dawno wiadomo: że przygania motyka gracy, a oboje jednacy. Łatwiej widzi się źdźbło w oku brata, niż belkę we własnym.

Mimo jednak tak swobodnej rozmowy, młodzieńcy usilnie starali się unikać wszelkiego niebezpiecznego spotkania. Nie szli głównym gościńcem, ale drożynami, pilnowali się lasów, do karczem wstępowali tylko z konieczności, odpoczywali w gąszczach leśnych, spali w dzień, a przez noc całą maszerowali. Drugiego dnia takiego ostrożnego pochodu, okolica coraz stawała się odmienniejszą, drożyny wiły się po wzgórzach coraz wynioślejszych, spuszczały się w doliny i znów wspinały się na wyżyny, z których szczytów prześliczny roztaczał się widok bardzo rozległy. Spotkani ludzie przy pracy w polu witali wędrowników z pewną życzliwością, nazywali biednymi chłopcami, — widocznie domyślając się, w jakim celu odbywają podróż. Udzielali wskazówek, któredy mają iść, jakiej pilnować się drogi i jednozgodnie powiadali, że zanosi się na ruchawkę.

Tak idąc i czując się coraz bezpieczniejszymi, wdarli się nareszcie w same góry Karpackie. Teraz szło tylko o wynalezienie obozowiska Czuwasa, do którego podążali. Postanowili więc już nie tać swego zamiaru, i pierwszych spotkanych górali zapytali, czyby który z nich nie chciał zostać przewodnikiem i doprowadzić ich do kryjówki tego partyzanta.

Góral poskrobał się w głowę, poruszył ramionami i odrzekł niedowierzająco:

— Już cię siedzi w górach, bo chłopaki jego czasami do nas zachodzą, ale gdzie go szukać, to kto go tam wie.

— Wynagrodzimy was za ten przysługę, — odezwał się Gruzda.

— Ej! nie łakomy ja tam na taki zarobek, my z Czuwasem nie mamy żadnej przyjaźni. Siedzi w górach, bo siedzi, płaci za wszystko co weźmie, ale szukać go—nie mamy do tego ciekawości. Idźcie z Bogiem i dajcie nam święty spokój!

Gruzda zaczął się gniewać, góral przypatrywał się mu coraz podejrzliwiej, skrobał się, spluwał i wreszcie zabrał się do przerwanej roboty.

— Dajcie mi pokój!—powtórzył,—ja pilnuję swojej pracy, a nie Czuwasa.

— Bądźcie spokojni, — odezwał się Janek, dając znak Gruzdzie, aby się uspokoił.— Nie pytamy was ze złej woli, albo z chęci zdrady Czuwasa...

— A kto was wie, o co wam tu idzie, — odparł góral, — teraz taki czas nastał, że nikomu wierzyć nie można.

— Nam możecie wierzyć, — mówił dalej Janek, — bo gdybyśmy zdradę mieli w sercu, tobyśmy nie we trzech szukali Czuwasa, tylko poszedłby jeden...

— Ej! różnie bywa,—mruknął góral,—a co w myśli człowieka, to kto zgadnie?

— W naszej niema podstęp.

— Słowo honoru, — dorzucił Gruzda, — jesteśmy niewinni, jak gołębie, co z gniazda jeszcze nie wyfrunęły.

— Ej! tak każdy gada, a jak raz wygadałem wszystko z prawdą, co wiedziałem o Czuwasie, to jak mnie wzięli pod kij, to tak tańcowałem, że myślałem, że duszę ze mnie wytrzęsą, bo to byli z komendy Czuwasa, a udawali pandurów. Drugi raz nic nie mówiłem o Czuwasie, albo o pandurach gęby nie żałowałem, to jak mnie starszy lunął przez plecy, to skoczył jak zając, że mnie i na koniu dogonić nie mogli! To znowu byli pandury, a udawali Czuwasów. Najlepiej to głupiego udawać!

— Ma słuszność, jak honor kocham,—potwierdził Gruzda, — gdybym miał ten rozum, nie byłbym teraz w takich tarapatkach.

— A cóż to na was takiego złego spadło ? — zapytał góral.

— A spadło, spadło, bo mi aż kawałek nosa odpadł od kuli pandnra.

— Nie gadajcie! Ja też uważałem, że wam cośić braknje, tylko nie wiedziałem, czy oka czy nosa?—odrzekł góral, filuternie się uśmiechając.

— Albo może nogi,—dorzucił Gruzda.

— A może! — potwierdził z tą samą filuternością góral, skrobiąc się w głowię. — Powiadacie więc, że pandury was tak przystroili?

Tu Janek opowiedział wszystko, co ich spotkało, jak Jurwas raniony siedział w bagnie i jak potem, uchwyceni przez pandurów, mieli być powieszeni i nagle wolność odzyskali.

Góral słuchał wszystkiego z zajęciem, kręcił głową, ubolewał nad biedakami i potem 'Zapytał:

— I to wszystko mówicie prawdę, jak na świętej spowiedzi?

— Bóg moim świadkiem, — odrzekł Janek, obnażając głowę z kapelusza, — i niech mnie ciężko ukarze, jeżeli zmyślam!

— No, to jużćić wierzyć trzeba na takie zakłęcie, — odrzekł góral. — Niech więc dzieje się wola Boża, poprowadzę was, ale jeżeli mnie zdradzicie, to już chyba prawdy niema na świecie!

XV.

W godzinę potem, młodzieńcy wypocząwszy i pożywiwszy się w chacie górala, wyruszyli w drogę pod jego przewodnictwem. Z początku była dość • wygodna, choć coraz przez większe przechodziła wyniosłości, ale wkrótce góral zwrócił się ku ścieżkom, a potem i te porzucił i zapuścił się w skaliste nierówności, spuszczał w dół ku potokom, wspinał się w górę i po licznych zakrętach, aż przebyciu kilku przepaści i rozpadlin, dotarł wreszcie do miejsca, powiadając, że za wskazanym załomem skalistym, sterczącym, jak gmach jaki wyniosły, znajduje się jaskinia, w której Czuwas się ukrywa ze swymi ludźmi.

Podróżni byli bardzo zmęczeni. Janek, wychowany w górskiej okolicy, nie czuł tak wielkiego utrudzenia, Gruzda już trochę narzekał, a Jurwas ledwo włókł się za towarzyszami, narzekając na ranę, która w pochodzie tak szybkim trąca się, dobrze mu dokuczała.

Gdy doszli do owego załomu, nagle z pobliskiej skały, oddzielonej od nich przepaścią, usłyszeli głos ludzki:

— Hej! stójcie! dokąd idziecie?

Młodzieńcy spojrzeli w stronę słyszanego zapytania i przystanęli.

Na skale stał młody góral, w obszernym, czarnym kapeluszu, w kurcie i obcisłych spodniach, wyszywanych taśmami; na ramionach miał burkę z grubego sukna, spiętą na haftki U szyi, za pasem sztylet i pistolet, a w ręku dubeltówkę.

— JanoB,—odrzekł góral, — prowadzę wam chłopaków z nizin do waszej kompanii.

— A to wy, Stachu?... to idźcie dalej!—odrzekł czatownik i ukrył się za skałę tak, że widać było mu tylko pół twarzy przez mały otwór jakimś zielskiem przysłonięty.

— A Czuwas jest w jaskini?

— Już cały tydzień czekamy na niego,— odrzekł

góral, — i pewno dziś wróci. Ale jest tam Muras, to on Czowasa zastąpi. * ,

Gdy weszli za głązy sterczące, otworzyła się przepaść dość obszerna, cała zarzucona jakby gruzami z roz- tłuczonej wielkiej skały, ale taka głęboka i ciemna, że choć słyhać było ciekący w niej strumień, dna jednak dojrzeć nie można było. Z obu jej stron wznosiły się strome skaliste ściany wysoko wybiegające, porośnięte zwartym gąszczem sosen i jodeł.

W tej, do której dochodzili nasi podróżni, przy podnózu jej wysuwała się jakby olbrzymia pięść bajecznych olbrzymów, tworząc coś jakby dach, pod którym widać było otwór do jaskini, a w niej palące się ognisko. Dym z niego, mimo ciszy i pogody, nie wychodził w górę prostym strumieniem, ale rozbity o ową wystającą nad nim skałę, rozlewał się w nizinie, sunął nad przepaścią i ginął w jej skrętach prawie bez śladg.

Przy ognisku siedziało kilku ludzi, ubranych zupełnie tak, jak spotkany na czatownicy: opodal spało także kilku, a dwóch spuszczać się z wyżyn urwistych, donosiło pęki suchych gałęzi, zdatnych na paliwo. Każdy z nich zajęty swoją czynnością, zaledwie zwracał uwagę na idących i spojrzawszy niedbale, znów zabrał się do pierwszej pracy.

Stach, przewodnik, w milczeniu doszedł do samego ogniska, przysiadł przy niem; młodzieńcy poszli za jego przykładem, i zaczęli- ciekawie przypatrywać się całemu otoczeniu.

W jaskini było pełno strzelb, pistoletów, sztyletów leżących na kupie, a wewnątrz jej, prawie całe, zasłane było mchem i suchą trawą, porastającą nad strumieniami i w skalistych rozpadlinach.

— Czy pieczecie ziemniaki? — zapytał Stach, patykiem grzebiąc w popiele.

— Nie, gotujemy wieczerzę,—odparł jeden z siedzących przy ognisku. Nie rozrzucajcie napróżno węgla, bo tam nic nie znajdziecie.

— A gdzie Czuwas?

— A kto go tam wie! Już tydzień mija, jak był u nas i co chwila go się spodziewamy."

Czy tych mło- dziaków do nas zmówiliście?

— Juźcić do was, bo im jakoś dobrze z oczów patrzy.

— Muras zaraz przyjdzie, to się z nimi rozmówi. A co tam za wiatr od Węgier wieje?

- Wszyscy wróżą, że spokojności nie będzie i tylko czekać, jak się zakotłuje.
- To dobrze, właśnie o to idzie.
- Wam to tylko w to graj, ale jak rozpoczniecie, to potem wszystko złe spadnie na was.

Już to taka nasza dola...

Wtem nadszedł Muras, chłop jak dąb, z ponurem wejrzeniem i z brwiami tak gęstymi, że mu prawie oczy zasłaniały. Przyjrzał się młodzieńcom, wypytał, co ich do Czuwasa sprowadziło i czy umieją bronią robić. Zaspokojony odpowiedziami, zwrócił się potem do Stacha, mówiąc:

— Możecie już iść z powrotem, pamiętajcie tylko być ostrożnie, bo zdrajców nie brakuje, ale i stryczków nie brakuje.

Stach spojrzawszy łakomie na garnki gotujące się przy ognisku.

— Otóż znowu mowa o stryczku, — szepnął Gruzda, — już mnie to nudzić zaczyna, słowo honorni

Janek trącił go, żeby umilkł.

— Już cię pójde, — odrzekł Stach, — ale po takiej wędrówce w brzuchu mi kręci, toć mnie tak naczcho nie puście do domu. I młodziakom także, co ich przyprowadziłem, oczy aż się iskrzą do jadła.

Muras nic nie odpowiedział, spojrzawszy na garnki, patykiem oakrobanym i ostro zakończonym, wydobył z nich kawał mięsa, przyjrzał się mu i potem rzekł:

— Już się ugotowało, jedzcie!

Wieczera składała się z rosółu z kaszą i mięsa troszkę twardego) ale wszyscy mieli zdrowe zęby i wilczy apetyt i wszystko chrupali bez wyboru, nawet próbowali, czy im się nie uda zjeść kości. Garnki wkrótce wypróżnione zostały do ostatniej kropelki, i Gruzda obcierając usta, powiedział, że, jak żyje, nic jeszcze nie zjadł równie smacznego.

Stach góral, zabrał się do powrotu. Przy pożegnaniu, Janek, chcąc mu wynagrodzić zrobioną przysługę, zapytał:

- A co się wam, ojczy Stanisławie, należy za przewodnictwo?
- A cóżby, jak nie Bóg zapłać?
- To i tak dostaniecie, ale i za fatygę coś się wam należy?

' — Juźcić, cośby się należało, — odrzekł Stach, poruszając ramionami, — ale pożywiłem się niezgorzej, to i na tem poprzestanę. U was tam pewno grosza nie do zbytku, schowajcie go na złe czasy, a jak z gór zejdziecie, to nad nami chndziakami nie przewóǳcie bardzo, bo i tak każdy na nos ntyka.

— Szlachetny męża! — zawołał Grnzda, — pozwól, niech się podzielę z tobą braterskiem uściskiem !...

— Ej! nie wydziwiaj, — odrzekł Stach, — i nie bałamuć próznemi słowami. Bóg zapłać—za wszystko starczy.

Po odejściu Stacha, rozpoczęła się gawęda, zaspokojony głód rozwiązał wszystkim usta. Gruzda z Jur- wąsem zabrali się do opatrywania ran, co zobaczywszy Muras, podał im po kawałku maści.

— Macie lek doświadczony,— rzekł,— nie z apteki, ale dobry, jutro z ran waszych, ani znaku nie zostanie.

W rozmowie, młodzieńcy dowiedzieli się, że Czu- was poszedł po rozkazy, że podobne, jak ich oddziały, rozsypane są po różnych stronach w górach dla łatwiejszego wyżywienia się, że się wszystkie mają połączyć i pod dowództwem Czuwasa, należeć do głównego korpusu i pójść ria wojnę.

Przeciw jednak komu, o tem żaden nie wiedział i nawet się o to nie dopytywali. Młodzieńcom ta nieświadomość nie bardzo się podobała, szczególnie Jankowi, ale o tem nie zrobił najmniejszej wzmianki. Dopiero kiedy ich wyprawiono po zebranie suchej trawy na posłanie, jeżeli nie chcą na twardej spać skale, rzekł Janek:

— Kto wie, moi kochani, czyśmy z deszczu nie spadli pod rynnę.

— To być może, — odrzekł Gruzda, — ale kiedym pewny głowy na karku i syty, co mi się od miesiąca już nie trafiło, to kłopoty te zostawmy na później.

— Jutro rozpatrzmy się i lepiej wy wachamy, co się tu święci,—rzekł Janek.

— I ja będę wachał także,—dodał Jurwas, a Gruzda zaraz dorzucił:

— Mnie brak nosa do takiej posługi, słowo honoru!..

Muras, zobaczywszy nowych ochotników, powracających z pękami mchu i suchej trawy, przywołał ich dó siebie i rzekł, wskazując na Gruzdę i Jurwasa:

— Ty bez nosa i ty z dziurawym brzuchem, będziecie dziś wolni od służby, a ty, drażalu...

— Żowię się rekrut z pod Karpat, — poprawił Janek.

— Cicho, młokosie! — zawołał Muras, marszcząc brwi, które mu całe oczy zasłoniły.

— Winienesz tylko słuchać, a nie odpowiadać. Żebyś się więc nauczył su- bordynacyi, będziesz dziś na służbie przez noc całą, aż do świtu. Pójdiesz ku drodze i pilnować będziesz ścieżyn, co ku nam idą i zważać na wszystko, co się na nich dzieje. Ody zobaczysz coś podejrzanego, staraj się rozpoznać, czy to będzie wilk, czy człowiek, gdzie się zwraca i gdzie idzie. Jeżeli ku nam, daj wystrzałem sygnał, jeżeli w przeciwną stronę, to go śledź, gdzie zamierza.

Janek przypomniał sobie rozmowę z Mikosem, w której także fuknął na niego, jak Muras, zalecając bezwarunkowe posłuszeństwo. Murasa całe obejście było niemiłe, jak i twarz jego pokryta, jakby chmurą gniewu. Przekonany, że rozprawa z nim może go jeszcze bardziej rozłościć, nic na wydane rozkazy nie odpowiedział, a pragnąc trochę odpocząć przed całonocną służbą, rzucił się na usłaną przez siebie trawę.

— Prześpij się, biedaku, — rzekł Gruzda, — kiedy ten ponury niedźwiedź tak się ostro do ciebie zabrał. Jak zmęczysz się wartą, obudź mnie, a zastąpię cię. Nosa wprawdzie nie mam całego, ale oczy i nogi zdrowe, jak honor kocham!

XVI.

Janek serdecznie podziękował za obietnicę przysługi i okrywszy się burką, zaraz usnął. Równie ze zmierzchem obudzono go i natychmiast wyprawiono na czaty. W obozowisku także wszyscy spali; jeden tylko czuwał przy ogniu, drugi przerąbywał gałęzie. Janek, zarzuciwszy dubeltówkę na ramię, wetknął za pas sztylet, podany przez Musę, z zaleceniem pilności, i poszedł na wyznaczone stanowisko ku ścieżynom, idącym przez góry. Na kilkadziesiąt kroków przed nim, w pośród po- mroki nocnej, bieleły się one, jakby oznaczone kredą na czarnej tablicy. Przystanął i nasłuchiwał.

W około panowała cisza. Szumiały tylko potoki górskie, zatrzepotał czasem ptak nocny, albo wiatr zaszeleścił w gęstwinie. Janek powstał czas jakiś, zapuścił spojrzenie w dal, spojrzął na niebo, na gwiazdy rozsypane rzęśisto po sklepieniu niebieskim, pomyślał o swoich ukochanych w Bożygrodzie i posunął się ku drodze, jak mu to zalecono. Nic na niej także nie dostrzegł, najmniejszego ruchu; cisza była tak wielka, że zdawało się, iż nawet trawy, krzewy i drzewa, rozkoszują się nocnym spoczynkiem.

I tak przechadzając się, odpoczywając i smutnie rozmyślając, nagle zdało mu się, że drogą ktoś się wspina ku góróm. Aby go lepiej mieć na oku, Janek przykucnął za gęstym krzakiem jałowcu. Nieznajomy szedł dalej pewnym krokiem. Ubrany był równie z węgierska, ale dość okazańie i z pewną zamożnością. Na głowie miał wciśnięty głęboko czarny kapelusz, sztylet za pasem i pistolet w rękę. Gdy przechodził kolo Janka, ten twarzy jego nie mógł dostrzedz, ale wielkie w nim dopatrzył podobieństwo do Mikosa: ten sam ruch i też samą, co on, postawę. Gdy go minął, Janek cichaczem, dusząc . w sobie oddech, stąpając na palcach bez najmniejszego szelestu, wysunął się ze swej kryjówki i po- skoczył za nim.

Droga wiła się około skalnych wyniosłości: z dru

giej strony ciągnęły się głębokie urwiska, z których wysuwające się wierzchołki jodeł i sosen zupełnie ją zakrywały. Nieznajomy ciągle postępował pewnym krokiem, jak człowiek dobrze obznajmiony z miejscowością.

Janek, idąc za nim, zatrzymywał się przy każdym zagięciu drogi i gdy go tracił z oczów, zaraz znowu podążał, pragnąc koniecznie jprzekonać się, czy domysł jego, iż to Mikos, jest słuszny. Niepokojony uznał to za swój obowiązek, jako wartownik, mający Śledzić wszystko co mu się zdaje być podejrzanem. Mikos był takim; zjawienie się jego w tych stronach nie wróżyło nic dobrego. Lecz czy to mniejszą, jak dawniej, zachował ostrożność w śledzeniu nieznajomego, czy ten stał się baczniejszym, dość, że Janek wyszedłszy z zakrętu, zobaczył go stojącego o kilkanaście kroków z twarzą ku sobie zwróconą.

W tej chwili padł strzał: kula tuż przy nim warknęła, i Janek tak się tą nieprzewidywaną niespodzianką przestraszył, że uskoczywszy raptownie w bok, wpadł w przepaść i zniknął w jej wnętrzu. Śmierć zdawała się pewną, przepaść była głęboka, ścianę miała skalistą ze sterczącymi głazami, na dnie jej szumiał strumień głęboki, ale na szczęście Janek zawisł na gałęziach i kiedy się z nich na nowo zsuwał, wyciągnął ręce, napotkał sęk gruby i silny i na nim zawisł całym ciężarem swojego ciała.

Położenie jednak było zawsze niebezpieczne. Sęk był wystający, jako suchy mógł się złamać, już trzeszczał nawet, a tam niżej, aż strach spojrzeć, jak straszna czerniła się głębina.

Janek młody i zręczny, pomału z wielką ostrożnością po sęku przysunął się do pnia, wygramolił się na niego i pomieścił, o ile mógł, najbezpieczniej z postanowieniem doczekania rana, aby przy blasku dnia pomyśleć, jak sobie radzić.

Rozwidniło się wreszcie cokolwiek, chociaż nieprędko. Janek wypocząwszy, zaczął się rozpatrywać, potem wdrapał się na sam wierzchołek zbawczego drzewa, z niego dostał się na wyżej stojące i tak drapiąc się z drzewa na drzewo, docisnął się wreszcie do skalistych gruzów, po których, acz z wielkim trudem, wydobył się na drogę. Uszczęśliwiony, choć bardzo zmęczony odbyłą przeprawę, usiadł dla odpoczynku, ledwo dysząc z utrudzenia. Nagle usłyszał znowu kogoś idącego od strony, w którą udał się nieznajomy. Nieczu-

jąc się jednak zdolnym do obrony w razie napaści, ukrył się w krzakach, tak jednak, aby się mógł dobrze przypatrzeć idącemu.

Był to Mikos. Teraz już był pewny, że się nie omylił w swem przypuszczeniu. Szedł spieszenie, zawsze z pistoletem w rękę, minął go i wkrótce zginął mu z oczów.

— Tak, to Mikos,—rzekł Janek do siebie,—po on tu* może robić?

W ,pół godziny potem, połączył się ze swymi towarzyszami w jaskini. Muras, zobaczywszy go idącego, skinął, aby się zbliżył.

. — Gdzieś się włóczył, rekrucie, żeś tak późno wrócił z warty?—zapytał.

— Spotkałem znajomego mi Mikosa,—odrzekł Janek,—i śledziłem go pilnie, ale...

— A, to ty byłeś, niezdaro! — przerwał jakiś głos wychodzący z jaskini i jednocześnie wysunął się z niej mówiący.

Janek spojrział i zobaczył tuż przed sobą Mikosa.

— Zdaje mi się, że cię już widziałem? — mówił dalej, bystro spoglądając na młodzieńca.
— Jesteś re-

krut z pod Karpat, a spotkaliśmy się z sobą w osadzie pod Tartakiem?

— Tak jest, pułkowniku,— odrzekł Janek,— byłem tam.

— To dobrze, zuch jesteś, żeś się z nami połączył, ale to nie dobrze, żeś był niezręczny w śledzeniu mnie, jak ci to nakazywał obowiązek. Cóż, jesteś ranny? ..

— Nie, pułkowniku, kala warknęła mi tuż koło głowy, ale nie uszkodziła.

— To niepodobieństwo, mierzyłem dobrze, — zawołał Mikos, — i byłem pewny, że cię zepchnąłem w przepaść.

— Wpadłem w nią, ale bez szkody i podrapany wygramoliłem się szczęśliwie na drogę.

— Wybornie! — zawołał Mikos, — spisałeś się w tym wypadku zuchowato, odebrałeś jednak naukę, jak trzeba być na straży baczny, roztropany i czujny. Podobno jesteś uczonym?

— Miałem zamiar zapisać się na uniwersytet.

W dzisiejszym czasie politycznym,— odezwał się Mikos, — lepszą tu znajdziesz naukę, niż w uniwersytecie, i większą karierę. Nominuję cię adyutantem

swoim i naczelnikiem kancelaryi pałkowej. Za tydzień obejmiesz swoje obowiązki, a przez ten czas pozostaniesz w obozowisku tutaj pod jaskinią.

Potem zwrócił się do Marasa i dodał:

— Maras, przejrzyj moje pistolety, bo maszą być źle doczyszczone, skoro strzał chybił. Gniewa mnie to... i czegoś stbisz? — zapytał, zobaczywszy, że Janek nie odszedł i czeka, jakby miał jeszcze coś do powiedzenia.

— Wybacz, pułkownika,— odpowiedział młodzieniec, ale przyznasz, że poświęcając się zaszczytnej służbie pod twoją komendą, muszę wiedzieć, w jakiej sprawie mam walczyć?

Mikos, a raczej Czuwas, gdyż takie teraz przybrał miano i tak przez wszystkich był nazywany, pokręcił węża niecierpliwie i po chwili dopiero odrzekł:

— O ile sobie przypominam, to do oddziału mego byłeś zmówiony przez Pawła.

— Tak jest, pułkownika, on mnie wskazał stanowisko na Gryzowej pod tartakiem.

— Wszak to przyjaciel twój?

%

.. . — Uważam go za takiego, żyliśmy z sobą bardzo dobrze.

— Nie zawiedziesz się na nim, zapewniam cię. Dziś okoliczności jeszcze nie pozwalają na otwarte wystąpienie, jak to zwykle bywa, gdy strony waśnią się i jedna drugiej nie chce ustąpić. Ale wkrótce rzecz się wyjaśni, a teraz mogę cię tylko zapewnić, że działać będziemy nie jak banda opryszków, ale oddział partyzancki, poddany pod rozkazy naczelnego wodza. Spodziewam się, że z objaśnienia mego powinieneś być zupełnie zadowolony. Nie lubię się wdawać w gawędy z memi podwładnymi, z hołotą, którą tu widzisz, a dla której prosty rozkaz powinien być wszystkim. Ale .ciebie wyróżniam z pośród tej gawiedzi, bo masz naukę, a taki pragnie, bardzo słusznie, wiedzieć co ma robić i dlaczego?

Jakkolwiek z rozmowy tej Janek nic się dokładnie nie dowiedział, zapewniony jednak, że się nie przyłączył do bandy opryszków, ale do oddziału dopiero tworzącego się i mającego należyć przy armii regularnej, postanowił pozostać przy Mikosie aż do pełnego wykrycia tego, co jeszcze dla niego było tajem- niczem. Wysłany ze swymi towarzyszami po drzewo

w góry, opowiedział im całą rozmowę przeprowadzoną z Cznuwasem, z oświadczeniem, iż przy nim zamierzył pozostać.

— To i ja to samo zrobią!— zawołał Grnzda.

— I ja także,—zawołał Jnrwas,— po plasterze od tego niedźwiedzia, czniją się jakoś bardzo dobrze, rana znacznie mniej boli.

— A mnie nos i kto wie, czy na nowo nie odrośnie-

— Daj Boże!

— Słowo honoru!—dorzucił Gruzda.

— Dajże pokój z tym honorem, bo ile razy usłyszą, to przypominam sobie całą naszą przeprawą z tymi zbójcami pandurami.

— Och! ona mi ciągle stoi na pamięci, — rzekł Gruzda,—i to przysłowie poczciwego wachmistrza zawsze słyszą w uszach i dlatego tak je powtarzam często mimowoli, jak honor kocham!

Zaraz po śniadaniu Cznuwas opuścił obozowisko, Muras odkomenderował dwóch po żywność do sąsiednich wiosek i dał im na nią pieniądze. Jurwasa, jako rannego, zostawił przy ognisku, a z resztą poszedł w góry i doszedłszy do polanki, stanowiącej małe równe podgórze, rozpoczął z nią ćwiczenia wojskowe i nauką obrotów wojennych. Po spożyciu obiadu, oddział zno-wn ruszył na polankę i tam zastał podobny drugi, złożony z samej młodzieży rozmaicie poubieranej. To Janka tembardziej przekonało, że go Cznuwas nie zwiódł, z czego naturalnie był bardzo zadowolony.

Odtąd rozpoczęło się w obozowisku życie młodzieńców bardzo jednostajne, ale nużące i dość niewygodne. Codziennie ćwiczenia wojskowe trwały bezprze- stannie; utrzymywano przytem w nocy warty, stawiano na placówkach, jak w czasie wojennym, wysyłano po żywność do wiosek pobliskich. Jeżeli była pogoda, ruch trwał bezustannie, bo o wszystko musiano się starać i samym sobie radzić, w utrzymaniu zbioru i broni w należyтым porządku.

W razie niepogody, co często się zdarzało, mo- knięto na fladze i wichurze, jak zwierz dziki, albo mieszczono się w zagłębciach i załamacach skalnych, jako tako zasłoniętych gałęziami, co jednak od przemoknięcia nie zabezpieczało. Wprawdzie codziennie przybywali nowi ochotnicy, warty i prace obozowe stawały się lżejsze, zawsze jednak służba była ciężką, a pobyt bardzo niewygodny. Czasami także i żywności zabrakło i głód dobrze dokuczył. Młodzieńcy byliby chętnie po-

rzucili nowych towarzyszy, ale lękali się powtórnego spotkania z pandurami; które już ich raz na tak wielkie niebezpieczeństwo naraziło, Janek najmniej narzekał. Jurwas, wygoiwszy ranę był obojętny, cieszył się odzyskaniem zdrowia, ale Gruzda nie mógł się uspokoić, choć mu się nos zupełnie zabił i małą tylko miał szramę z przygody, jaka go spotkała.

Przeniesiemy się teraz do stolicy Węgier, do Pesztu, gdzie odgrywały się ważne polityczne wypadki, o jakich młodzieńcy nie wiele co wiedzieli.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

aas zmtm

il03B0fleH0 UeHSypOIO. Bapmana, 3 nHBapn 1905 ro.na

4963

1)/i«W

4

CZĘŚĆ DRUGA. ^ h

Stolica królestwa węgierskiego Peszt, albo Pest, po węgiersku Buda-Pest, najpiękniejsze i najludniejsze miasto w całych Węgrzech, leży na lewym brzegu Dunaju, zbudowane na płaszczyźnie piaszczystej. Najwspanialsze gmachy mieszczą się na przedmieściu, zowiącem się Leopoldstadt, oraz na pobrzeżu rzecznej. Most na łańcuchach, arcydzieło budownictwa, łączy to miasto z sobą.

W parę miesięcy po wypadkach już opowiedzianych, w porze popołudniowej, mostem tym szedł Janek i jako pierwszy raz będący w stolicy węgierskiej, przy-

HfeBggBB

patrywał się ciekawie wszystkiemu. Był ubrany w czarną cza marę, szamerowaną taśmami, w także obcisłe spodnie, w buty wysokie z chwastem i ostrogami; na głowie miał kapelusz z główką okrągłą i szerokim brzegiem, nieco podniesionym. Wyglądał więc dość okazale, jak młody Węgier, do wyższego należącego stanu a przybyły z prowincyi do stolicy.

Przeszedłszy most, gdy dostał się do środka miasta, po licznych wypytywaniach doszedł nareszcie do małego ogródka, zwanego „Pod Łabędziem”, nad którym szyld zawieszony wskazywał, że w nim dostanie jadła i napoju, po cenach jak najumiarkowańszych. Zaledwie podano mu szklankę wina, której zażądał, do ogródka wszedł młody człowiek, i jak tylko mu się Janek przyjrzał, poskoczył do niego z największą radością.

— Paweł!—zawołał,—cóż za szczęśliwe zdarzenie, że cię tak niespodziewanie spotykam?

— To ty, Janku! — również zdziwiony zawołał Paweł.— Nie poznałem cię, tak się odmieniłeś... Jakaż to radość dla mnie, że cię spotykam! Witaj, witaj, po trzykroć witaj! gdyż mi powiedziano, że zginąłeś w tym zbrojeckim napadzie na furgon pocztowy.

— O mało, że się to nie stało!—odrzekł Janek— i tylko prawdziwym cudem uniknąłem niechybnej śmierci.

Tu opowiedział wszystko, co mu się przytrafiło od chwili rozłączenia się z Pawłem, i jak skutkiem tego musiał uciekać z Bożygrodu i puścić się na włóczęgę, która go na tak fatalne naraziła wypadki.

— Mikos, czy też Czuwas, — mówił dalej, — to prosty zbrojca. Jak się też o tem przekonałem, zaraz go opuściłem, zwłaszcza, że zebrał bandę dla wystąpienia razem z Kroatami przeciw Węgrom.

— Zdradził nas niegodziwiec, — odezwał się Paweł. — Miał utworzyć oddział partyzancki, ale urządziwszy napad na furgon pocztowy, przerzucił się do Kroatów, obiecując 'sobie lepsze przy nich korzyści w spodziewanej wojnie z Węgrami, niż trzymając się naszej strony.

— Więc na wojnę na pewno się zanosi? — zapytał Janek.

— Zdaje mi się, że to musi nastąpić, — odrzekł Paweł.— Położenie jest tak naprężone, że innego rozwiązania spodziewać się nie można. Od czasu, jak Klemens Meternich, po śmierci cesarza Franciszka, nastą

pionier w roku 1835, objął władzę rządu, stare prawa narodu węgierskiego coraz bardziej były zaniechane, poniewierane, a Niemczyzna wciskała się wszędzie, gnio- tąc cały naród, wyzyskując go i wszystkich dobrych patriotów doprowadzając do rozpacz. Ale i Wiedeń- czykom sprzyrzyły się rządy meternichowskie, dążące do zbitcia wszystkich ludów w jedną kupę, jak stado owiec z różnych stron zebrane, któreby pędził bicz w rękę księcia kanclerza, według kierunku przez niego nadanego. Trzynastego też marca (roku 1848) nastąpiło wzburzenie w Wiedniu, i pan Meternich odtań' wszechwładny, uważający się za stróża porządku europejskiego, jak niepyszny, stuliwszy uszy, umknął ze stolicy i nie oparł się aż w Londynie. Będąc czynnym w całym przygotowaniu wypadków, które nastąpiły, zmuszony byłem podróżować po różnych stronach monarchii, i zawadziłem o nasze miasteczko w czasie uroczystości towarzystwa strzeleckiego, aby się z tobą i z podobnymi tobie porozumieć. Przebrany dla niepoznania, bo już nie czułem się bezpiecznym, miałem zajście z tym gburem dragonem, skutkiem czego nie mogłem się na- leżycie wywiązać z danych poleceń, i wprost uda

łem się do Pesztu. Hrabia Stefan Szechenyi udzielił mi...

— To znasz go dobrze?—zapytał Janek, zaciekawiony.

— Bardzo dobrze i mam nawet u niego pewne względy.

— Jakże cieszę się z tego, bo dla niego głównie tu przybyłem. Jest to człowiek bardzo zacny.

— Najzacniejszy w świecie!—odrzekł Paweł.

— Jakże to piękne i wzniosłe! — zawołał Janek, — jakże dumny jestem, że się liczę do krewnych tak zacnego człowieka.

— Piękna to rzecz takie pokrewieństwo, — odrzekł Paweł, — a cały żywot tego szlachetnego magnata, na równe zasługuje uwielbienie. Kiedy Napoleon ' pierwszy zatrzęsł całą Europą, i Austria już się prawie miała rozpaść w ruinę, Węgry ją poparły, a Szechenyi wstąpił do pułku huzarów i odbył całą kampanię w obronie Austrii. Gdy wrócił pokój, zabrał się zaraz do pracy dla dobra własnego narodu. Założył kasyno w Peszcie dla gromadzenia arystokracji i zmuszenia jej tym sposobem do narad, nad rozwojem narodowego życia: z niezmordowaną gorliwością przepro

wadzał organizację akademii, założył towarzystwo do podniesienia rolnictwa i cbowu koni, urządził z pustych ruder prześliczne dla mieszkańców miejsce przechadzki, jego przezwane nazwiskiem, a na ostatnim sejmie, zostawszy deputowanym, pierwszy przemówił w parlamencie w ojczystym węgierskim języku, w miejsce którego używany był dotąd łaciński.

Ten śmieszny zwyczaj, naradzania się w umarłej mowie nad sprawami kraju, był utrzymywany przez arystokrację, dla odróżnienia się od warstw uboższych narodu, dla pokazania im swej wyższości pod każdym względem, nawet używaniem języka zupełnie ludowi obcego.

— Dziękuję ci, serdecznie dziękuję, — odezwał się Janek, — za udzielenie tych szczegółów z życia zacnego mego krewniaka. Ale powiedz mi teraz, co się tu dzieje, abym świadomy położenia rzeczy, w rozmowie z Szechenym nie wystrzelił jakiego bąka, na śmieśność mnie narażającego.

— Cp się dzieje? Wre wszystko i kipi, — odrzekł Paweł, — choć na pozór zdaje się spokojnem. Kiedy do Pesztu przysłała wiadomość z Wiednia o ucieczce Meternicha, zgromadzenie narodowe węgierskie, wyprawiło. deputację, do której i Szechenyi został przeznaczony, z poleceniem, aby domagano się przywrócenia konstytucyi i utworzenia, węgierskiego ministerstwa. Ale nie czas o tem rozmawiać, powiedz mi lepiej, mój Janku, co z sobą myślisz dalej robić?

— Pragnę zasięgnąć co do tego rady hrabiego Szechenyego...

— Ja wprawdzie pracuję obecnie przy hrabi Ba-thyanym, — odezwał się Paweł, — ale cię do Szechenyego zaprowadzę. •

Tymczasem do ogrodu coraz więcej przybywało gości, ruch się wzmagał, gwar podnosił, służba kręciła się, na estradzie zasiadła orkiestra cygańska, zaczęła stroić skrzypki i basy; młodzieńcy zajęci rozmową, mało na to dawali baczenia, i nie spostrzegli, jak do ogrodu wszedł jakiś Węgier poważnej postawy, strojnie ubrany, i z wąsami do góry starannie umuskaniemi. Przechodząc pomiędzy zgromadzonymi, przyglądał się wszystkim baczenie, i doszedłszy do rozmawiających, przystąpił do nich, mówiąc:

— Dobrze, że cię Pawełku spotykam, pogadamy z sobą...

— A, pan Meszaros,— przerwał Paweł, cóż tam złego słyhać %na świecie, bo o dobrem nigdy się od was dowiedzieć nie można.

— Niestety! — odrzekł Meszaros wzdychając, — pytanie zadałeś trafne, bo w dzisiejszych czasach czegoż dobrego można się spodziewać? Ale towarzysza twego nie mam przyjemności znać, i prostując się, dorzucił: — Jestem Stefan Meszaros, kapitan honwedów, i wielce kochający poczciwego Pawełka, choć mi się tak w głowie nie pali, jak jemu:

— Dodajcie do tego, — rzekł Paweł, — żeście bratem zacnego Łazarza Meszaros, ministra wojny, świeżo ustanowionego ministerstwa węgierskiego.

— A tak, tak, daj, Boże, aby tylko to ministerstwo, jak nagle powstało, nie zleciało równie nagle z pieca na łeb.

— Podłożymy mu pierzyną, aby się bardzo nie stłukło. Bądźcie o niego zupełnie spokojni! — odrzekł Paweł z pewnem szyderstwem.

— Daj, Boże! daj, Boże! — odrzekł Meszaros, i zwracając się do Janka, mówił dalej: — Jesteś młody i, jak widzą, obcy w naszym Peszcie?

— Tak jest, pierwszy raz w nim się znajdują, — odrzekł Janek, i uczuwszy trącenie w nogą przez Pawła, dokonane w widocznem znaczeniu, dodał: —Nazywam się Jan Kowas, krewny hrabiego Szechenyi.

— Och! to bardzo piękne pokrewieństwo, ale i hrabia zapalna sztuka, chciałby odrazu świat cały wbić na swoje kopyto. Na nic się to jednak nie zdało!-Zapał przesadzony gubi wszystko i tylko z umiarkowaniem połączony, wydaje piękne owoce.

. — Wiemy to wszyscy dobrze,—odrzekł Paweł,— dajmy więc temu pokój, a lepiej nam powiedzcie, jakie macie nowiny, o które wam łatwo przy ministerstwie.

.— Fatalne, bardzo fatalne! Eroaci ze wszystkie- mi pobratymcami stanęli po stronie dworu wiedeńskiego, przyjdzie więc do wojny, do krwi rozlewu, do zniszczenia ogólnego, a co z tego wyniknie? *

— Wydobycie Węgier z ucisku, w jakim zostają!—odrzekł Paweł z zapałem.

— Oj! ty poczciwy awanturniku, — rzekł Meszaros, — a strzeż się, abyś w tej awanturze nie za- brnął bez wyjścia. I ty strzeż się, młodzieńcze, panie

Janie Kowasie, powiadam ci, strzeż się, abyś później nie żałował.

Gdy Meszaros rozstał się z młodzieńcami, Paweł rzekł do Janka:

— Dobrze, że odszedł, nie lubię go, bo trzyma się strony magnatów węgierskich, nieprzychylnych reformie przez sejm ustanowionej. Strata przywilejów, jakie dotąd posiadali z tak wielką szkodą dla narodu, gniewa ich. Radziby zawsze z nich użytkować bez ponoszenia ciężarów, i na innych magnatów, którzy przeprowadzili uprawnienie wszystkich stanów, aby zarówno najbiedniejszy kmieć węgierski, jak pan bogaty, czuł się obywatelem, spoglądają z wielką nienawiścią i radziby ich strącić ze stanowiska, jakie tak chlubnie zdobyli.

Kiedy Janek wrócił na nocleg do skromnego zajazdu na przedmieście, sam nie wiedział, co trzymać

o tem, co usłyszał od Pawła i Meszarosa. I jeden

1 drugi mówił przekonywająco. Meszarosa nie znał zupełnie, ale to: strzeż się! z naciskiem po kilka razy wymówione, utkwilo mu w głowie. Na Pawle zaś zawiódł się raz już, przez wplątanie go w stosunek z Mi

kosem, mógł więc i drugi raz wpaść w biedę przez prostą pomyłkę swego przyjaciela.

Postanowił więc być ostrożnym, zbyt nie zaufać nikomu, tylko rozważać, poznać z gruntu położenie rzeczy i stosownie do tego postąpić.

II.

Na drugi dzieli rano, ubrawszy się jak najstaranniej, poszedł do pałacu hrabiego Szechenyi, znajdującego się na przedmieściu Leopolda. Była to ranna bardzo godzina, ale mu powiedziano, że to jest najlepszy czas do zobaczenia się z hrabią, gdyż do pracy wstaje rano, a później przyjmuję urzędników i interesantów z przeróżnego rodzaju interesami. Był bowiem ministrem robót publicznych, zajęcia mu też nie brakowało.

Gdy Janek wszedł do gabinetu, zameldowany przez lokaja, hrabia siedział przy biurku obszernem, założo- nem wkoło papierami i czytał coś z wielkiem zajęciem. Janek zatrzymał się w pobliżu.

Hrabia Szechenyi, był to człowiek już lat blisko sześćdziesiąt mający, wzrostu średniego, lecz krzepkiej budowy ciała. Oblicze miał pełne godności, jaśniejące życiem i energią, czoło poorane w szerokie bruzdy, brwi bujne i czarne, także włosy na głowie z wkradającą się już w nie siwizną; twarz całą gęstym zarostem pokrytą, i oczy tryskające, jakby żarem płomiennym. Gdy skończył czytanie, zamyślił się chwilkę, brwi- zmarszczył i wtenczas spostrzegł Janka, stojącego z uszanowaniem.

— Przybliź się, młodzieńcze! —rzekł Szechenyi.— Poleciał mi cię hrabia Bathyany, jako przyjaciela jego sekretarza, Pawła. Zacny to młodzieniec!

— O! tak, panie hrabio,—odrzekł Janek,— znamy się od lat bardzo młodych, a choć znacznie starszy ode mnie, żyjemy z sobą jednak w wielkiej przyjaźni.

— Więc nazywasz się Jan Ko was, syn urzędnika w Debreezynie, i podobno przez matkę jesteś ze mną nawet spokrewniony. Wszak tak?

— Tak, panie hrabio! — odrzekł Janek z uszanowaniem.— Jestem Jan Kowas, a co do pokrewieństwa, powtarzam tylko to, co od matki słyszałem. Być może, że się myliła, chociaż tp zaszczyt dla mnie wielki,'

należąc do rodu pana hrabiego, tak powszechnie w całych Węgrzech szanowanego.

— Młodzieńcze I — rzekł Szechenyi, bystre na Janka rzucając spojrzenie i brwi marszcząc,—czy byś był już dworakiem, że się bawisz w podchlebstwa?

— Wybacz, panie hrabio, — odrzekł Janek, — ale do uczenia się dworactwa nie miałem dotąd sposobności. Całą młodość spędziłem przy domowej pracy, aby nikomu nie być ciężarem; uczyłem się także, ile mogłem, aby nie zostać głupcem, a teraz przychodzę do ciebie, panie hrabio, z prośbą o radę, co mam dalej z sobą robić?

Szechenyi znowu bacznie przyjrzał się Jankowi, na którego twarzy taka malowała się szczerłość, że ujęty nią, uśmiechnął się i odrzekł z dobrocią:

— Odpowiedź bardzo piękna, widać, że opiekunów miałeś bardzo rozumnych i uczciwych.

— O! tak, panie hrabio. Wyrastałem pod opieką proboszcza w Bożygrodzie, człowieka szczególnie poczciwego i bardzo rozumnego, i siostry jego, pani Barbary, z sercem prawdziwie anielskiem. Kocham ich też, jak ojca i matkę, i wdzięczność dla nich w duszy przechowam przez całe życie.

Janek wymówił to z wielkim uczuciem, przy ostatnich słowach rozrzewnił się, i głos mu zadrżał ze wzruszenia. Nie uszło to uwagi Szechenyego, wyciągnął rękę i wskazując na obok stojące krzesło, rzekł:

— Siadaj, młodzieńcze! Kto umie być wdzięcznym i dobrym być musi, powiedz więc, co zamierzasz?

— Radbym wstąpić do uniwersytetu...

— Zamiar bardzo dobry,—przerwał Szechenyi, ale na nieszczęście niewykonalny.

Hrabia wymówił to z wielkim ogniem, twarz mu się zarumieniła, usta drgały, jakby w ciszy tajemnej domawiały to, co w myśli krążyło. Zwiesił potem smutnie głowę i po chwilowej zadumie, zwrócił się znowu do Janka:

— Zamiar więc dalszej nauki, — rzekł, — musisz porzucić, kto wie, czy nie na zawsze, a chwycić się żołnierki, jak na dzisiaj, bardzo potrzebnej.

— Dobrze, panie hrabio,— odrzekł Janek, — dziś jeszcze wstąpię do którego z pułków tutejszych... ,

— To wszystko pułki niemieckie,—przerwał Szechenyi porywczo, a nasze węgierskie stoją we Włoszech. Zaczekaj więc, a jeżeli brak ci funduszu na to...

— Mam, panie hrabio, mały zapas pieniężny po rodzicach, którego przesyłki co chwila się spodziewam, ratować się więc mam czem, a przytem pragnę wystarać się o jakie zajęcie, choćby z ciężką połączone pracą, bo do tej jestem przyzwyczajony.

— A zatem mogę ci ofiarować miejsce przy boku moim, do różnych poruczeń, bardzo ważnych, wymagających wielkiej roztropności, na której, o ile mi się zdaje, zbywać ci nie powinno.

— Czy tak jest, nie do mnie sądzić należy,—odrzekł Janek, — ale mogę zaręczyć, że starać się będę nie zawieść przychylnego sądu pana hrabiego.

— Bardzo mnie to cieszy,— odrzekł Szechenyi,— teraz zostawiam ci zupełną swobodę. Powiesz mi później swoje zdanie.

Janek jeszcze tego samego dnia, przeniósł się na mieszkanie do pałacu swego krewniaka i policzony został do grona domowników, najbliższych osoby hrabiego. Protekcya Pawła okazała się bardzo skuteczną, co niezmiernie dobrze wpłynęło na przywrócenie osłabionego zaufania-do niego Dziwił się nawet Janek, jak człowiek tak młody, jak Paweł, umiał sobie zaskarbić względy, tak szanowanych mężów, jakim był Bathyani, prezes rady ministrów madziarskich, i Szechenyi do nich należący.

Za pierwszym też z nim widzeniem się, podziękował mu serdecznie za pomoc doznaną, i przyznał się do podejrzenia o gruntowności zdania, z powrotu zdrady Mikosa.

— Czyż mogłem ją przewidzieć? — odpowiedział Paweł, bez ładnego gniewu.— Pokazuje się z tego wypadku, że i najostroźniejszy może się potknąć.

HL

Pokoik, przeznaczony dla Janka, był niewielki, ale bardzo starannie z wszelką wygodą urządzone. Wi dok z niego rozciągał się przepiękny, i bardzo daleki. Rozpatrując się w nim, zawsze mu do myśli przychodził Bożygród, to ciche, piękne ustronie, w którym tak mu było dobrze i swobodnie i gdzie tyle zostawił serc, tak go szczerze kochających. Gdy wzrokiem dochodził do ścian, czerniejących zdaleka lasów, gniewał się na nie, bo mu zdawało się, że zasłaniały domem zacnego kapłana, swego opiekuna, razem z ciotką Barbarą siedzącymi na ganku, organistę Cyryla z wnuczką Etełką, starego huzara Tomasza i całe grono młodzieży, jak z którymi uczył się muzyki i obrótów wojennych, a z dziewczętami wspólnie śpiewał i zabawiał się w dni świąteczne. Wszystko to minęło... bezpowrotnie !

W nowym otoczeniu było inaczej. Pałac był obszerny, pokoje liczne, korytarze szerokie, wyściełane dywanami, cisza więc największa panowała dokoła.

Hrabia był zawsze zajęty w gabinecie, żona jego prawie nie opuszczała swoich apartamentów; dwóch synów uczyło się po całych dniach, służba zaś siedziała w przedpokojach, na pierwszy odgłos dzwonka gotowa na wszelkie rozkazy.

Janek, nie mając stałego zajęcia, byłby się nudził straszliwie, ale biblioteka pałacowa bardzo liczna i doborowa, dostarczała mu książek, jakich tylko mógł zapragnąć; wieczorami spotykał się z Pawłem, a czasami zachodził do gospodyni pałacowej, pani Szulay, kobiety bardzo dobrej, cichej, spokojnej, która usta rzadko otwierała do mowy, ale za to oczy ciągle wznosiła w górę, składała ręce i wzdychała.

Janka, od pierwszej chwili poznania polubiła, a wkrótce pokochała, jak syna, bo przy każdym spotkaniu witał ją z uszanowaniem, spełniał chętnie wszyst

kie jej polecenia, i przynosił z miasta różne nowinki, które bardzo lubiła.

— W naszym pałacu, — mówiła, — człowiek żyje, jak w klasztorze. Panie, odpuść! choć to miejsce święte, ale od świata murem oddzielone. Teraz przy tym chłopaku, to wiem przynajmniej, co się między ludźmi dzieje. Znać, jaka w nim krew płynie, z oczów nie bije mu hardość, i pełen grzeczności i uszanowania. Niechże go błogosławieństwo nieba otacza!

Drugą także osobą, co polubiła Janka, był stary marszałek pałacowy, Inzek, człowiek bardzo dobry, ale troszkę porywczy i marudny. Z panią Szelaj wiecznie się sprzeczali, albo przepraszała, a gdy ona narzekała na jego wielomówstwo, on ją ganił za małomówność i stuknąwszy drzwiami, wychodził z pokoju.

Nareszcie Janek doczekał się listu z pieniędzmi z Bożygrodu. Z gorączkowym pośpiechem rozpieczętował go i znalazł pismo księdza Michała, z przypiskiem pani Barbary, i obszerny list od Etelki.

Pocziwy proboszcz zdawał mn rachunek z posiadanego funduszu, i udzielał rady zachowania się między ludźmi. Pani Barbara upominała o pielęgnowanie zdrowia i narzekała na pustki w szpitalu, która dawał niej tak zawsze obficie zaopatrywaną była w zwierzynę. Etelka rozpisała się obszerniej, donosząc o wszystkim więcej szczegółowo.

„Choć nam wszystkim bardzo smutno bez ciebie, — pisała, — ale pocieszaliśmy się twym bezpieczeństwem. Zaraz bowiem po tej nocy nieszczęśliwej, w której ostatni już raz widziałam się z tobą w jarze pod dębem, zrobiono obławę w lesie, i z pewnością byłbyś znaleziony, gdybyś się tam znajdował. Możesz sobie łatwo wyobrazić, co się z nami działo przez czas tych poszukiwań. Wprawdzie zaręczałam wszystkim, że cię tam niema, ale i inaczej być mogło. Ksiądz opiekun modlił się, ciotka Barbara łamała ręce, pan Tomasz, stary huzar, kręcił wąsy, coś mrucał gniewnie, i tak błyszczały mu oczy, że aż się zlekłam, spojrzawszy na niego. Dziadek mój, Cyryl, milczący, siedział bez poruszenia, jakby z kamienia wykuty, ja zaś byłam taka strwożona, że drżałam, jak liść osiny. Przeklęte pandury dzień cały u nas przebyli, ciągle prowadząc poszukiwania. Gdy przecie odjechali, zalecając, wójtowi uchwycenie cię, gdybyś do domu powrócił, ja zmierz-

chera naslnchiwalam codziennie, czy nie uslysze twego nawolywania z lasu. Dobrze jednak, ze nie wróciles, bo wójt powiedzial, ze musialby cie aresztowac, gdybys sie w Bozygodzie pojawil. Ach! jakze bylam niespokojna o ciebie.

„Pózniej doszła nas wiadomość, że zginąłeś w napaści na pocztę pod Tartakiem.-Pan Tomasz zaraz się tam udał, a gdy wrócił z wiadomością, że to wieść fałszywa, tak był oburzony na Mikosa, że powiedział, iż powiesiłby go na wąsie swoim, gdyby brakło postronka, a ciotka Barbara zaraz dodała, że wydrapa^aby mu oczy, i z taką siłą uderzyła pięścią w stół, że dziadek Cyryl podniósł ramiona i przeżegnał się, przestraszony. Za to list twój, pisany z drogi, nappełnił nas radością, jakiej już dawno nie doświadczyliśmy. Dziadek kościelny chciał w dzwony uderzyć na zwołanie gromady, ale mu dziadek Cyryl postronk wyrwał z ręki, i oba pobiegli ze skargą do ojca Michała. I byłaby z tego zapewne wielka sprzeczka wynikła, bo ciotka Barbara trzymała stronę dziadka kościelnego, i gwałtem chciała, aby uderzono w dzwony, ale ksiądz Michał oparł się temu, powiadając, że wydzwanają tylko za umarłych, a za żywych modlą się. To uspokoiło sprzeczkę, ale chociaż dzwon nie dał się słyszeć, wnet we wsi dowiedziano się o twoim liście i każdy z ciekawością biegł na plebanię, aby tylko coś pewnego o tobie nstyszeć". - •».. Reszta listu zapelniona była o wszystkich znajomych Janka i doniesieniem, że młodzież po miastach werbują bardzo do wojska, powiadają, że się gotuje wyprawa na Węgry.

„Ach! ta wojna nieszczęśliwa!—pisała Etelka. — Ojciec Michał powiada, że to kara Boża, a ciotka Barbara utrzymuje, że to sprawa dyabel- ska. Pan Tomasz milczy, ale pokręca wąsa i powiada, że jak się rozmacha, to skoczy na konia i powęduje na wojaczkę. Chciał też machnąć, ale zanadto się rozmachał i koń się zląkł, usunął na bok, a on padł na ziemię i ani się ruszył, na szczęście ze wstydu, a nie z uderzenia. Zamęt jednak z tego powstnł wielki, a potem wielki śmiech, który tak rozgniewał pana huzara, że tydzień cały nie pokazał się na plebanii". Janek listy te po kilka razy przeglądał, potem

odczytał je gospodyni i staremu marszałkowi Iluzkowi, j których bardzo zgorszyła wiadomość, że w Bożygrodzie ; tak są dla Węgrów nieprzyjaźni.

Gospodyni przy tem westchnęła i oczy podniosła w górę, składając ręce, a marszałek fuknął na nią, że ■ taką niegodziwość tak pobożnie przyjmuje.

— Ja? — zdziwiona zawołała pani Szulayowa. — Panie, odpuść! czyżem to nie Węgierka rodowita?..

I spuściła oczy smutnie, chwiejąc giową.

IV.

Janek często spotykał się z Meszarosem, szczególnie w ogródkach przy szklance wina. Jeżeli był Paweł, to kapitan honwedów tylko się przywitał, pomówił trochę i ruszył dalej; jeżeli sam spotkał samego Janka, przysiadł się do niego, kazał podawać butelkę wina z pieczętką, czyli lepszego, już w butelkach przechowywanego, i gawędę ciągle prowadził, wywiadując się zręcznie, co się w pałacu dzieje.. Z początku Janek nie zwracał na to uwagi, ale gdy wypytywania stawały się coraz natarczywsze, ciekawość tak niezwyčajna obudziła jego podejrzenie i stał się ostrożniej- szym.

Meszaros spostrzegł to, na fantazyi jednak nic nie stracił, dalszą rozmowę prowadził o rzeczach nadzwy-

czaj obojętnych, a gdy się z Jankiem żegnał, rzekł znacząco:

— Przy pierwszym poznaniu się z tobą, powiedziałem ci, młodzieńcze: strzeż się! tu powtarzam to samo: strzeż się! bo widzę, że Igniesz w bagnie!

— Jak to rozumiecie, kapitanie?—zapytał Janek,— bo zagadek nie umiem rozwiązywać.

— Uważaj to, jak ci się podoba, ale pamiętaj, że ci mówię: strzeż się!

Kapitan, powstając, wymuskał wąsy ze stron obu, podał rękę Jankowi na pożegnanie i pogwizdując, wyszedł z ogródka.

Gdy się później spotkał z Pawłem i wymienił przestrożę, jaką dostał od Meszarosa, odrzekł mu przyjaciół :
— Go znaczyła ta przestroga, nie umiem ci wytłumaczyć, ale to wiem, że z kapitanem Meszarosem nie powinieneś się bardzo przyjaźnić. Jest to człowiek bardzo podejrzany i spodziewam się wykryć jego wszystkie skryte konszachty. Strzeż się go!

— Masz tobie!.., — pomyślał Janek, — znowu mam się strzedz, nie wiedząc dlaczego i z jakiego powodu.

Paweł przestrogi swej także dostatecznie nie wyjaśnił. Mówił o wpływie złych ludzi na młodzież niedoświadczoną, o łatwości usidlania ich pozorami szczególnej uprzejmości, o świętości sprawy węgierskiej, ale jasno myśli swej nie wypowiedział.

Lecz jakież było zdziwienie Janka, gdy zaszedłszy do gospodyni, ta przymknąwszy oczy, przeżegnała się, a marszałek spojrzawszy na niego schmurzony i po chwili powstając, rzekł znacząco:

— Janku! zdajesz się być dobrym chłopcem, ale strzeż się! bo możesz zostać bardzo niegodziwym.

Gospodyni zachwiała głową i otarła oczy, jakby łzami zasze.

Janek nie umiał na to słowa przemówić, marszałek wyszedł zaraz z pokoju, a gospodyni rzekła:

— O! tak, Janko, strzeż się! pan Iluzek miał słuszość, radząc ci ostrożność.

Wypytywania wszelkie na nic się nie zdały. Gospodyni czy nie chciała, czy nie umiała, dość, że go w niczem nie objaśniła i powoływała się ciągle na marszałka, że powinien radę jego mieć ciągle na pamięci. Janek sam nie wiedział, co robić. Czuł, że jest oplą- tany jakimiś tajemnymi sidłami 'podejrzenia, że przy-

ćhylność osób otaczających go zmniejszyła się, że nawet sam hrabia Szechenyi był dla niego mniej względnym, jak dawniej, ale powodu tej zmiany nie mógł odgadnąć. Postanowił więc z hrabią rozmówić się sta- nowczo, przedstawić swoje położenie tak mu dolegające i prosić o radę, co ma robić, aby odzyskał dawniejsze zaufanie.

■*> Gdy Szechenyi wysłuchał prośby młodzieńca, wpatrzył się w jego twarz smutkiem powleczoną, w oczy boleścią przymglone, ale nic nie odrzekł, tylko przeszedł się po pokoju w widocznym zamyśleniu.

— Może odwołanie do pana hrabiego, — rzekł Janek po chwili, — w kwestyi tak mnie osobiście dotyczącej, jest niewłaściwe, ale przywykłem o rzeczy niezrozumiałe dla mnie, pytać się starszych, których szanowałem. Z całym też zaufaniem przyszedłem do pana hrabiego...

— I nie zawiedziesz się na niem,—przerwał Szechenyi, — jeżeli będziesz szczerym ze mną i wszystko wyznasz otwarcie...

— A! tego tylko pragnę!—zawołał Janek.—Skry- tością, a tembardziej kłamstwem, zawsze się brzydziłem, bo uważam je za podłość niegodną człowieka.

— Ciesz się, — odezwał się Szechenyi,— powiedz mi więc otwarcie, skąd się wzięła twoja tak wielka zażyłość z Meszarosem, kapitanem hon- wedów, że z nim w ciągłych niemal 'zostajesz stosunkach?

— Poznałem go przypadkiem,—odrzekł Janek, — zaraz po przybyciu do Pesztu, później spotykałem go często, ale towarzystwa jego nigdy nie szukałem. Nie lubię go; coś mnie od niego odpycha, a nawet zbytne wypytywania się, co się dzieje u pana hrabiego, bardzo mi się nie podobały. Dałem mu to delikatnie uczuć •i zrobiło go to ostrożnym w rozmowie.

— A, więc pan Meszaros był tak ciekawym?

— O! i bardzo... On to pierwszy strzedz mi się kazał, ale, gdy to samo poradził Paweł, a potem marszałek i gospodyni, w głowie mi się'tak pomieszało, że strzegłem się własnej myśli, żeby nie stała się głośną, •własnego cienia, żeby mnie nie podsłuchał, nie podpatrzył i nie użył tego na moją szkodę. Wszystko mnie dó rozpacfej przyprowadziło.

— Biedaku! odezwał się Szechenyi, z pew- nem współczuciem, — pojmuję teraz, co się z tobą działo...; '•

— O! tak, panie hrabio, cierpiałem prawdziwe tortury...

— Nic nie szkodzi, będzie to nauką dla ciebie, jak należy być baczny w doborze ludzi do towarzystwa. Powiedz mi teraz, czy umiesz zachować tajemnicę, jaka ci powierzona zostanie?

— Umieć, panie hrabio, ale wprzód muszę wiedzieć, w jakim celu zostaną do niej przypuszczony.

— Bardzo słusznie. To, co ci mam powiedzieć, dotyczy zarówno ciebie, jak i dobra Węgier.

— O! jeżeli tak, panie hrabio, to mogę zaręczyć, że jej nie zdradzę ani jednera słówkiem nierozważnym. Węgry przez matkę moją i ciebie, panie hrabio, są moją ojczyzną ukochaną, jakże mógłbym coś zdziałać na ich szkodę?

— Ale jesteś i Słowakiem,—odrzekł Szechenyi,— a oni dziś stoją przeciw Węgom. Meszaros jest agentem austriackim... Chce się przez ciebie dowiedzieć, co ąję u mnie dzieje...

— Ach! niegodziwiec! Dziś mu nikczemność tę..

— Młodzieńcze! — przerwał Szechenyi, — a tajemnica?

— Prawda... — odrzekł Janek, hamując gniew.—

Przebac, panie hrabio, że się uniosłem, ale w podobnym razie trudno panować nad sobą.

— Ale trzeba! — odrzekł Szechenyi. — Nieprzyjaciel wiadomy przestaje być niebezpiecznym. Niech więc pan Meszaros dalej intrygi swe prowadzi i niech przypuszcza, że o niczem nie wiesz. To będzie względem niego najlepszy sposób postępowania.

— Zastosuję się do tego ile możliwości, — odrzekł Janek, — a teraz pozwól, panie hrabio, że ci wyrażę moją wdzięczność, za położone we mnie zaufanie, żeś mi wymierzył sprawiedliwość przez nieprzyjęcie potwarzy tak na mnie nikczemnie rzuconej.

Po tej rozmowie Janek przyszedł do siebie, rozweselił się, stał się żartobliwym, zachował ją jednak w tajemnicy, a gdy spostrzeżono, że hrabia powrócił mu dawną życzliwość, gospodyni z westchnieniem rzekła:

— Bogu dzięki, że hrabia chłopaka nie wygnał z domu!.

Marszałek zaś zrobił dyplomatyczną minę, mruknął pod nosem ze znaczeniem: hm! hm! hm! i trzy razy zażył tabaki, czego dawniej nigdy nie robił. Go

spodiny zwróciła na to uwagę i zganiła tak obfite jej użycie.

— Panie odpuść! — rzekła, — nie męcz tak no. sa, panie marszałku, bo on nie sakwa, żeby go tak rozpychać.

Ale pan 'Iluzek był tak zajęty¹ własnymi myślami, że na słowa te niewiele zwrócił uwagi, i znowu mruknąwszy: hm! hm! powtórnie zażył tabaki.

Zaraz dnia tego, gospodini zaprosiła Janka na kawę do siebie. Do pokoju jej prowadził mały korytarzyk: drzwi wchodowe były- otworzone, a że podłogę pokrywały wojłoki, kroków więc idącego nic nie było słycać.

Marszałek stał przy gospodini tyłem do drzwi obrócony i rozmawiał z panią Szalayową z wielkim zajęciem.

— Był zbójcą, powiadacie, panie marszałku?—zawołała gospodini, ręce składając.

— Tak, pani, zbójcą w bandzie Mikosa,—odrzekł Iluzek, — należał do napaści na kasę skarbową i teraz powieszą go na pewno.

— Jezus, Marya! — krzyknęła gospodini, i tak podniosła oczy, że źrenice schowały się jej, a same tylko łypnęły białka.

— I mnie go żal, — odezwał się marszałek, — ale dla zbójców nie można mieć litości. Pan hrabia odebrał już polecenie dostawienia go do więzienia.

W tej chwili przybiegł służący, wzywający Janka do hrabiego, a wkrótce potem obadwa wyszli do miasta.

W godzinę później, ' Janek był już z powrotem, a co ważniejsza, zupełnie spokojny i wesoły, jakby nic nie zaszło.

— Przeszedłem na kaWę, — r'zekł, wchodząc do pokojn gospodini. — Cok olwiek spóźniłem się, ale nie z własnej woli, mogę zaręczyć.

Marszałek wydobył tabakierkę, stuknął w nią i spojrział ukosdm na Janka.

Gospodini przymknęła oczy i oparła brodę na rękach, w pięść złożonych.

— Az kochanem państwem, co się- dzieje? — zapytał ze zdziwieniem.

W tej chwili przypomniał sobie rozmowę podsłuchaną przed wyjściem, i śmiejąc się, mówił dalej:

— Ach! prawda, zapomniałem, że jestem zbójcą

i należą do zmyślenia zrabowania pałacu, z wycięciem w pień wszystkich jego mieszkańców.

— Ach! — krzyknęła gospodyni, zatkała uszy i głowę schowała między poduszki stojącego przy niej łóżka.

Marszałek spojrział na Janka i zrobił wielkie oczy. Młodzieniec ujął się za boki i śmiejąc się, przechadzał po pokoju.

— Hm! hm! — mruknął marszałek, i z największą powagą zapytał: — Z czegoż się, młodzieńcze, śmiejesz? Sądzę, że tu niema nic śmiesznego?

— Zapewne, — odrzekł Janek, — gdyby w tem wszystkim chociaż odrobinka była prawdy.

Gospodyni wydobyła głowę, marszałek otworzył usta, patrząc na Janka.

— Powiedźcie mi, zacni i kochani przyjaciele, — odezwał się Janek, — czy mi z oczów patrzy zbójo- stwo? Prawda, że mnie oskarżono o to, ale hrabia rzecz całą wyjaśnił. Mikos dostał pieniądze na utworzenie oddziału partyzantów. Jako ochotnik zapisałem się do niego, ale jak tylko przekonałem się, że dopuścił się zdrady i został zbójcą, zaraz go porzuciłem i przyszedłem do Pesztu, szukać rady u hrabiego Szechenyego. Za jego też poręczeniem z zarzutu oczyszczony zostałem, a do was mam żal, żeście rzuconej na mnie potwarzy uwierzyli.

— Więc to tak było! — odezwała się gospodyni, — to chodź-że do mnie, chłopaku, niech cię uca- łuję..

Do uścisku Janka przyłączył się i marszałek, a potem wypytyjąc się o wszystkie szczegóły pobytu jego w Karpatach, nie mogli się dość nadziwić, akto był tak niegodziwy, że go tak szkaradnie oskarżył i w jakim to celu zrobił. Janek wprawdzie domyślał się, że to sprawka Meszarosa, w celu usunięcia go od boku Szechenyego i osadzenie kogoś innego, więcej powolnego, ale domysłu tego nie objawił, pojmując, że tu tajemnica była konieczną, jak mu to hrabia zalecał.

gaesa

V.

W parę dni po tym wypadku, Janek pracujący już bez przerwy w gabinecie hrabiego, oświadczył, że wyjeżdża z Pesztu na czas nieograniczony, w interesie księdza Michała bardzo ważnym i niecierpiącym zwłoki. Gospodyni wiadomość tę przyjęła z wielką przykrością, marszałek zasmucił się również i pożegnali go z żalem, zalecając ostrożność, aby znów nie wpadł w jaką nową przygodę.

Interes księdza Michała był wzięty tylko za pozór, właściwie zaś Janek został wysłany przez Szechenyego do Zagrzebia, miasta stołecznego Krocacji, dla badania miejscowego usposobienia dla Węgrów i o ile ruch ludności przeciw nim jest skierowany. Było to

40

polecenie wymagające wielkiej roztropności, a i zręczności niemałej, którego powierzenie Jankowi świadczyło pochlebnie o opinii, jaką sobie potrafił zaskarbić u Szechenyego. O właściwym celu tej wyprawy wiedział tylko Paweł, hrabia Bathyani i Szechenyi; zresztą nikt więcej.

Opatrzony w odpowiedni list do przyjaciela Pawła, Janek niebawem wybrał się w drogę.

Zagrzeb jest to miasto niewielkie, miało wówczas 15,000 mieszkańców. Położone u podnóża lesistej góry, zwanej Szelina, przedstawia się dość okazale, szczególnie od strony rzeki Medwesak, tuż przy mieście płynącej. Janek przybył do Zagrzebia zaraz po południu i zastał ruch tak niezwykły, podróżników przybyłych takie mnóstwo, że w zajazdach, tio których go przyprowadzono, wszystkie miejsca były już zajęte. Nie wiedząc co zrobić z sobą, a nie chcąc narzucać się przyjacielowi Pawła swoją osobą, aby nie ściągnąć na niego podejrzania, szedł pobrażem rzeczonym, upatrując, czy gdzie nie spotka nowego jakiego zajazdu, z wolnym jeszcze pokoikiem do najęcia.

Domki były tu niewielkie, otaczały je małe ogrody dość starannie utrzymane, ogrodzone płotami z żer-

4*

dzi lab chrustu, jak to po WBiach bywa zwykle. Droga obok nich idąca była piaszczysta, tn i owdzie błyszczą- ły małe kałuże, świadczące, że jej porządkiem niewiele się zajmowano.

Janek szedł ciągle upatrując szyldu, mijał przechodniów, ustępował przed jadącymi wozami, pytał się, ale nadaremnie, i już miał zboczyć w górę ku miastu, gdy nagło usłyszał krzyk przeraźliwy po za sobą. Obejrzał się... Na środku drogi ujrzał jadący wóz wielkim ciężarem obładowany, za nim o kilka kroków z tyłu szedł furman, zajęty rozmową z jakimś spotkanym znajomym, a przed wozem pierzchła gromadka dzieci, z których najmłodsze leżało na środku drogi, napróżno gramoląc się do powstania

Eonie ciężkie i wielkie, jak słonie, jnz tylko o parę kroków znajdowały się od dzieciny: jedno potrącenie kopyta uzbrojonego żelazną, grubą podkówną, mogło* je zabić na miejscu, a cóż dopiero, gdyby się dostało pod koła, co było łatwym do przewidzenia.

Janek od razu poznał niebezpieczeństwo, i nie namyślając się, dał susa, dziecinę podniósł z ziemi, chroniąc od niechybnej śmierci, podał przez płót matce, która straciwszy przytomność na tak straszny dla siebie widok, tylko krzykiem rozpaczy niosła dziecku ratunek.

Strwożona kobieta, tuląc dziecko i uspakajając, nie umiała znaleźć słów na podziękowanie Jankowi za tak dzielną pomoc. Płacząc, łajała dzieci, gniewała się na ich juedbałość, i gdy zobaczyła Janka odchodzącego, poprosiła go o powiedzenie, kim jest' i skąd pochodzi, aby wiedziała za kogo się ma modlić przez całe życie.

Stąd zawiązała się rozmowa. Janek jednak utaił prawdziwe swoje nazwisko i powiedział, że się nazywa Michał Nierosz z Brzetysława i przyszedł do Zagrzebia w celu zaciągnięcia się do wojska.

Była to ostrożność konieczna. Oskarżenie potwar- cze, jakiego już doświadczył w Peszcie, zmusiło go do tego. Tam łatwiej pomiędzy Węgrami mógł znaleźć obronę, tu pomiędzy Kroatami, źle dla Węgrów usposobionymi, trudniejby mn to przyszło. Gdy wdzięczna kobieta, pani Maliczkowa, dowiedziała się o kłopotcie Janka w wynalezieniu dla siebie mieszkania, powiedziała mu, że ma na górcie swego domku małą izdebkę, zajmowaną przez brata teraz nieobecnego w domn, je

żeli więc nie pogardzi jej ofiarą, to go chętnie przyjmie na czasowego na tydzień mieszkańca.

— Nie je6t to, — rzekła, — ani obszerne, ani wygodne mieszkanie, ale zawsze lepsze, niż 6adne.

Naturalnie) 6e Janek chętnie przyjął zaproszenie pani Maliczkowej, a 6e zobaczył, i6 nowa jego gospoia zajęta jest polewaniem grządek małego swego ogr6dka, co jej z wielkim przychodzi trudem, gdy6 becza, z której wodę czerpała, stała o kilkanaście kroków od- dalona, natychmiast ofiarował się z pomocą i tak gorąco się sprawiał, 6e wkr6tce robota z zadowoleniem obojga, ukończoną została.

— Zwykle przy tem zajęciu pomagał mi brat, — rzekła Maliczkowa, — dzisiaj sama muszę to robić i dlatego mniej zważając na dzieci, o mało dzieciny nie straciłam. Nie przypuszczałam jednak, 6e znajdę w tobie, młodzi6nce, tak pracowitego pomocnika.

— 6adnej pracy się nie lękam, — odrzekł Janek, — i przez cały czas pobytu mego, mam nadzieję, 6e pani nie pogardzi tą małą usługą. Zrobi mi to wielką przyjemność.

Pani Maliczkowa ze śmiechem przyjęła tę ofiarę, dziwiąc się, 6e Janek dla niej obcy, a stał się odrazu,

jakby dawnym jej znajomym. Potem zaprowadziła go do izdebki na poddaszu i prosiła, aby się w niej roz- gospodarował z wszelką swobodą, jakby w domu własnych krewnych, jakby był jej bratem rodzonym, skoro ma spełniać to, co tamten robił codziennie.

Gdy schodzili z g6ry, zastali samego Maliczko, który tylko co z fabryki powrócił do domu. Był to człowiek jeszcze młody, 6ywy i wesoły, a gdy się dowiedział o przysłudze wyrządzonej przez Janka, uściskał go z największą serdecznością i potem powstał na 6onę, 6e przy kwiatkach 0 dziecku zapomniała.

— A bo to taka z niej zawzięta ogrodniczka, — rzekł w końcu, zwracając się do Janka, — 6e przy -grządkach z polewaczką w ręku, zapomina o całym świecie, a przede wszystkim, 6e mąż głodny wraca do domn.

— Nie dziwię się, — odezwał się Janek, — kwiaty, to najpi6kniejsze twory ziemi...

— Oho! zginąłem, — przerwał Maliczko, — skoro i wy, mój panie, stanęliście po stronie mojej 6ony, to ju6 dla mnie niema ratunku i umorzony zostanę głodem, zamiast posiłku, dostając zawsze' tylko kwiaty, przer6żnej nazwy i barwy.

Tak zawiązana rozmowa, przeciągnęła się czas jakiś. Maliczko żartobliwie powstawał na kwiaty, żona je broniła, Janek jej dopomagał, słowem bawiono się wspólnie ze swobodą, jak znajomi często się z sobą spotykający.

Gdy słońce jnż doszło kn zachodowi, Janek wypytawszy się o mieszkanie Beli, przyjaciela Pawła, poszedł do miasta, ale go nie zastał w domu i powiedziano mu, że poszedł do ogrodu, w którym codziennie zbierają się deputowani, zwołani na naradę z całej Kroacji. Poszedł więc na* wskazane miejsce.

Ogród roił się mnóstwem zebranych gości; wszyscy z wielkim ożywieniem prowadzili rozmowę. Gdzie rzucił uchem, wszędzie rozprawiano o Wiedniu i Peszcie; gdzie spojrzął, zawsze zobaczył sztywną figurę austriackiego służbisty, przemawiającego z zapalem przeciw węgierskiemu narodowi

— To są zdrajcy i buntownicy, — mówił jeden z nich, przy stoliku licznie zgromadzonych słuchaczy. Obstają niby przy swoich starych prawach i chcą się od Austrii odłączyć, ale na to, żeby Słowian zakuć ,w pęta niewoli i porobić ich Węgrami. Ale nie spełnią się ich zdradzieckie zamiary, nasz cesarz w Wiedniu stanie po stronie Słowian, Węgrów upokorzy, a Słowian wyrwie z ich szponów.

— To też to stanie się,— mówił dalej mówca,— niechno tylko Węgom przytną rogi. Cesarz pan sprawiedliwy, to bronić go należy...

— Tak, należy go bronić, — potwierdzili słuchacze,—a co uradzą na sejmie, na który zjechaliśmy się, to zrobimy.

— Tak, tak, zrobimy! — zawołali zgromadzeni.— Niech żyje cesarz!

Okrzyk ten powtórzyli bliżej siedzący, za nimi dalsi i przez kilka potem minut brzmiał w całym ogrodzie, a nawet i na ulicy dały się słyszeć krzyki wznoszone na cześć cesarza.

Janek, siedząc samotnie, patrzył uważnie i słuchał. Niechęć ta dla Węgrów, bardzo go smuciła, wytłómaczyć zebranym, że się mylą, że wspólnym ich wszystkich nieprzyjacielu są właśnie ci, w obronie których występują i, że ich jedynym zadaniem, jest przerobienie zarówno Węgrów, jak Słowian na Niemców, nie mógł, bo by wszystkich zwrócił przeciw sobie i naraził się na wielkie niebezpieczeństwo. Milcząc więc, dumiał nad zaślepieniem zebranych, i byłby w tej zadumie

długo jeszcze przesiedział, gdyby nagle nie zbliżyło się do stolika kilku młodych ludzi i nie zajęło miejsca tuż koło niego. Wszyscy byli w mundurach wojskowych zupełnie mu nieznanych, a pomiędzy nimi Janek dojrzał dawnego swego towarzysza z bandy Czuwasa, zwanego Mu rasem.

Nie chcąc odświeżać znajomości tak mn wstrętnej, Janek powstał, chcąc się wynieść z ogrodu, ale zaledwie uszedł parę kroków, usłyszał za sobą wołanie :

— Hej! rekrucie z pod Karpat, a«wróć, no się! Hej! hej!

Janek udał, że nie słyszy, nie obejrzał się, nie zrobił najmniejszego poruszenia i wyszedł zaraz z ogrodu.

Na drugi dzień zaraz zobaczył się z przyjacielem i Pawła, Belą. Zastał go w mieszkaniu. Janek opowiedział wszystko, co wysłuchał w ogrodzie.

. — Niestety! — odrzekł Bela,— tak jak zgromadzeni w ogrodzie, tak samo sądzi i mówi cała Kroatyja. Zaślepienie to wielkie, brak rozumu, niemożność zrozumienia, że dlatego nas tak jątrzą pomiędzy sobą, aby Węgrów osławionych łatwiej pobić, a potem nas wziąć w kluby i na usta włożyć kaganiec. Sprawcą tego ogłupienia narodu jest baron Jełłaczyc, zrujnowany panek, a pragnący godności i skarbów. W tych to widokach, trzyma się dworu wiedeńskiego, a rozdmuchując nienawiść Kroatów do Węgrów, jakoby sprawców ich niedoli, zagrzewa do ruchu na korzyść Austrii.

Rozmowa przyjaciół długo jeszcze trwała, stan rzeczy dostatecznie wyrozumowali i przyznali jedno* zgodnie, że na ułagodzenie niechęci Kroatów, na prze* konanie, iż na błędnej znajdują się drodze, niema żadnego sposobu.

' Na drugi dzień, kiedy Janek z Belą szli ulicą, około nich przejechał powóz, zaprzężony w parę pięknych rumaków, a w nim siedział młody mężczyzna, w mundurze wojskowym, w kołpaku z czapłem piórem. Powierzchność miał odznaczającą się, szamerunku złotego na mundurze pełno, na piersiach kilka orderów, spoglądał na przechodniów z pewną dumą, a kłaniającym się oddawał honory wojskowe z widocznym zadowoleniem.

— To baron Jellaczyc, — rzekł Bela, — jedzie na zgromadzenie narodowe do pałacu arcybiskupa. Widzisz, jaką ma minę pewną siebie, jakby mówił: „Barany, bijcie mi czołem, bom już wielki, a większym wkrótce zostanę*. Go prawda, że i on baran, ale sprytny i ma rogi, któremi bodzie, a więc podwójnie niebezpieczny.

Przy pałacu arcybiskupim wspaniale zbudowanym, pełno było ludu... i coraz go więcej przybywało. Janek z Belą przechadzali się, gdy nagle oko w oko stanął przed nimi Muras, ale po Janku mignął tylko spojrzeniem i poszedł dalej, nie zaczepiając, jakby go nie poznał.

— Widać mnie nie spostrzegł,—pomyślał Janek,— radbym go już więcej nigdy nie zobaczyć.

Niebawem w sali obrad wybuchły głośne okrzyki: brońmy cesarza! Dosłyszawszy je zgromadzone tłumy powtórzyły z wielkim zapalem. Był to okrzyk na postanowienie zgromadzonego sejmku, odrzucenia układów z Węgrami i zerwania z nimi wszelkich stosunków.

Wiadomość o zapadłej uchwale rozbiegła się szybko pomiędzy zgromadzonymi; odjeżdżającego patryar-

chę Rajaczyca i barona Jeliaczyca nczczono wiwatami, to samo deputowanych i potem wszędzie rozlegały się okrzyki po całym mieście na cześć cesarza i rządu wiedeńskiego.

Janek z Belą powracali w milczeniu; tłumy rozchodziły się w różne strony, gwar rozmowy wrzał wszędzie, a nierzadko w pośród niego dawało się słyszeć przekleństwo na Węgrów, połączone z odgrózkami.

— Podobno nie mam tu już co więcej robić, — odezwał się Janek, — trzeba wracać do Pesztu i to jak najspieszniej.

— I ja tak sądzę, — odrzekł Bela. — Misya twoja skończona, obłąd wszystkich opanował, a skorzystają z niego tylko ci, co naród w interesie swoim, a wbrew jego dobru, do tego przywiedli.

Przez czas krótkiego pobytu w Zagrzebiu, Janek jeszcze lepiej zaprzyjaźnił się z państwem Maliczkami, chłopczynę zaś, którego wyrwał prawie z pod kopyt końskich, tak do siebie ośmielił, że go nie odstępował na chwilę i ciągle przy nim przesiadywał. Z wielkim też żalem pani Maliczkowa przyjęła wiadomość o przyspieszonym wyjeździe Janka.

— Byłam pewną, że już zostaniesz między nami, — rzekła ze smutkiem, — i razem dopięro z oddziałem wyjedziesz na wojnę przeciwko Węgrom. Dziś cię jednak nie puścimy z domu, musisz do jutra pozostać, mąż mój bardzoby się gniewał, gdybyś odjechał bez pożegnania. Wreszcie coby kwiatki moje na to powiedziały, gdybyś ich nie obejrzał na dobranoc? Chłopczyna mój zapłakałby się, a ja powiedziałabym, że jesteś bardzo niegrzeczny, Zostań więc koniecznie i nie wymawiaj się napróżno, bo to na nic się nie zda.

W prośbie tej było tyle serdecznej szczerości, taka się przebijała życzliwość, że choć Janek pragnął jak najprędzej wrócić do Pesztu, postanowił wyjazd odwlec do dnia następnego i dopiero przed wschodem Błońca wyruszyć w drogę. Ponieważ sam Maliczka nie wrócił jeszcze do domu, Janek więc poszedł na brzeg rzeki przypatrzeć się panującemu tam ruchowi.

Smutno mu było na sercu: wiadomości, jakie wiozł z sobą, nie były pomyślne; wiedział, że zmartwią bardzo całe stronnictwo narodowe węgierskie, a w szczególności samego Szechenyego. Zadumany przechadzał się po nadbrzeżu, myślał o swych ukochanych w Bożygrodzie pozostawionych, o poczciwej pani Szulayowej

i marszałku, tak ma życzliwych, o poznanem państwie Maliczkach, z którymi wkrótce rozstać się musi może raz na zawsze. Gdy wrócił do domu, zastał panią Malickową, zabierającą się do polewania kwiatów.

— Dobrze, że przyszedłeś, — odezwała się, — mąż mój wkrótce nadejdzie, ażeby ostatnie chwile pobytu u nas przyjemniej nam zeszyły, zaprosiliśmy naszych sąsiadów na wieczorne zebranie i co chwila spodziewani się ich przybycia.

— Przecież jeszcze spotkamy się kiedy! — odrzekł Janek. — Zagrzeb — to nie koniec świata, a ja nie zapęknę nigdy waszej dla mnie gościnności.

— I my twojej przysługi, ale na wojnie różnie bywa... kto zgadnie co kogo czeka! — odpowiedziała pani Malickowa z westchnieniem.

Z polewaniem kwiatów prędko się załatwiono, potem poszedł Janek na górkę do swej izdebki dla przygotowania torebki podróży, a gdy zeszedł na dół do mieszkania państwa Malicków, zastał już w niej zapowiedzianych gości, państwa Stefanów z córką, i samego pana Malicko zajętych rozmową.

Stefan był to wysoki mężczyzna, fajkę trzymał w ustach, a ręce w kieszeniach i to tak zawsze bez

zmiany, jakby w tej postawie na świat się urodził. Połowica jego była malutką osobką, głową mu zaledwie do pachy dochodzącą, ale niezmiernie ruchliwą i za niego i za siebie wygadaną.

Córka Tereska miała postawę ojca; szczupła i troszkę przygarbiona, co chwila rumieniała się, nie śmiejąc słowa przemówić. Ojciec był równie małomówny, ale nie z usposobienia, tylko niejako z konieczności

Ile bowiem razy miał przemówić, wprzód musiał pokręcić głową, jakby się namyślał, potem podnieść ramion, nim się więc odezwał, pani Stefanowa uprzedziła go zawsze, a on tylko potwierdzał to, co powiedziała.

Rozmowa toczyła się o naradach sejmu zgromadzonego w Zagrzebiu, o poważnej postaci patriarchy Rajaczyca i przyszłym wydobyciu się Kroatów z pod przemocy węgierskiej.

— Teraz nastaną lepsze czasy, — mówił Malicko, podsuwając kufel z piwem swojemu gościowi. Razem z Węgrami pozbędziemy się i wszystkich niemieckich różnej nazwy amtmanów, którzy nas darli ze skóry do niezniesienia. Będziemy sobie sami radzili, wszak prawda, sąsiedzie?

Sąsiad poruszył głowę, wznosił ramiona i nim zebrał się na odpowiedź, rzekła pani Stefanowa:

— Ja to zawsze mówiłam mężowi, wszak prawda? Odezwiżę się! Dobre węgierskie wino i bryndza także dobra, ale przyjaźń węgierska, to jak oset i pokonywa, bo i kole i parzy.

— Tak, tak, kole i parzy!—potwierdził Stefan.

— Oj! i dobrze parzy, — odezwał się Maliczko,— nie tak, jak wasza Tereska, co wygląda jak róża świeżo rozkwitła.

Dzieweczka oblała się szkarłatem.

— I czegoż się znowu zarumieniłaś? — zapytała Stefanowa, zwracając się do córki.

— To tak ze skromności panińskiej, — objaśnił Maliczko, — rumieniec taki, to najpiękniejsza ozdoba dziewczycy.

— Podziękuj, Teresko, za komplement, ale otóż znowu się rumienisz! — zawołała pani Stefanowa, — i poruszasz ustami, jakbyś głosu z piersi wydobyć nie mogła, zupełnie, jak ojciec, co musi wprzód nakręcić się głową, jak na dachu chorągiewka, potem podnieść ramion, zanim słowo z siebie wykrztusi!

— Bo też zupełnie do ojca podobna, — rzekła Maliczkowa, zajęta zastawianiem stołu do przygotowanej wieszery. Ma ten sam wzrost, tę samą postawę...

— I to samo zgarbienie się, — dołożyła Stefano- fa, — wyprostuj się przecie, bo tak wyglądasz, jakbyś usypiała!

— Ma jednak szczęście,— odezwała się Maliczkowa, — pan Szurman, przystojny młodzieniec, nie może się jej dosyć nachwalić.

— Pan Szurman, Niemiec! — zawołała Stefanowa, — a po matce Węgier, a ja takiego zięcia za nic w świecie dostać nie chcę. Wszak prawda, mężu, że i ty tego samego jesteś zdania?

I nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej:

— Z tobą, to trudno się dogadać, nim się natrzę- siesz i głowę i ramionami, to wyspać się można i wyziewać od ucha do ucha. Niemiec nas gnębi, a Węgier zaciera ręce i cieszy się, gdy narzekamy.

— Zdaje mi się, łaskawa pani, — odezwał się Janek, — że i Węgry pragną się z Niemców oczyścić i dlatego...

— Ale to prawda, — przerwała Stefanowa, — ktoś Niemców na nas nasłał, jeżeli nie magnaci węgierscy ?

— Powiadają, — odrzekł Janek, — że to dzieje się z rozkazu dworu wiedeńskiego, który radby wszystko przerobić na niemiecki sposób.

— To tak było, — odrzekł Maliczko, — ale teraz chcą przywrócić sprawiedliwość, ale Węgrzy sprzeciwiają się temu i buntują...

Janek, mówiąc to, siedział w głębi pokoju i nagle umilkł: dostrzegł przez okno stojącego przy furtce Murasa z kilkoma żołnierzami i wydającego im jakieś rozkazy.

— A to co takiego? — zapytali wszyscy, zbliżając się do okna.

— Pewno mnie chcą aresztować... — odrzekł Janek.

— Czy podobna? Cóżbyś im zawinił? — zapytano.

— Później wam to wytłumaczę, teraz, jeżeli można, ukryjcie mnie gdzie, bo będę zgubiony!

— Mężu! — zawołała Maliczkowa — zabaw żołnierzy na podwórzu, prędko, prędko! Spiesz się i staraj tję, jak najdłużej ich zatrzymać.

Maliczko wybiegł natychmiast, w pokoju zrobił się zamęt, Stefan kręcił ciągle głową, żona jego piorunowała na Węgrów, im tę napaść przypisując, Tereska gorzała rumieńcem, jak pochodnia, a Maliczkowa kręciła się po pokoju, szukając miejsca do ukrycia Janka. Mały chłopczyna, synek Maliczków, zobaczywszy tak niezwykle zamieszanie, rozplakał się i pobiegł do Janka, obejmując go rączkami, jakby chciał go zasłonić przed niebezpieczeństwem.

Maliczko wkrótce znalazł się przy Murasie.

— Cóż to panów do nas sprowadza? — zapytał z najlepszą miną, jakby jedynie ciekawością powodowany.

Muras nic nie odrzekł, tylko zajmował się wydawaniem rozkazów obsaczenia w koło domu i wysyłaniem podkomendnych na różne stanowiska.

— Cóż to się dzieje? — zapytał znowu Maliczko. — Czyż dom mój bierzecie na fortecę i chcecie go szturmem zdobyć?

— Tak jest, panie Maliczko! — odrzekł Muras. —

U was znajduje się zbieg wojskowy, dezertor z pod chorągwi Czuwasa, nazywa się Jan Kowas.

— Mogę wam zaręczyć, że nazwisko to pierwszy raz słyszę.

— To być może, nie możecie jednak zaprzeczyć, że mieszka u was młodzieniec niedawno przybyły z Pesztu, którego tam wyśledzono i przyaresztowano, ale

^pomiędzy Węgry zbieg kroacki zawsze znajdzie ochro- ąę i opiekę. Tu mu się to nie uda.

— O, z pewnością, że nie,— odparł Maliczko,—ja pierwszy zaraz oddałbym go władzy.

— Wskaż więc, gdzie się znajduje obecnie?

— Ale mogę wam zaręczyć, że u mnie żaden podobny awanturник nie przemieszkuję.

— To nieprawda, sam go widziałem, jak wyszedł z waszego domu, potem przechadzał się po nadbrzeżu i znowu do was powrócił.

Maliczko, pragnąc jak najdłużej badania przewlekać, aby zyskać na czasie, ciągle dowodził, że żadnego Jana Kowasa i do tego przybyłego z Pesztu zupełnie nie zna, i wreszcie po długich kołowaniach wyznał, że przyjął do siebie młodego podróżnika, zowiącego się Michałem Nierosz, przybyłego z Borzysławia, a to przez wdzięczność za uchronienie ich Bynka od pewnej śmierci.

Opisując tę straszną katastrofę, wyprowadził Mu- rasa na drogę, wskazał miejsce, gdzie upadł chłopczyk, gdzie wóz toczył się, gdzie znajdował się jego woźnica, gdzie wreszcie stała jego żona i jak krzykiem zwróciła uwagę idącego młodzieńca.

Muras wysłuchał tego długiego opowiadania z największą cierpliwością i wreszcie oświadczył, że mieniący się być Nieroszem, jest rzeczywiście poszukiwanym przez niego Janem Eowasem i że musi go koniecznie przyaresztować, gdyż zbiegostwo w ich oddziale bardzo się powiększyło, dla przykładu więc innych każdy zbieg chwytny musi uleść surowej karze.

— Mając ptaszka w klatce, — rzekł w końcu,— już go z rąk nie wypuszczę. Prowadźcie mnie do jego kwatery, dom obsaczony w koło nie wymknie się z niego.

— O, z pewnością, złapiemy go, — odrzekł Maliczko, skrobiąc się frasośliwie,—tylko to nieszczęście, że go niema w domu.

— To być nie może, zresztą cały-dom przetrzą- śniemy.

— Tak, tak, zaprowadzę was do wszystkich kątów, — odrzekł Maliczko, — tylko...

I mówiąc to, spojrział na dom i zobaczywszy żonę swoją i gości stojących w oknie, rzeki:

— Mam dziś gości n siebie, nie radbym zepsuć im zabawy, proszę więc was, pominięcie nasze mieszkanie...

— Dobrze, dobrze, chodźmy więc,—przerwał Muras, i ruszył przodem, a Maliczko jeszcze go wstrzymał, prosząc, aby, gdy uchwycą zbiega, goście nic o tem nie wiedzieli.

— Bądźcie spokojni, wyniosę się cichaczem i nikt nawet się nie domyśli, po co do was przyszedłem.

Zaczęły się więc poszukiwania, ale nigdzie zbiega nie znaleziono, zajrzano wszędzie, całą górę przejrano, nie opuszczono nawet kominów, i gdy wreszcie przekonano się o daremności robionych poszukiwań, Muras, przeklinając Janka, oświadczył wreszcie, że musi zrewidować mieszkanie.

— Czybyście nas posądzali o ukrywanie przestępcy? —zapytał zakłopotany Maliczko.

— Ach! panie wachmistrzu, nie róbcie nam podobnej krzywdy.

— Porządek rzeczy tego wymaga, sprytna to sztuka! — odrzekł Muras, — mógł się wcisnąć niepostrzeżony do waszego mieszkania, kiedy wasi goście przez okno wyglądali, i siedzi pomiędzy nimi w jakiej szafie, kufrze, lub firanką okryty.

Sprzeciwiać się temu było niepodobieństwem, i Maliczko rad nie rad, narzekając na przestkach gości, na popsutą zabawę, prosił, aby szanowny pan wachmistrz czynność swoją jak najprędzej odbył, przez wzgląd na kobiety, mogące się nawet pochorować.

— Jest tam szczególnie jedna, młodziutka panienska, — mówił z westchnieniem, — której raz poraż krew bije do głowy. Gdy was zobaczy, gotowa dostać ataku apoplekcyi, i zamiast przekłętego zbiega, trupa wyniesiecie z domu.

— No, no, bądźcie spokojni! — odrzekł Muras,— chociaż, jako żołnierz, nie znam na ceregielach babskich, ale dla kobiet umiem być wyrozumiały. Nie spojrzę nawet na żadną i słówka do nich nie przemówię.

W mieszkaniu zastano gości, siedzących przy stoliku, grających w karty i grą niezmiernie zajętych.

— Przepraszam szanownych państwa, — odezwał się Muras, — ale z obowiązku muszę zrobić małe poszukiwanie. Proszę dalej grę prowadzić, a my tu z gospodarzem załatwimy się w minutę.

W pokoju nie było Janka, pani Stefanowa z największą przytomnością trajkotała, jakby tylko o grze myślała, a o niczem więcej; inni byli milczący, jacyś nieswoi, co jednak uszło uwagi • Murasa. Maliczko chciał porozumieć się choć oczami, uchwycić choć przelotne spojrzenie, aby z niego domyśleć się, gdzie Janek został ukryty, ale choć długo wyszukiwał klucza od szafy, żadna z kobiet nie spojrzała nawet na niego, a Stefanowa łajała Tereskę, że zamiast w karty patrzeć, oczy spuszcza ku ziemi. Przez ten czas Muras przeglądał starannie całe mieszkanie, zaglądał pod łóżka, za szafy, Maliczko ciągle szukał klucza, chrząkał, mrugał ku żonie oczami... gdy nagle zobaczył młodą dziewczynę, trzymającą synka jego na kolanach, jakby uśpionego.

Był to Janek w przebraniu kobiecem, z chustką na głowie, na wzór Kroatek zawiązaną i tak zmieniony, że zaledwie domyślił się, iż to on jest, a nie kto inny. Pewny, że podstęp uda się przewybornie, z ra dości aż się uśmiechnął i wszystkie kufry i szafy spiesznie pootwierał.

Goście powstali i w ścieśnionem gronku stanęli pomiędzy oknami pokoju. Janek stał po za nimi, Muras przerzucił tylko oczami, i wyszedł z mieszkania, przepaszając za zamęt, jakiego stał się mimowolnym powodem. Pozostali odetchnęli swobodniej.

— Bogu dzięki, — odezwała się Maliczkowa, składając ręce, — poszedł przecie sobie, ale myślałam, że omdleję z niespokojności.

— Ja się nic nie bałam, — odezwała się Stefanowa, — tylko ścisnęłam ręce Teresce, żeby krwi nie puścić do głowy, bo jakby poszła jej z nosa, to wszystko mogłoby się wydać.

— Cicho, żono, cicho! — odezwał się Stefan, głos przyciszając, i tym razem już bez zwykłych szprynców głowy i ramion.

Stefanowa oburknęła się i byłaby nastąpiła zwada, ale wszedł Maliczko z oświadczeniem, że komenda wojskowa już odeszła, że ma podejrzenie, iż czuwać będą nad powrotem Janka do domu, i dlatego trzeba być bardzo ostrożnym, aby rzecz, tak szczęśliwie przeprowadzona, nie popsuła się przy końcu.

Janek za dziewczyną wiejską doskonale się przedstawiał: miał do niej podobne mchy, twarz gładką bez zarostu, i nie mógł się dość nadziękować wszystkim, za pomoc-udzieloną w tak groźnym wypadku.

— Bogu dzięki, — rzekł, — niebezpieczeństwo minęło, ale zapewniam was, że najniesprawiedliwiej jestem prześladowany. Przez podstęp zostałem wciągnięty do bandy Mikosa, później przezywającego się Czu- wasem, gdy się przekonałem, że to prosty herszt zbójców, porzuciłem bandę...

— Wierzmy ci, młodzieńcze! — przerwał Maliczko. — Mikos czy tam Czuwas, naprawdę ma bandę opryszków, ale przyłączył się do naszego pogranicza i poddał pod rozkazy barona Jellaczyca. Jest więc dowódcą kampanii partyzantów...

— Niechże nas Bóg strzeże od podobnych dowódców i partyzantów! — zawołała Stefanowa.—Prawda, mężu?

— Hm! hm! tak niby utrzymywać należy, — odrzekł Stefan, spuszczać ramiona podniesionych w górę,— ale...

— To prawda, — przerwała Stefanowa, — gdy potrzeba konia do wozu, to wszystko jedno, czy kary,

czy szpakowaty, byle ciągnął. .1 w wojnie to samo, każdy dobry miecz, gdy można nim siec, ale jak zaczniesz siec i swoich, to co będzie, hę? Ale ty do wojny nie przydatny, Tereska wygląda jak piwonია, tykoby ludzi straszyla, ale ja, zebym tylko dwa cale byla wyzsza, to chyc, na konia i buch na Węgra!

Zapał ten wojskowy pani Stefanowej, który chciał skarcić mąż jej, gdyż już dwa razy zakręcił głową, uspokoił cokolwiek Maliczko, podniesieniem kwestyi dalszego bezpieczeństwa Janka.

— To jeszcze nie skończyło się,— rzekł,— i trzeba go koniecznie z naszego Zagrzebia wyprowadzić, bo inaczej prędzej czy później uchwycą go. Jak tego jednak dopełnić, gdy dom nasz tajemnie będzie w oblężeniu trzymany?

— Jak? to nic łatwiejszego, — odrzekła Stefanowa. — Ja go wywiozę sama jako dziewczynę, dla wuja mego do służby zgodzoną. Gdyby mu się zanadto przyglądano, to ciekawego zagadam, pleść mu będę koszałki opałki, to i owo, trzy po trzy, dwanaście po trzynaście, i potem dalej jazda, wioł w drogę! Mam ja rozum, mój mąż, to ani się do mnie umywał.

Stefan nie zaprzeczał tej przechwałce, tylko się

uśmiechnął, a Maliczko, przyznawszy słuszność twierdzeniu fertycznej kobiety, oświadczył że plan przedstawiony spodobał mu się, i że należy z dobrych chęci pani Stefanowej bez namysłu korzystać. Inni tegoż samego byli zdania. Stefanowa tryumfowała, mąż jej uśmiechnął się, dumny pochwałą żony, a Teresa połknęła aż kawałek lodu, co ją tak wewnątrz paliło.

— Sąsiadko kochana, — odezwała się Maliczkowa, — do śmierci będę cji wdzięczną za pomoc, udzieloną zbawcy naszego dziecka. To młodzieniec tak dobry, nślužny, grzeczny i pocziwy, że zapłakałabym się, gdyby mu się przytrafiło jakie nieszczęście.

— Bądź spokojną, sąsiadko! — odrzekła Stefanowa.—Włosa z głowy nawet nie straci, a wywikłam go z biedy, choćby mi przyszło nosem tak kręcić, jak mój mąż głową obraca. Ho! ho! mój ojciec często odbierał listy od kapitana swojego przyjaciela, a ja czytałam je głośno, bo na oczy był wadny, to sobie z żołnierzami umiem radzić.

Janek więc pozostał w domu, w stroju przybranym chwilowo, co tembardziej nie zwróciło żadnego podejrzenia, iż mały chłopczyna ciągle błąkał się przy nim, jak to zwykle dzieje się z piastunką.

Na drugi dzień Maliczko poszedł na zwiady i ra-raz na ulicy spotkał jednego ze straży pytającego się, czy Janek nie wrócił na noc.

— Pilnowaliśmy go całą noc, — rzekł, — a teraz w całym mieście go śledzą, jeżeli więc nie umknął z pewnością schwycony zostanie.

VII.

Drogi więc dzień zeszedł spokojnie, to samo dni jeszcze parę, wreszcie dowiedziano się, że Muras z całym oddziałem prowadząc konie i broń, wyruszył do głównej komendy. Postanowiono zatem plan ułożony wykonać natychmiast.

Po najcznlszem pożegnaniu, błogosławieństwie i rozczuleniu rozstających się z sobą, już dobrym zmierzchem, Stefanowa siadła do wózka, naprzeciw siebie usadowiła Janka w kobiecem ubraniu, i pragnąc dowolnie przekonać furmana, że wiezie dziewczynę, nie chłopca, zaczęła ostro do Janka przemawiać, zalecając mu czujność.

— Masz tu koszyczek z różnemi podarunkami dla mego wuja. Pilnuj go, żebyś nie zgubiła, bobym się gniewała!

Woźnica obejrzał się na Janka plecami do niego siedzącego.

— Nie macie się jej co przypatrywać, bo to dzie- wuszysko bardzo • niezdarne! ■— odezwała się Stefanor wa. — Spanie jedyna jej robota, -choćby -po dniach całych, ale do prawdziwej roboty ani weź!

Furman znowu spojrzął przez ramię na Janka, i potem ciągle go trącał, przypominając koszyk i starając się go rozerwać rozmową!, żeby nie usnął.

Janek nic nie odpowiadał i zostawiał wolne pole dla popisu wymowy pani Stefanowej. Raz jednak przez zapomnienie, sam się odezwał naturalnym głosem.

Furman zwrócił się ku niemu, mówiąc z podziwem:

— Oj! jaki to ta dziewczucha ma gruby głos... Tak beknęła, jak zajac, kiedy go psy duszą.

— Taki głos, jaki rozum,—odrzekła Stefanowa.— Niema z niej ni pociechy, ni roboty!

— To jej już nie będę zaczepiał, — odrzekł furman, tylko pięścią będę walił po plecach, żeby nie usnęła.

4 i'

— To już lepiej,—odrzekła Stefanowa,5-a co wy nie wybębnicie, to ja domłócę, jak w stodole.

— A niech i tak będzie, we dwójkę to robota, lżej pójdzie. ^^^

Jankowi umowa ta nie bardzo się spodobała, mi- mowoli uśmiechnął się jednak ze swego położenia i miał wielką ochotę w głos się roześmiać, ale furman zakręcił biczem i wózek z górki potoczył się szparko. Pani Stefanowa była za to niewyczerpaną w rozmowie, i byłaby może na chwilę ust nie trzymała w milczeniu, gdyby nie rzęsisty deszcz, który pomału przemieni) się w ulewę i taką ciemnością okrył całą drogę, że firman kłął dnszę i ciało, iż koni nie widzi przed sobą, i że, gdyby nie to, iż czuję, że się wózek pod nim porusza, toby był pewny, że stoi w miejscu. Wszelkie okrycia i parasole nic nie pomagały: deszcz pluśkał ciągle, wiatr chwilami zrywał się, woda przesiąkała przez wszystkie szpary i zasłony, konie szły same, jak chciały, wreszcie firman oświadczył, że nie wie, gdzie się znajduje, i że najprędzej odbił się od głównej drogi, a wjechał na manowce.

I błędzenia tego długi czas było, pluska deszczowego to samo; ubranie każdego przesiąkło do gołego

ciała, a Tanek, mając pod spodem swoje ubranie męż- kie, włożył kapelusz, spódnicę podniósł i nakrył nią głowę, ^owiazując chustką u szyi, żeby się trzymała. Gdy świtacinlczęło, deszcz cokolwiek się zmniejszył, jadący zdrzemnęli się, Jankowi wypadł parasol z ręki, krzyknął, aby wózek się zatrzymał i wyskoczywszy pobiegł za zgubą.

Furman, zobaczywszy nagle dziewczynę przemienioną w chłopca, przeżegnał się i pomyślał sobie, że to albo urok, albo dyabeł stroi sobie żarty i dlatego tak ich wodził przez noc całą, aby zaprowadzić w ba- gniska i na bezdroża.

— Stój! stój! — wołał Janek.

— Zatrzymaj się! — zawołała pani Stefanowa.

Nic to jednak wszystko nie pomagało i im lepiej Janek krzyczał, a Stefanowa wołała, tym śpieszniej pędził firman i nic go do wolniejszej jazdy nie mogło skłonić.

Pomimo więc łajania, gniewa, fukań i odgrózek, Janek pozostał daleko, droga wsunęła się w las i w pół godziny później, wózek z ziejącemi końmi, obryzgany błotem, zatrzymał się przed niewielką karczemką, w której już z komina kurzyło się.

— Bogu dzięki, przecie pozbyliśmy się potępieńca! — zawołał furman, zeskakując z wózka. — To wyraźnie musiał być albo upiór, albo dusza pokutująca.

— Co tobie w głowie się roi! — krzychała Stefanowa, nie mogąc się w gniewie uspokoić. — Czyś dostał obłądu, żeś tak pędził bez upamiętania, i uciekał, jakby cię kto gonił?

— Oj! że gonił, to gonił, szkapiny moje dobrze to uczyły. Ale wiedziałem, jak sobie radzić i com śmignął biczem, to w powietrzu zrobiłem znak Krzyża Świętego, i dlatego potępieniec nie miał takiej mocy, jak zwykle!

— Co ten człowiek plecie? — wołała ciągle Stefanowa, — chyba mu złe rozum opętało.

— Oj! dobrze, że pani nie opętała, a ostrzył sobie zęby, bo słyszałem, jak niemi zgrzytał.

Jakkolwiek Stefanowa była pewną, że Janek pilnując się śladu, dojdzie do karczemki, jednak była bardzo niespokojną, jak tu się wykręcić przed zabobonnym prostakiem, że Janek nie jest chłopcem, tylko dziewczyną.

Niespokojność ta jeszcze bardziej wzrosła, gdy usłyszała, jak furman wszystkim opowiadał przygodę, jaka ich spotkała, a słuchacze z otwartymi ustami potakiwali i wierzyli opowiadaniu z największą ufnością w jego prawdziwość.

— A żebyście wiedzieli — mówił dalej furman, — co się działo ze mną, kiedym uciekał, to myślałem, że mi się zęby wyłamią co tak tłukły jeden o drugi. Ja patrzę, siedzi dziewczyna i imość gada, jak do dziewczyny. Ha! myślę sobie, jużćie dziewczyna, imość ją łaje, ona wzdycha, a ja się lituję, że' ma nad sobą taką sekutnicę...

Stefanowa przygryzła usta i miała ochotę dobrze wyłajać gadułę, ale się powstrzymała.

— A tu, moi kochani, — mówił dalej furman, — potępieniec beknął, jak zając, ja drgnąłem, a imość huź! na niego, że stęka! Ale jedziemy dalej, wtem co- sić za mną krzyknęło, obejrzę się, a tu pędzi chłopiec, jak ptak, ze skrzydłami przy łbie, jakby ze spódnicą podniesioną, i woła grubym dyabelskim głosem, a z gęby skry mu się sypią: stój! stój! Ale ja nie głupi, poznałem zaraz, że to upiór, dalej w konie, pędzę, biczem

tną bydłęta, a zawsze na krzyż!.. Szkapska też zmiarkowały o co ta idzie i gnały, co sił miały, aż wreszcie moc czartowska z upiorem opadła i został daleko za nami. ,

— A to dziwowisko!—dziwowali się słuchacze.— Ale skąd się on wziął z wami na wozie?

— A przysiadł się razem z imością w Zagrzebiu,-t- odrzekł furman.

Wszyscy spojrzeli na Stefanową i zaczęli coś szeptać' pomiędzy sobą, bacznie się jej przyglądając, a ta, chodząc niespokojnie po izbie, myślała sobie:

— Jeszcze gotowi wziąć mnie za czarownicę, zbrataną z Lucyperem i spławić w jakiej głębokiej kałazy.

— Nie wierzcie tema, — rzekła wreszcie, gniew tłumiąc, — co furman wam prawi. To była dziewczyna, com ją wiozła do wuja mego, a nie żaden upiór, ani potępieniec!

— Albo to prawda,— zaprzeczył furman,— cisnął na panią tuman i przybrał postać dziewczyny, żeby nas

na manowce wprowadzić i porwać do piekła. Upiory to różne sztuki umieją.

— Tak, tak! — potwierdzili wszyscy.

I zaraz taką o różnych przeszkodach, strachach, duszach pokutujących i tym podobnych baśniach rozpoczęli gawędę, że od Stefanowej zupełnie uwagę odwró- cili- z czego była bardzo zadowolona, bo naprawdę lękać się zaczęła, aby z pławieniem nie stała się jaka awantura.

— Jeszczeby tego brakło! — mówiła sobie w myśli.— Do ulewy, jakby jeszcze kąpiel przybyła;- to już- by chyba duszę ze mnie wystraszyli. Prostocie tej, choćby rąbał siekierą, to nie wybije z głowy upiorów i potępińców. Nic to nie umie, ani czytać, ani pisać, to wierzy wszystkiemu co słyszy, nawet, że są ludzie, co językiem szyją, a oczami tłuką orzechy. Jak tylko wrócę do domn, zaraz Tereskę muszę kazać przysposobić na nauczycielkę, bo między taką ciemnotą człowiek najmądrzy zgłupieć może z kretesem i stać się baranem, jak ten furman niedołęga!

Potem zaczęła szukać sposobu, jak wybrnie z kłopotu, gdy Janek przyjdzie do karczmy? Czy jeszcze

będzie przebrany za dziewczynę, czy też zjawi się we właściwej swej postaci?

Po długim wreszcie namyśle, postanowiła wyjść naprzeciw niego i na uboczu, zdała od gawiedzi karczemnej, porozumieć się z nim.

VIII.

Po deszczu dzień zapowiadał piękną pogodę. Słońce coraz wyżej wzbijało się nad horyzontem, w górze świegoliły skowronki, na trawie, liściach i krzewach perliły się krople deszczowe, odbijając światło słoneczne, jak brylanty; czasami zabrzączała mucha szukająca żeru, jaskółki bujały w przestworzu, a niebo coraz jaśniej świeciło lazurem, upstrzone tylko gdzieniegdzie białymi chmurkami, płynącemi spokojnie w dal okiem nieprzejrzaną.

Pilnując śladów wózka, Stefanowa coraz bardziej zapuszczała się w las, pomiędzy wzgórze i parowy, przystawała, nasłuchiwała, nic jednak powrotu Janka nie zwiastowało.

Nie mogąc pojąć, jaka tego przyczyna, przysiadła na przydrożnym kamieniu, potem wolno ociągając się i oglądając, powróciła do karczmy.

Wyprawa ta zabrała jej немало czasu, blisko ze dwie godziny. Furman na podwórzu stał przy wózku i smarował osie, przy karczmej zaś baryerze uwiązanych było kilka koni wojskowych, jedzących owies z koryta.

— Dobrze, że imość przyszła, — odezwał się furman, — bo do karczmy przyjechali żołnierze i tylko im się oczy migoczą, taką mają ochotę wziąć mnie na pod- wodę. Eonie w lot założę, to im uciekniemy. Z tem uciekaniem, to czysta kara Boża: w nocy przed upiorem, a teraz przed żołnierzami, tylko uciekaj i uciekaj !.. Bodaj nogi połamali!

Przy koniach siedział żołnierz zajęty jedzeniem: miał na sobie taki sam mundur, jak ci, którzy rewidowali mieszkanie Maliczków. Stefanowa nczuła uderzenie krwi do głowy i niespokojna, wszedłszy do izby, zobaczyła Janka siedzącego na ławie, z rękami w tył związanymi. Zarumieniła się, Janek spojrział na nią i przytknął oczy na znak, aby się nie przyznawała do jego znajomości. Pani Stefanowa odrazu to pojęła i w kil

A

ka minut odzyskując zupełną przytomność, zbliżyła się do karczmy, prosząc o szklanekę mleka.

— A skąd to panowie żołnierze jadą ? — zapytała.

— Z dwóch stron, — odrzekł z nich jeden, zdając się być starszym, i rozłożył ręce, wskazując palcami na prawo i lewo.

— O! coś po grubijańsku poczynacie sobie z kobietą, — odrzekła Stefanowa, — a ja nie przyzwyczajona do takiej niedelikatności.

— To się imość przyzwyczaj, bo wojna; już i ja jeszcze z większą niedelikatnością powiem, że zabierzemy furmankę, którą imość jedziesz.

— A to jakim prawem?

— Takim, że uchwyciliśmy na patrolu dezertera, to go musimy odstawić do głównej kwatery, a konia dla niego nie mamy.

— A to dopiero sprawiedliwość! — zawołała Stefanowa, udając wielkie oburzenie, chociaż w duchu cieszyła się takim obrotem rzeczy. — Żeby tam nie wiem co, ja furmanki mojej nie porzucę i muszę nią jechać...

— A któż imości broni? Możecie sięść razem z dezerterem, to wam obojgn będzie weselej.

Dla lepszego ukrycia swego zadowolenia, Stefanowa zaczęła głośno narzekać na ucisk, jakiego się na niej dopuszczają, groziła skargą do Jellaczyca, a nawet do samego cesarza, ale podoficer nic na to nie zważał, oświadczył stanowczo, że wózek zabiera, bo jeszcze przed wieczorem więźnia musi dostawić do głównej kwatery, czego nie dokona bez podwoły.

Pani Stefanowa napróżno krzyczała i odgrażała się, napróżno także wymawiała się furman, wszystko nic nie pomogło, i w pół godziny później w wózku siedział Janek skrępowany obok Stefanowej, a furman, choć się skrobał w głowę frasobliwie, poganiał mierzynki, aby pośpieszały z konwojem.

— Już ja cię nie opuszczę, — mówiła Stefanowa cichaczem do Janka, — i choćby psu z gardła, to cię wyrwę.

— Oj! żeby to imość mnie tak wydarła, — odezwał się furman z westchnieniem, — chociaż psu w gardle nigdy nie siedziałem.

— Oj! żebym tylko mogła, — odrzekła pani Stefanowa z niecierpliwością, — tobym was tak

wpakowała psu w gardło, żebyście tam siedzieli sto lat!

— Ja miałbym się z ogonem psim bratać! — z oburzeniem zawołał furman. — Czy za to, że mi upiór ledwo łba nie ukręcił, a teraz wloką mnie na podwoły na koniec świata? A któż to wszystkiego narobił, jak nie imość?

— To wasza sprawa, a nie moja!

— Co! moja sprawa? — zawołał z gniewem furman, zwracając się do Stefanowej, z czego korzystając konie przystanąły i rozpoczęła się kłótnia na dobre.

Furman podskakiwał na koziołku, Stefanowa podrygała, Janek ich' godził, ale go nie słuchano, gdy nagle furman uczuł, że go ktoś tak silnie uderzył batem przez plecy, że aż się przegiał, wrzeszcząc:

— O! laboga, krzyż mi przetrąciło! Czy upiór, czy co?

Obejrzał się i wnet przekonał, że to nie upiór tak się z nim obszedł brutalnie, ale żołnierz rozgniewany, że się zatrzymał, i że bat na nowo wzniesiony, pędzi ku jego plecom. Przegiał się więc, skurczył, głowę schylił, bat runął, ale już z mniejszym b3łem, tylko huknęło, jak młotem w kowadło.

— O, laboga! laboga! — wrzeszczał furman, poruszając szybko plecami, jak kamień w stępie, gdy wiele ziarno.

— Wara chłopie od klótni z więźniami, gdy jesteś na podwodzie! — krzyknął żołnierz.— Przystawać nie wolno, gdy oddział w marszu!

Biedak zbatożony spojrział z pod oka na żołnierza, z pragnieniem utopienia go, choćby w kropli wody, ale zapał do sprzeczeki zupełnie stracił.

Teraz Janek opowiedział, jakim sposobem dostał się w ręce żołnierzy, zawsze jednak z ostrożnością, aby go furman nie podsłuchał i nie domyślił się, że jest tym, którego wziął za upiora. W nocy nie mógł mu się dobrze przyjrzeć, teraz więc nie poznał go i był pewny, że to człowiek pierwszy raz przez niego widziany.

— Widząc, że wózka nie dogonię, — mówił Janek, a suknia ogromnie mi zawadzała, zdjąłem ją z siebie, i wtedy to wpadłem na oddział, jadący z patrolem, w którym jeden z żołnierzy poznał mnie i natychmiast zostałem przyaresztowany. Ucieczka była niepodobną, odwołanie się do hrabiego Szechenyego na nic się nie zdało, i związanego tu mnie przyprowadzono.

— Z matni tej jednak muszę cię wydobyć i mam nadzieję, że sposobności do tego nie braknie.

Nagle furman, zwracając się do jadących, zawołał :

— Moi państwo, spojrzycie, czy kapota nie pali mi się na plecach, bo mnife tak piecze, jak przy ogniu.

— A, pali się wam, ale nie kapota, tylko w głowie koszałki opałki!—odrzekła Stefanowa.

— Niech tam i tak będzie, — odrzekł furman, trzęsąc ręką, — ale, żeby tak jakoś od tych zbójów uciec się udało, tobym jeszcze lepiej zmiatał, jak przed upiorem.

— I my radziby to zrobić.

— A no, to zróbmy, choćby zaraz.

I zaczęto radzić we troje w największej tajemnicy, ale nic nie uradzono, wszystko okazało się niepra- ktycznym.

IX.

Tymczasem nadeszło południe, cały konwój zatrzymał się przy karczmie przydrożnej, i z wielkiem zmartwieniem spiskowców. Janka zabrano do izby.

O ucieczce więc nie było co myśleć, Stefanowa jednak nie dawała za wygraną, a furman miał wielką ochotę drapnąć, ale go dobrze pilnowano i żołnierz ciągle był przy nim na straży.

Konie zaprowadzono do obórki, aby je uchronić od upału i robactwa skrzydlatego, podano im owsa, a podoficer kazał przygotować posiłek dla całego oddziału.

Na więźnia tak młodego, a tak przyjemnego z powierzchowności, spoglądano z wielkiem współczuciem

I żalono się nad losem, jaki go czeka.

— Pewno go powieszają, — szeptało pomiędzy sobą, a podoficer, zapalając fajkę, poprawił:

— Wieszają dopiero za drugą dezercją, a za pierwszą roztrzeliwają, a on pierwszy raz dopuścił się dezercyi, to mu wsadzą kulę w łeb i wpakują do garnizonu na służbę przy wałach fortecznych!

Westchnienie ogólne dało się słyszeć w izbie, nawet Stefanowa westchnęła ciężko, a podoficer uśmiechając się, pomuskał wąsy i poklepał Janka po ramieniu.

— Cóż, zuchu, przeszedł cię dreszcz na tak straszną karę? — zapytał go. — Nie bój się: wszystko to zapewne skończy się na łozinie. Przystawią ci jaką setkę laskowych baniek i sprawa będzie skończona. A teraz bądź dobrej myśli, u nas czasem wbród wszystkiego, a czasami brak szklanki wody, ale zawsze wesoło i miniasto. Na Węgrach wino czysta małmazya, a my pójdziemy na ich ziemię.

Nie przyniosło to wielkiej pociechy dla Janka, ale po części już oswojony z niebezpieczeństwem, choć się trwożył o siebie, nie przestawał jednak myśleć, o sposobie ucieczki.

Podoficer burmistrzował po izbie karczemnej, jak we własnej kwaterze, kazał sobie robić jajecznicę i kielbasę, przyspasabiać wino grzane z imbirem, podawać słoninę węgierską z papryką, i kiedy w najlepszym czasie zbierał się do jedzenia, na podwórzu przed karczmą zadudniła ziemia, zabręczały pałasze, zaparskały konie, zwiastując nowych przybyszów.

Podoficer spojrzął przez okno i mruknął, kręcąc wąsem niecierpliwie:

— Dyabli przynieśli przeklętych pandurów, a to psiarstwo patrzy na nas, jak na wilków. Jest ich kilka dziesiątków, a nas pięciu, trzeba więc wynosić się, aby nie było jakiej awantury.

W Janka wstąpiła nadzieja. Niebawem wszedł do izby wachmistrz, szeroko drzwi otwierając i tak silnie, jakby je z ram chciał wyrwać. Czuł się silnym, a więc i hardym mógł być bezkarnie. Zatrzęsły się okna, brzęknęły szyby, z pułapu posypała się polepa, wachmistrz w kaszkiecie stanął na środku izby i zawołał rozkazującym głosem:

— Precz mi stąd, hołoto! bo ja Jarosz Hahaj, jak honor kocham, wachmistrz z kawalerii narodowej węgierskiej, zajmuję całą tę dziurę dla mego oddziału. Wynoście mi się w tej chwili! Precz!

— Panie wachmistrzu, — rzekł podoficer, przypasując pałasz do boku, i podsuwając się ku przybyszowi, nie zwróciliście uwagi, że terytorium zajęte jest przez mój patrol partyzancki.

— A cóż mnie to obchodzi? Patrol—to nie korpus, — odrzekł Hahaj, w którego wpatrzywszy się, Janek poznał w nim znajomego sobie wachmistrza, gdy z Jnrwasem i Gruzdą został przez niego w dole pochwycony.

— Partyzanci, to nie wojsko! — mówił dalej Hahaj, rozsiadając się na ławie. — Z jakiej dziury wyszliście, tam powracajcie, bo, słowo honoru, milion kroć sto tysięcy fur beczek, okrętów i batalionów, takiego wam nawarzę rosółu, że go nie przełkniecie, jak honor kocham!

— Hola! hola! panie wachmistrzu! — odezwał się podoficer, — jeżeli idzie o klęcie, to milion milionów bębów, kartaczy, żmii, ropuch, krokodyli i całego piekielnego arsenału wszystkich dyabłów w piekle i na ziemi, zawsze będę nad wami górą.

— A wiesz co, bracie, że mi się spodobałeś, —

odrzekł Hahaj, śmiejąc się i wyciągając rękę:—jak honor kocham, spodobałeś mi się, bo kto w języka dobry, to w ręku chrobry... tylko nie nadymaj tak brzucha, bo ja tego nie lubię, słowo honoru.

— Z takim zawsze stoję przed frontem, toć go na zawołanie nie podetnę, jak wasy.

— Dobrze powiedziane, jak honor kocham! A choć jesteś partyzantem, przerobionym na niego z karpackiego borsuka, wypijmy z sobą dzban wina, bo stary węgierski huzar umie bić, ale i pić także. Hej! panie karczmarzu, dajcie tu dzban wina, tylko dobrego.

Poznajomieni tręcili kubkami, wychylili duszkiem, znowu poprawili, i Hahaj otarłszy wasy, rozpoczął ga- wędkę o różnych szczegółach wojskowego życia. Stefanowa nie spuszczała ich z oczów, to zaprzyjaźnienie się ich tak nagłe nie spodobało się jej... Gdyby ich dało się pokłócić, możeby do ucieczki w zamęcie ogólnym znalazła się jaka sposobność. Nieznacznie przysunęła się do Janka, szepnęła mu słów kilka i potem usiadła tuż przy samym Hahaju, z niezmiernie silnem westchnieniem. Hahaj obrócił się, Stefanowa jeszcze silniej westchnęła.

— A imości co się zrobiło? — zapytał Hahaj,—

że mi nad uchem tak sapowato piejesz, jak kogut z pyciem ?

— A pieję, pieję, — odrzekła Stefanowa,—bo mi serce płacze, gdy patrzę na młodzieńca, co go partyzanci wiodą z sobą.

— A! to wasz więzień? — zapytał Hahaj,— a cóż wam przeszkrobał?

— Dezerterował z oddziału i teraz tylko przypadkiem wpadł nam w ręce.

— O! to mu dobre sprawcie smarowidło, słowo honoru, wart tego, wart, jak honor kocham!

— To go też spotka.

— To będzie wielka niesprawiedliwość, — odezwał się Janek, — bo Czuwas— to nie dowódca, ale zbójca.

— To prawda, słowo honoru! —zawołał Hahaj,— i kiedy tak, to takiej niesprawiedliwości nie dam po-

I pełnić zbójowi i więźnia zabieram- z sobą.

— To Mikos był hersztem opryszków, — odezwał się podoficer, — ale Czuwas jest nominowanym pułkownikiem.

— Jak honor kocham, masz słusność!—potwier

dził Hahaj.— Prawda, przypominam sobie, że sam czytałem nominację jego na ten stopień) Chłopiec jest więc dezterem, bierzcie go zatem i w łeb mn palcie.

— Ale jeszcze nie wykonałem przysięgi, munduru nie dostałem,—mówił Janek.

— Nie wykonałeś przysięgi? — zapytał Hahaj, — a to nie jesteś dezterem.

— Ale uczył się już mustry i odbywał ma- newra.

— Co, odbywałeś manewra? A to bratku jesteś dezterem, jak bonor kocham.

— Toć to przecie tylko partyzanci, a nie wojsko regularne! — odezwał się Janek, szukając różnych sposobów przeciągnięcia Hahaja na swoją stronę.

— To prawda, jak honor kocham, wielka prawda, nie jesteś więc dezterem, bądź spokojny, włos ci z głowy nie spadnie. Ja ci to powiadam, ja, Jarosz Hahaj, słowo honoru!

W tej chwili Stefanowa chciała szepnąć do ucha Hahaja, że mu da podarunek, byle tylko Janka wziął pod swoją opiekę, ale nagle zakreśliło się jej w nosie i kiedy z ustami już dochodziła do ucha wachmistrza, kichnęła tak silnie, że Hahaj złapał się za ucho i zaczął w niem palcem wytrząsać.

— A imości co za figle przychodzą do głowy? — zawołał, — że strzelasz do mnie z nosa, jak z armaty ?

— Ej! to nie z figłów, tylko z serdecznego uczucia,—odrzekła Stefanowa,—że pocziwego chłopca, choć niewinnego, a zrobiono dezterem.

— To imość powiadasz, że niewinny?

— Tak, panie wachmistrzu, a jeżeli kłamię, to niech mi język szydłem do podeszwy przybiją, i to do chodaka na śmiecie wyrzuconego.

— A jeżeli imość tak się zakłęła, — odrzekł Hahaj,—to, słowo honoru, wierzę imości!

— Ale co tam baby słuchać,—odezwał się podoficer,— plecie, a sama nie wie co.

— Kiedy ja baba, to acpan dziad!—zawołała Stefanowa, wyskakując ku podoficerowi, jakby się czepić go chciała.

— Idź asani do stn belzebubów!—fuknął podoficer, odsuwając rozgniewaną kobietę, która potoczywszy się, wpadła na Hahaja.

— Pułkownika! — wrzasnęła, — broń mnie, jam słaba kobieta, a ten gbur gotów mi zebra połamać.

— Prędeż język nrznąć, żeby nie paplał! — odrzekł podoficer.

— Czy słyszysz, pułkowniku, jak mi odgraża? — Błagam cię, weź mnie w swoją opiekę!

— Jak honor kocham, węgierski żołnierz dla kobiet zawsze jest z uszanowaniem.

— Ja też chcę wstąpić do armii węgierskiej, — odezwał się Janek, — i dziś jestem w służbie przy boku hrabiego Szechenyego.

— Jesteś przy boku hrabiego Szechenyego?

— W jego kancelaryi przybocznej.

— Czy słyszysz, panie dowódcu patrolu partyzanckiego? — zapytał Hahaj, zwracając się buńczucznie do podoficera.

— Być może, — odrzekł tenże, — ale to mnie nic nie obchodzi. — Szyldwach! wyprowadź więźnia z karczmy.

— A to zuchwalec dopiero, — mruknęła Stefanowa, — chce być pierwszym przed wszystkimi.

Szyldwach chciał spełnić rozkaz, Janek się oparł, Stefanowa wrzasnęła, że zemdleje.

— Zatrzymaj się imóść, bo teraz niema czasu na ratunek, jak honor kocham.

Krzyknął Hahaj i zwracając się do podoficera, mówił dalej: i

• — Wynoś mi się, chłystku obozowy, bo gdzie jestem, tam rozkazuję. Dalej z karczmy, hołoto, hej! pan- dury do mnie, więzień ten nie dezterter, jak honor kocham, tylko ochotnik do armii węgierskiej!

Podoficer, czując przewagę siły, której musiałby w końcu uleść, nakrzyczawszy się i naodgrażawszy, opuścił izbę karczemną. Janek odzyskał swobodę, Stefanowa tryumfowała, wachmistrz, jako zwycięzca, co chwila wyjeżdżał ze swoim honorem i oświadczył, że Janka aż pod Peszt podprowadzi, bo właśnie w tamtę udaje się stronę

Przy rozstaniu się z pocziwą kobietą, młodzieniec podziękował jej serdecznie za poniesione trudy i powiedział, że odebranej przysługi nigdy nie zapomni.

— Oho! — odrzekła, — ze mną nie łatwa sprawa, i jak się na co nwezmę, to żeby nie wiedzieć co, a swoje zrobię.

— Ej! niech imość lepiej siada, jak się przechwala, — odezwał się firman, — i co prędzej uciekajmy, ale manowcami, żeby nas znowu co nowego nie spętało.

X.

Działo się to wszystko na początku lipca 1848 roku. Janek jak tylko przybył do Pesztu, zaraz pośpieszył do hrabiego Szechenyego, u którego zastał hrabiego Bathanyego i Pawła, i złożył im szczegółowy raport o pobycie swoim w Zagrzebiu.

— Smutne nam, młodzieńcze, przywiozłeś wiadomości, — odezwał się Szechenyi, — ale na nieszczęście prawdziwe. Wszystkie prowincye słowiańskie, należące do korony węgierskiej, zwróciły się przeciw nam!..

Jak tylko Janek wyszedł z gabinetu hrabiego, za- * raz go pani Szulay zaciągnęła do swego pokoiku, gdzie już znajdował się marszałek liuzek, zajęty czytaniem

gazety, Powitali go z uczuciem serdecznej radości i zaraz zaczęli się wypytywać o ifowiny, jakie przywiózł z sobą z prowincji. Niepotrzebując już tańc celu swego wyjazdu, Janek opowiedział wszystko, co go spotkało w podróży, a szczególniej ostatni wypadek z przyaresztowaniem, z którego z tak wielkiem poświęceniem wydobyli go najprzód Maliczkanie, a później pani Stefanowa. Pani Szulayowa słuchając, ciągle wzdychała, łamała ręce i oczy podnosiła w górę, marszałek tabakierką kręcił, co chwila brał z niej szczyptę i pomrukiwał: hm! hm!

— Będzie w świecie niedługo gorąco,— odezwał się marszałek, — ale nasz hrabia to te wszystkie nieszczęścia przyplaci jaką wielką chorobą, bo już teraz wygląda, jakby z krzyża zdjęty.

— Panie święty! — odrzekła gospodyni, mrużąc oczy,—po co to proroctwami straszyc ludzi. Co się ma stać, to tylko Bogu wiadomo, .ale, poczciwy chłopcze, mam list do ciebie, który przyszedł w czasie twej nieobecności.

Był. to list od ciotki Barbary z dopiskiem obszernym Etelki, napelniony wielką niespokojnością o bezpieczeństwo Janka.

„Chłopcze! wracaj do nas, — pisała Barbara. — Powiadają, że Węgry bunt podnoszą, a to naród hardy, za nic nas ma Słoweńców, a Kroa- tów, toby piekło na wolnym ogniu, gdyby mógł to zrobić. Pan Tomasz zawsze teraz po huzarsku zakręca wąsy, a organista Cyryl łaje go, że*na stronę Węgier przechodzi. Tu wszystko przeciw Węgrom się obraca, ale ksiądz brat gani tę za- palczywość i powiada, że cała słowacka kraina przy nich stać winna. Siedzisz pomiędzy nimi, to sprawę całą znasz lepiej, tylko nie wpadnij w jaką biedę. U nas już zapomniano o tobie i o wypadku, który cię z Bożygrodu wypędził. Jak wrócisz, to przycupniesz, niby zając w miedzy, i nikt cię nie zaczepi”.

Etelka równie zachęcała go do powrotu, narzekając, że musi ojca Michała męczyć nauką, bo nauczyciel jej buja po świecie i ani pomyśli o Bożygrodzie.

.Niedawno, — pisała Etelka,— pan Tomasz utrzymywał, że przez matkę jesteś Węgrem, a mój dziadek dowodził, że .jesteś czystej krwi Słowakiem przez ojca, więc się na Węgra nie przerobisz. Z tego powstała ogromna sprzeczka, mój

dziadek aż się trząsał z gniewu, bo chociaż dawniej lubił Węgrów, ale teraz znienawidził ich, bo tu o nich różne chodzą wieści, że aż włosy stają na głowie. Jak też zaczęli dowodzić, sprzeczać się, przemawiać, i dziadek mój nazwał pana Tomasza pędrakiem madziarskim, tak ten wyzwał go na pojedynek, na pistolety. Usłyszawszy to, ledwo nie zemdlałam, bo przecie wiesz, że dziadek mój nie umie strzelać, ale na szczęście pogodził ich ksiądz proboszcz, powiadamiając, że oba są poganie, bo do bezbożności w gniewie dochodzą".

Janek, ucieszony odebrany listem, zaraz odpisał i starał się przekonać, że na sprawę węgierską błędnie się zapatrują, że wszyscy przy niej skupić się powinni i że odwodzący ich od tego, są ich wrogami, choć się głoszą za przyjaciół i obrońców.

Poczem wyszedł na miasto, do znajomego sobie ogródka, i wszędzie, gdzie zajrzał, największe panowało wzburzenie, wszędzie głośno rozprawiano z odgrózkami przeciw wicherzycielom, co w królestwie węgierskim waśnią ludy pomiędzy sobą.
.te: - -Hfc ••?.•..

Na drugi dzień, dnia 5 lipca 1848 roku, sejm węgierski rozpoczął na nowo swoje prace. Sala obszerna z wysokimi galeryami, za ledwie mogła pomieścić tak -deputowanych, jak i naród licznie zgromadzony. Na podniesieniu, pod którym mieściła się trybuna dla posłów głos zabierających, znajdowały się siedzenia dla palatyna, czyli namiestnika króla, księcia Stefana, i dla ministrów węgierskich, świeżo nominowanych. Dół cały był urządzony na pomieszczenie posłów, których już znaczna się część znajdowała i prowadziła z sobą ożywioną rozmowę. Szczególniej około jednego z nich więcej się posłów skupiało.

Był to człowiek lat 46 mający, blady, przychyłony i w twarzy znać było przebyte cierpienia, ale i niezmierną energię, jaka z niej tryskała.

Włos miał ciemny, głowę już łysiejącą, twarz pociągłą, ocienioną zarostem, szerokie czoło, oczy niebieskie, pełne życia, i oblicze, pewnym powleczone smutkiem. Postać jego, choć wątła, miała niewysłowny urok, zapowiadając duszę tkliwą i kochającą.

— Ten, — odezwał się Paweł do Janka, z którym razem znajdował się na galerii, — co go otacza tak liczne grono deputatów, to Ludwik Kossuth, wiel

ki mówca i wielki patriota. Syn ubogiego szlachcica, z rodu Słowak, zostawszy adwokatem, wydawać zaczął dziennik posiedzeń sejmowych, dotąd zawsze trzymanych w największej tajemnicy.

k Baz, coś w tydzień później po sesji sejmowej, gdy Janek znajdował się w gabinecie Szechenyego, wbiegł Bathyanyi mocno pomieszany.

— Niosę ci, hrabio, jak najniepomyślniejsze wieści, — rzekł zaraz przy wejściu. — Pomimo owej niby niełaski, Jellaczyc objął nad całym wojskiem cesarskim, znajdującym się w Eoacji i Sławonii, główne dowództwo, i przyłączył do niego różne bandy zbójckie, już poprzednio zorganizowane, i zamierza wkroczyć w granice Węgier.

— Jakto! — zawołał Szechenyi, — nie czekając, co cesarz odpowie deputacyi naszej, wyprawionej do Wiednia?

— I ta nic nie zrobiła, cesarz zbył ją samymi ogólnikami, nic stanowczego nie postanowił i tym sposobem wszelka nadzieja porozumienia się z Eroatami, bezpowrotnie zniknęła.

— Trzeba się jednak bronić do ostatniego, — odrzekł Szechenyi. — Eoaci nie są znów tak strasznym

przeciwnikiem, abyśmy skutecznie napaści ich nie odparli.

— Z różnym tałajstwem, — odrzekł Bathyanyi, — mogą mieć najwyżej około 60,000 wojska, ale to najgorsze, że dwór wiedeński posyła Jellaczycowi pieniądze, broń i amunicję.

— To niepodobieństwo, hrabio! — zawołał Szechenyi. — Po takich zapewnieniach i przyrzeczeniach, czy można przypuszczać...

— Wszystko było pozorne, jedynie dla uśpienia naszej czujności przedsięwzięte, — odparł Bathyanyi. — Ban nigdy łaski nie stracił.

Wtem nadeszła depesza urzędowa, rozpieczętowana ją szybko, i w niej odczytano następujące zawiadomienie :

.Ban Jellaczyc przeszedł Drawę, z całą armią dowodzoną przez siebie. Hrabia Adam Telehi, dowódca wojsk węgierskich, poddał się Eroatom bez wystrzału, oznajmiając, że nie może bitwy toczyć z Jellaczycem, zaprzysięgłszy, jak on, służyć pod jedną chorągwią. Sesya nadzwyczajna na dziś zwołana".

Szechenyi tak ncznł nieszczęście, spadł w tej chwili na Węgry, że słowa nie mogąc przemówić, patrzył w papier osłupiałym wzrokiem, jakby w nim mieścił się wyrok na śmierć go skazujący.

Pomału uspokojono go, uśmiechnął się smętnie, mówiąc:

— Chodźmy,—powtórzył Szechenyi, — wiadomość ta nie dlatego mnie zgnębiła, że jest złą, tylko że Węgier własnej ojczyźnie zadał cios w samo serce, g

Na sesyi nadzwyczajnej, postanowiono wezwać pa- latyna, księcia Stefana, do objęcia dowództwa nad wojskiem węgierskiem.

— Ban Jellaczyc, powiedziano, nie ośmieli się uderzyć na armię, dowodzoną przez księcia, należącego de rodziny cesarza. Byłby to już jawny bunt, czego ban nje ośmieliłby się dopuścić.

Palatyn wyprawionej do siebie deputacyi, jak najprzychylniejszą udzielił odpowiedź, powiadając, że gotów jest spełnić postanowienie narodu, ale pod warunkiem, że zawsze trzymać się będzie drogi legalnej, i nic nie zostanie postanowione, co by się sprzeciwiało prawu.

Tego też samego dnia wieczorem, wyjechał do obozn Kroatów. którzy nie doznając nigdzie oporu, jaki miał stawić Telehi, posuwali się coraz szybcfej i rozłożyli się nad jeziorem Balaton. Ale ban, ufny w opiekę Wiednia, nie chciał się widzieć z palatynem, czem ksiązę. Stefan zrażony, i przewidując krwawe starcie, oświadczył przydanym mu trzem komisarzom, że pewny rozlewu krwi, a nie mogąc go zatrzymać, usuwa się od wszystkiego i natychmiast wyjeżdża za granicę.

Szechenyi, jako jeden z komisarzy, usłyszawszy to, wyciągnął rozpaczliwie ręce do palatyna, jakby go gwałtem pragnął jeszcze zatrzymać, a potem nagle stanął na samym brzegu statkn i rzucił się w nurty Dunaju. Wyratowano go, otrzeźwiono, ale... nieszczęśliwy stracił wszelką przytomność i rzucał się, jak lew w pęta zakuwany.

Kiedy wrócono do Pesztu, przerażenie wszystkich opanowało. Nad biedakiem obłąkanym rozpaczała ro- * dzina, bolał naród cały, pojmując, jak wielkiego traci obrońcę.

Lud, zgromadzony nad Dunajem, dowiedziawszy się o wszystkim, zawrzał głuchym szmerem oburzenia, zapowiadającym straszną burzę. A gdy do tego ogłoszono urzędownie, że cesarz jedynie widzi możność

przywrócenia spokoju, jeżeli wyrzekną się wszystkich praw nadanym im, wrócą do dawnego stosunku, w jakim cesarstwu ulegali, że sejm zostanie rozwiązany i że dowództwo nad wszystkimi twierdzami węgierskimi oddane został Jellacycowi, cały naród zrozumiał, że mu już nic nie pozostaje, jak tylko wyżyć wszystkie siły i gwałt siłą odeprzeć.

Tymczasem w pałacu Szechenyego straszna odgrywała się scena. Chory rzucał się w zupełnej bezprzytomności, tak, że go z największym zaledwie wysiłkiem zdołano w domu zatrzymać. Zdawało mu się, że przez władze austriackie jest więziony i prześladowany.

Przywołany lekarz oświadczył, że to nagły atak krwi do głowy, sprawiony nadzwyczajnym wzruszeniem. Robił jednak nadzieję, że po zadaniu odpowiednich środków, przytomność dawna wróci i chory odzyska zupełnie zdrowie. 4

Odtąd w pałacu, już i tak cichym, jeszcze zrobiło się ciszej: wszyscy chodzili na palcach, szeptali do siebie pół głosem, na chorego bowiem najmniejszy ha-
MJ

łas bardzo szkodliwie oddziaływał i zaraz go niepokoił.

Pani Sznlayowa zamilkła znpełnie i załatwiwszy się z domową czynnością, z załamanemi rękoma, wpatrzona w jeden punkt, siedziała bez poruszenia. Marszałek również się zamyślał, czasem ujętą szczyptę tabaki długo trzymał w powietrzu, zanim ją poniósł do nosa, i potem wzdychając, spoglądał na gospodynię, mówiąc cicho: •

— Al Boże, co za nieszczęście! Co to będzie, jeżeli stracimy tak wielkiego patryotę?

Janek równie uczył nieszczęście, jakie dotknęło hrabiego, ale, jako najlepiej świadomy wszystkich spraw prowadzonych przez niego i akt do tego posługujących, ciągle był razem z Pawłem przy boku hrabiego Bathyanyi.

Ponieważ położenie rzeczy stało się coraz groźniejsze, pod przewodnictwem Kossutha ustanowiono komitet obrony narodowej, który zebrawszy wszystkie oddziały węgierskie, rozrzucone po całym kraju w liczbie 15,000, oddał pod dowództwo generała Moga, z rozkazem wyruszenia przeciw Jellacyzowi.

Jednocześnie przybył do Pesztu hrabia Lamberg, mianowany komisarzem przez rząd wiedeński i naczelnym dowódcą wojsk węgierskich, z poleceniem zaprowadzenia dawnego porządku i ujęcia wszelkiej władzy w swoje ręce.

Wiadomość o tem, ogłoszona publicznie, wywołała w mieszkańcach ogromne wzburzenie. Bathyanyi na czele całego ministerstwa węgierskiego, natychmiast udał się do komisarza Lamberga z oświadczeniem, iż ulegając woli cesarza, składa z kolegami swoje urządowanie.

— Pełniliśmy nasze obowiązki, — rzekł mu, — na mocy postanowienia cesarskiego, i robiliśmy wszystko, aby niesnaski nasze wewnątrz zakończyć na drodze wzajemnego porozumienia. Wystąpiliśmy w tej kwestyi na drodze legalnej, mającej na względzie nie tylko nasze prawa, ale i dobro całej monarchii, której rozbicie przewidujemy, jeżeli Kroaci do posłuszeństwa nie zostaną zmuszeni. Nie mogąc do tego przykładać ręki, usuwamy się od dalszego działania...

— O! nie, panowie, — przerwał hrabia Lamberg, — przeciwnie, powinniście mi dopomagać do zapewnienia porządku.

— To już jest niepodobieństwem, panie hrabio!— odrzekł Bathyanyi. — Cały naród znajduje się w roz- paczliwym położeniu i gdybyśmy przemówili do niego według twojej rady, zalecając nowe wysłanie deputacyi do Wiednia, wystąpiłby przeciw nam i...

— Trudność więc zaprowadzenia porządku,—przerwał z gniewem Lamberg, — podejmuję sam, skoro się panowie od tego usuwacie.

I rzekłszy to, bez pożegnania odwrócił się od ministrów węgierskich i poszedł do dalszych pokoi.

Zaledwie ministrowie opuścili pałac, hrabia Lamberg pojechał do Budy, tam obejrzał fortecę, wydał polecenia dowódcy i wsiadłszy do fiakra, rozkazał zawieść się do Pesztu. Na nieszczęście, nie miał przy sobie żadnej straży. Na moście, łączącym dwa miasta, tłum uzbrojonego ludu poznał go, wywłókł z powozu i zarażał kosami. • Był to fatalny niezmiernie wypadek, wojna rozpoczęła się niebawem.

Janek z Pawłem, zwolnieni ze swych obowiązków, zaciągnęli się do szeregów węgierskich, do oddziału Maurycego Perczela.

Ponieważ hrabia Szechenyi znajdował się w domu obłąkanych w DÓblingu pod Wiedniem, poszli więc przed wymarszem z Pesztu, pożegnać się z marszałkiem lluzek i z gospodynią, panią Szulayową. Zastali ich gotujących się do wyjazdu za hrabiną, która z dziećmi niedaleko od męża, przeniosła się na mieszkanie.

Pocziwa Szalayowa, pakując rzeczy, ciągle płakała, narzekając na wojnę i wszystkie jej okropności: lluzek był równie zasmucony, ale spokojniej przyjmował spadłe na nich nieszczęście.

Zobaczywszy młodzieńców, już zupełnie przygotowanych do wymarszu, serdecznie ich powitali.

— Niech was Bog błogosławi!— rzekła Szulayo- wa, łkając rozrzewniona. — Oto padł na nas sądny dzień, wszystko do wojny się sposobi, jakby chrześciań- stwo zginęło, a ludzie na nowo stali się poganami.

— Boża wola, — odezwał się lluzek, — a jeżeli imość jesteś chrześcianką, toś to powinna przyjąć z poddaniem, a nie z płaczem i grzesznem narzekaniem. Bóg wszystko sądzi i wszystkim rządzi, zaufać mu bez gra- nić, to naszym obowiązkiem.. Czyż my małe ziemi robaczki, możemy się porywać na odgadywanie wyroków

Boga, który taką mądrość rozlał wszędzie, gdzie tylko rzucić spojrzeniem i Ziemia naszą siedzibą, myśmy względem niej pyłki, które unosi lada podmuch wiatru, a ziemia także pyłkiem, wobec nieprzeliczonych miliardów światów, unoszących się w postaci malutkich gwiazdek nad naszymi głowami. Czemże więc my jesteśmy z całym naszym maluczkim rozumem, wobec Tego Niepojętego, który to wszystko stworzył?

— To prawda, panie marszałku,— odrzekła Szuleyowa, łzy obcierając,— ale jednak smutno serca, gdy padnie nieszczęście.

— Wiara powinna je łagodzić, ją całą duszą przyzwij w pomoc, a zdobędziesz jakby puklerz, osłaniający cię w każdym nieszczęściu.

Słowa te, zarówno rozumne, jak pocziwe, zbawiennie oddziały na Szuleyową. Uspokojona, zakrzętała się około poczęstunku młodych wojaków, a nawet stała się więcej rozmowną, niż zwykle.

— Jedzcie i pijcie, moje dzieci! — rzekła, podsuwając talerze. — W wojnie nieraz głodu przymrze cię i często kawałek chleba czerstwego stanie się dla was przysmakiem. [Panie Świąty!

Po najczulszem pożegnaniu i błogosławieństwie, batalion Perczela jeszcze tego dnia wyszedł z Pesztu, z rozkazem połączenia się z generałem Moga, już śpieszącym na spotkanie Kroatów.

XII.

Dzień 27 września 1848 roku, był pogodny i ciepły. Batalion, złożony z samych ochotników, dobrze uzbrojonych i uorganizowanych, szedł spiesznym marszem, a Perczel przewodził mu na koniu. Młodzież ożywiona wielkim zapałem, śpiewem chóralnym uprzyjemniała sobie trudy pochodu. Janek, jako muzykalny, przewodniczył śpiewowi, coraz nowsze zawodził pieśni, gdy wreszcie znać dano, że już dostrzeżono forpoczty korpusu generała Moga. Wysłano natychmiast wiadomość o swem przybyciu, wytchnięto chwilkę, i batalion uporządkowany w szeregi, przy odgłosie bębnow z rozwiniętą chorągwią, ruszył połączyć się z głównymi siłami.

Wynosiły one wówczas 15,000 samych starych żołnierzy. Moga ze sztabem wyjechał na powitanie nowo przybywających. Żołnierze, stojąc, przy ogniskach, wydawali okrzyki radości, powiewali czapkami, batalion podobnemi oznakami dziękował za doznane przyjęcie i zaprowadzony na miejsce dla siebie przeznaczone, rozłożył się obozowiskiem, rozpalając ogniska. Głód jnż dobrze dawał się uczuwać, ale w kotłach gotowało się mięso, w tornistrach 'znajdowały się zapasy wyniesione z Pesztu, nie było więc żadnej obawy o niedostatek, przynajmniej na dziś i na jutro.

Rozpoczęły się gawędy o różne rozprawy, piorunowano na Kroatów, przeklinano Austryaków, a szczególnie występowano z nienawiścią przeciw podłym szalbierzom, którzy z szatańską prawdziwie przewrotnością, zamiast po waśnionych godzić, rozjątrzyli niechęci tak dalece, że aż przyszło do wojny.

Na drugi dzień zwołano radę wojenną. Generał Moga oświadczył, że nadeszła wiadomość, iż Jellaczyc o jeden dzień marszu znajduje się w pochodzie, i że bitwa będzie nieuniknioną.

— Tem lepiej! — zawołał Perczel, — prędzej sił naszych spróbujemy.

— Przewidując też to, umyślnie panów zaprosiłem na radę wojenną,—mówił dalej Moga, abyście zdecydowali, czy z siłami naszymi słabemi, możemy się mierzyć z korpusem Jellaczyca, tak znacznie od nas liczniejszym, czy więc bitwę mamy przyjąć, czy też opuścić zajmowane stanowisko. Odpowiedzialności za przegraną nie chciałbym brać na siebie, radźcie zatem, a co uradzicie, to wykonamy.

Zdania były podzielone: ale Perczel z ogromnym ogniem wystąpił, zalecając przyjęcie bitwy.

— Z brzaskiem jutrzeńki, — mówił, — wpadniemy na nich, nieprzypuszczających, abyśmy się na wydanie bitwy pierwsi odważyli. To ich zmiesza, a nawet przerazi, a nasze wojsko ożywi i podniesie moralnie. Radzę więc bez wahania uderzyć na nieprzyjaciela i to natychmiast, jutro świtem, zanim odpocznie i do bitwy się przygotuje.

Po długich rozprawach, zdanie Perczela przemogło. Jellaczyc, ufny w przeważającą liczbą wojska, nadciągnął późno w nocy, i kiedy w obozie węgierskim pogaszono już ogień, tam dopiero je rozpalano. Oba obozy rozdziela niewielka przestrzeń porośła gęstymi krzakami i z jednej strony zasłana bagnami. Jak tylko świt błysnął małym rąbkiem na horyzoncie, oddziały węgierskie w największej ciszy zaczęły się wysuwać, artyleria podążać na wyznaczone stanowiska, i jak tylko ruch się objawił w obozie Jellaczyca, zagrzmiały działa i kolumny piesze ruszyły zaraz do ataku.

Bój był zacięty, trwał długo z rozmaitem powodzeniem. Jellaczyc, pewny zwycięstwa, a pragnąc jednym stauowczym ciosem rozbić nieprzyjaciela, wysłał całą swoją jazdę, aby zabrawszy, armaty wpadła z tyłu na niego. Przewidując to huzary, rzucili się na idące szwadrony i tak dzielnie natarli, iż rozbiwszy je, wpędziły na bagna, przy których tuż stała piechota węgierska.

To stanowczo zapewniło zwycięstwo nad Kroatami, klęska była najzupełniejszą, i cały korpus Jellaczyca w największym popłochu ruszył do odwrotu.

Straty jego były ogromne, Węgrów daleko mniejsze, Janek wyszedł szczęśliwie z pierwszej tej wyprawy, ale Paweł padł przy jego boku, i gdy pośpieszył nieść pomoc przyjacielowi, zastał go bez życia z głową na wylot przestrzeloną.

Zgnębiony stratą tak dla siebie wielką, ze łzami

w oku uściskał rękę poległego, ucałował go w czoło, i usłyszawszy sygnał, z bólem w sercu pospieszył do komendy.

Armia węgierska, uporządkowawszy się i chwilę odpocząwszy, pomaszerowała za uciekającym Jellaczycem, Perczel zaś z korpusikiem, złożonym z czterech tysięcy, odkomenderowany został przeciw generałom austrijskim, Rothowi i Filipowiczowi.

Cztery dni trwał pościg, forsownymi odbywany marszami, wreszcie dognano ich pod Taczem i po krótkiej utarczce tak obsaczono dnia 9 października, że choćby Eroatów było dziewięć tysięcy, ci, nie widząc dla siebie ocalenia, złożyli broń przed czterema tysiącami Węgrów, dowodzonych przez Perczela. Obaj generałowie, dwanaście armat i ośm sztandarów, dostało się w ręce zwycięzcy.

. / Nie zadawalniając się tem, dzielny ten wojownik, pragnąc szybkim działaniem i odwagą zastąpić szczupłe siły, jakimi rozporządzał, pociągnął natychmiast przeciw generałom Dahlen i Nugent, trzy razy od niego silniejszych, uderza na nich przy Ozora, rozbija, zabiera trzy działa, 1,500 niewolnika i na polu zostawia zabitych przeszło tysiąc Austriaków.

Na początku listopada pod Frydan, cofa się za rzekę Mur, a dowiedziawszy się o postępującym za nim generale Nugent, napada na niego nieprzygotowanego do zaczepki, powtórnie bije zwycięzko i wypędza za granicę Węgier.

Komitet obrony krajowej, wynagradzając tak świetne czyny Perczela, mianował go generałem i polecił połączenie się z armią węgierską, zostającą pod dowództwem Gergeja. Nastąpiła więc mała chwila wytchnienia, wojsko miało wypocząć po nużących marszach, odbywanych bez przerwy, i pójść dopiero w pochód, stosownie do rozkazu, wydanego przez komitet.

Janek, przez ten czas ciągłego niemal boju, stał się także dzielnym żołnierzem, nabrał doświadczenia, ogorzał, rozrósł się, zahartowali raz na ochotnika użyty do niebezpiecznej wyprawy dla wybadania sił nieprzyjaciela, sprawiwszy się w niej z wielkim zadowoleniem Perczela, zwrócił jego uwagę na siebie i dostał nominację na oficera, z przeznaczeniem jako adjutant w sztabie samego dowódcy.

Gdy po wypędzeniu generała Nugenta za granicę Węgier, korpus Perczela używał gpczynku, gotując się do połączenia z Gergejem, nadeszły wieści do obozu,

że rozbitki włóczące się napadają na wsie i dwory, dopuszczając się rabunku. Dla przekonania się, o ile wieści te są prawdziwe, Janek odkomenderowany został z małym oddziałem dla przejrzenia okolicy i dowiedzenia się o sile napastników.

XIII.

W okolicy wszędzie było cicho i spokojnie, ale wszędzie wieści powtarzały się, że zbrojne bandy dopuszczają się w dalszych stronach rabunków, i że wszyscy są w niezmiernej obawie, iż na nich wkrótce spadnie to nieszczęście. Janek mszył dalej jeszcze, i zaledwie od obozu oddalił się na milę, spuszczać się z lesistej wzgórzystej drogi, spotkał wieśniaka, pędzą, cego na koniu z największym pośpiechem i od niego dowiedział się, że do sąsiedniej wsi spieszy o wezwanie pomocy, gdyż banda jakaś wpadła do ich wsi, i gdy jedni dwór rabują, drudzy rzucili się na chaty.

Do wsi rabowanej było już niedaleko. Janek galopem z całym swym oddziałem wpadł do niej, ra

busie, usłyszawszy tętent koni, zaczęli się rozpiezchać na wszystkie strony, wymykać się tyłami, przeskakiwać przez płoty, przemykać przez ogrody, oddział popędził dalej, i kiedy dobiegał już do otoczenia dworskiego, z domu wybiegł, rosły jak dąb mężczyzna, za nim kilku innych, i dopadłszy koni stojących na podwórzu, tyłnemi zaułkami rzucili się w ucieczkę.

Był to Mikos. Janek poznał go, i natychmiast puścił się w pogoń z trzema jeźdźcami, a resztę oddziału pozostawił we wsi, dla chwytania rozpiezchłych rabusiów, i bronienia wsi mieszkańców od rabunków.

W stronie, w którą Mikos popędził, droga szła zaraz w zarośla, była wązka, pełna korzeni, skręcała się w różnych kierunkach, tak, że Janek, ciągle uciekającego, tracił z oczów i znów go przy skręcie widział w całej postaci. Gonił na chwilę nie ustawała; raz, na takim skręcie, Mikos zwrócił się i dał ognia. do Janka ale chybił, kula warknęła mu tylko koło ucha i zdarła czapkę z głowy jednego żołnierza. Mikos popędził dalej, Janek nie zatrzymując się z towarzyszami, zbliżył się już lepiej do uciekającego, ten dał ognia, ścigający go również wysłali trzy kule, koń postrzelony dał susa i padł na ziemię, przytłaczając całym ciężarem Mikosa. Upadek był ciężki i bardzo szkodliwy, bo się nie ruszył z miejsca i leżał jak nieżywy. Rzucono się na niego, rozbrojono i skrępowano ręce powrozami.

— Teraz możemy być zupełnie spokojni, — odezwał się Janek, że nam szkody żadnej nie przyniesie Gadzina ta, strasznie niebezpieczna, nawet pociętemu na sztuki, nie wierzyłbym czy nas nie ukąsi.

Mikos nie zabił się, tylko omdlał zduszony strasznym upadkiem. Przyszedszy do przytomności, gdy uczuł krępujące go postronki, spojrzął na Janka z najwyższą nienawiścią. Pozwolono mu odpocząć, w siodle znaleziono kilkaset dukatów, przy nim, w zaszytciu, także podobną kwotę, a gdy mu ją odbierano, zawołał :

— A! zostawcie mi przynajmniej część jakąś; czy. to się godzi obdzierać jeńca z ostatniego grosza?

— Nie jesteś jeńcem, tylko zbójem; a nad takim, nie ma litości, — odrzekł Janek.

— A! teraz sobie przypomniałem, — odezwał się Mikos, — to ty mój podkomendny, zwany rekrutem z pod Karpat. Witaj, bracie...

Janek ze wzgardą odwrócił się od opryszka.

— Nie chcesz mi podać ręki? miejże przynaj. mniej wyrozumienie dla mojej niedoli, — mówił dalej Mikos. — Nieszczęśliwym trafem dostałem się w twoje ręce, ale nie zapominaj, że los wojny zmienny i ja znów mogę zostać zwycięzcą, a ty pokonanym. Powinniśmy wzajemnie wspierać się, a nie znęcać jeden nad drugim.

— Ja też nie znęcam się, tylko robię to, co mi obowiązek nakazuje, — odrzekł Janek, i kazał Mikosa prowadzić przed sobą.

— Słuchaj, bracie, — odezwał się Mikos, — to coście znaleźli przy mnie, zabierzcie; dodam wam jeszcze drugie tyle i to dziś jeszcze, jeżeli przyrzekniecie puścić mnie na wolność.

— Nie marz nawet o tem, — odrzekł Janek, — bo zdaje mi się, że to ostatnia twoja wyprawa zbójcka.

— Nie ubliżaj mi, — zawołał Mikos, — bo jestem pułkownikiem, dowódcą partyzantów armii dowodzonej przez bana Jellacyca.

— To nie ma żadnego znaczenia; żołnierz, ceniący swoją godność, nie rabuje, tylko się bije, — odparł Janek; — a ty puściłeś się na rabunek i na rabunku zostałeś schwytany. Będziesz więc jak rabuś sądzony, nie jak żołnierz ulegający prawu wojennemu.

— Nie bzdurz darmol — odparł Mikos. — Właścicielka wioski, baba stara siedzi na dukatach jak kura na jajach, a skąpa jak szatan. Kiedym do niej przybył z oddziałem, rozbitym przez waszege przekłętę Perczela, byliśmy wygłodzeni, bosci, odarci, zażądałem więc pomocy, a że nie chciała udzielić jej dobrowolnie, zmuszony zatem zostałem do gwałtu. Czyż to zbrodnia?

— Sąd o tem^v nie do mnie należy, — odrzekł Janek, — wyrokować będzie właściwa władza o winie twojej.

Na wszystkie dalsze namowy Janek pozostał głuchym i jak nie dał się wzruszyć prośbą, tak i groźbie nie uległ choć straszył straszną zemstą zarówno swoją, jak i podkomendnych, i rządu anstryackiego.

XIV.

Gdy Janek powrócił do wsi, zastał sześciu jeszcze opryszków pochwyconych i w pętach leżących na ziemi. Janek, wydawszy odpowiednie rozkazy co do przygotowania posiłku i nakarmienia koni, poszedł zaraz do dworu dla zobaczenia się z samą właścicielką. Powiedziano mu, że przejęta przestraczem, jakiego ją napaść nabawiła, położyła się w łóżko i nikogo nie przyjmuje, ale że może się zobaczyć z siostrzenicą samej pani Ewoty.

Jakoteż niebawem weszła do pokoju młoda panienska, w żałobie, z głową owiazaną chustką, bardzo nieśmiała i widocznie wielce cierpiącą. Janek osłupiał; w nieznanym panience znalazł tak wielkie podobieństwo do Etelki, że gdyby nie możność, aby się tu znajdowała, byłby pewny, że ją widzi. Zkądżeby tu znaleźć się mogła, i to w stronie od Bożygrodu tak dalekiej? Patrzył więc na nią w milczeniu, pragnąc spojrzeć w oczy, które uporzyciwie trzymała spuszczone ku ziemi.

— Ciocia moja, — odezwała się wreszcie panienska, spoglądając na Janka...

— Etelka! — zawołał Janek po głosie i spojrzeniu, nie wątpiąc już, że ją widzi przed sobą! Etelko kochana, a ty co tu porabiasz?

— Janek! — zawoła Etelka z radością, — cóż za szczęśliwe zdarzenie, że się spotykamy! Anim przypuszczała, abyś był tym, który nas osłonił przed rabunkiem, a może i śmiercią. Ach! Janku, jakaż to radość dla mnie...

— O! i dla mnie niemniejsza, tak już dawno nie miałem od was żadnej wiadomości. Ale co ta żałoba znaczy?

— To po dziadku moim ukochanym, — odrzekła Etelka smutnym głosem. Gdy umarł i nie wiedząc co z sobą robić, chciałam pójść w służbę do miasta, ksiądz Michał wziął mnie pod swoją opiekę, a wiedząc o moich

krewnych, napisał do nich, i zaraz przybyła do nas pani Ewoty z oświadczeniem przyjęcia mnie na dalsze wychowanie. Jestem więc teraz n niej, i tak jest dobrą dla mnie, jak matka rodzona. Osoba to dość zamożna, zacna i pocziwa; jest mi n niej jak lepiej być nie może, ale nagle rozeszły się wiadomości o napadach band zbrojnych na dwory i osady wiejskie... Och! jakże byliśmy przestraszeni, gdy wpadli do nas zbójcy z żądaniem pieniędzy. Grożono nam strasznymi mękami, przykładano do piersi pistolety, szarpano, wymyślano. My, drżące przelęknione, oniemiałyśmy prawie z przerażenia... gdy na szczęście, Bóg zesłał ciebie na nasz ratunek... i zostałyśmy ocalone.

Etelka rozplakała się tak, że ją Janek zaledwie zdołał uspokoić.

— Nie płacz, moja Etelko,—mówił, — co prze`szło już nie powróci...

— Och! gdyby to tak być mogło.

— Tak będzie,— potwierdził Janek,— bo herszta zbójców, pamiętasz, owego Mikosa, który mnie w taką biedę napędził, uchwyciliśmy...

— To on tu był? Ach! jakiz to straszny człowiek.

— Od dziś dnia przestanie nim być, — odrzekł Janek. — Szubienica go nie minie, chciałem zaraz doraźnie się z nim załatwić...

— Ach! Janku, przestraszasz mnie...

— Żem taki okrutny? — zapytał Janek.

— Przecież tu idzie o życie człowieka.

— W wojnie, moja Etelko, patrząc na trupy tych, z którymi się przed chwilą rozmawiało, narażając się także co chwila na śmierć lub straszne kalectwo, człowiek twardnieje i oswaja stę nawet ze śmiercią.

— Jakże się cieszę, żem nie mężczyzną!

— To wielka szkoda, że nim nie jesteś, — od rzekł Janek,— bobyśmy razem z sobą w jednym pułk - służyli.,

— Och! nie chcę, — zawołała Etelka, — choćby mnie obiecano zrobić generałem.

— A jednak, któz wam nadbiegł z pomocą, jeżeli nie żołnierz, którym tak zdajesz się pogardzać?

— To prawda, ale rabunek dotknął nas skutkiem wojny.

— Nie jej to wina, moja Etelko, ale sławnego waszego Jellaczyca, który zbójców nie wahał się przyłączyć do swej armii, chociaż wiedział, że stokroć są

zdatniejsi do rabunku, niż do mężnego potykania się z nieprzyjacielem. U nas, w węgierskiej armii nie ma takich opryszków, to też trzepiemy Kroatów gdzie tylko się z nimi zetkniemy i nie mamy dla nich żadnej litości. Nakazałem całą wieś splądrować, czy się gdzie który nie przechowuje...

— Ach! Janku, — zawołała Etelka, — jakże mnie przestraszyłeś!

— A to z jakiego powodu? Czyżbyś chciała....

— Czy. i dom nasz będą rewidowali? — zapytała Etelka, pomijając zrobione zapytanie.

— Czyżbyście tu kogo ukrywali? — zapytał Janek, zobaczywszy z jakim przestachem Etelka wymówiła te słowa.

Dzieweczka zapłonęła i słów nie znalazła na odpowiedź.

— Oj! do licha, — zawołał Janek, — to rzecz bardzo podejrzana. Nie chciałem was rewizją niepokoić, ale obecnie muszę to zrobić...

— Janku! nie rób tego, — zawołała Etelka z największym przerażeniem. — błagam cię i zaklinam...

— Etelko, — przerwał Janek ze smutkiem, ale stanowczo, — obowiązek nie zna żadnych względów, i gdyby nawet mój brat rodzony był zbrojcą...

— Och! to nie zbrojca, — zawołała Etelka — tylko nieszczęśliwy, ranny ciężko i obecnie cokolwiek do sił przychodzący. Przywieziono go do nas zaraz po bitwie pod Pakordem. Biedak był postrzelony, porąbany...

— Jeżeli tak, to bądź spokojną, — odezwał się Janek, — zaręczam ci, że mu włos z głowy nie spadnie. Umiemy szanować żołnierzy, choćby nieprzyjacielskich, zobaczyć go jednak muszę i rozmówić się osobiście, gdyż w raporcie zrobię o nim wzmiankę. Gdzież on jest?

Etelka podeszła ku bocznej ścianie, wyłożonej obrazami i zbliżywszy się do jednego z nich, przedstawiającego jakiegoś rycerza w naturalnej postaci, zapukała, mówiąc:

— Proszę otworzyć, przyjaciele proszą oto!

Drzwi natychmiast rozwarły się, a były tak szczelnie w ścianie pomieszczone, iż niepodobieństwo było domyśleć się, iż tam się znajdują. Na progu podparty laską, blade, wynędzniały, okryty szlafrokiem, pokazał się jakiś mężczyzna, i chwiejnym krokiem postąpił do kanapy obok stojącej.

— Jestem oficerem z korpusu generała Perczela,— odezwał się Janek z grzecznością. — Znajdując się na rekonesansie, szczęśliwym trafem w czasie rabunku...

— Za pozwoleniem pańskim, — przerwał nieznajomy, — tak wielkie w nim znajduję podobieństwo do jednego z towarzyszy mojej po świecie włóczęgi, że mimowoli mnszę się zapytać, czy pan nie jesteś bratem lub blizkim krewnym Janka Kawasa, zwanego rekrutem z pod Karpat?

— Ja nim sam jestem, we własnej osobie, ale z kimże mam...

— Jakto, jesteś Jankiem Kowasem i nie poznajesz mnie?

Janek przyjrzał się, potrząsł głową i rzekł:

— Coś zdaje mi się, że rysy pańskie nie są mi obce, ale...

— Jak honor kocham!—zawołał nieznajomy, śmiejąc się, a on widzę na prawdę nie poznał mnie!

— Gruzda! — zawołał Janek.

— A ten ci sam, słowo honoru, jak to zawsze powtarzał świętej pamięci wachmistrz od pandurów!

— Tak, strasznieś zmizerowany...

— Ba! rąbano mnie i siekano kulami, jak mięso w jatkach, to nic dziwnego, że mnie połowa ubyła i teraz dyszę, jak szkapa dychawiczna. Kiedym pierwszy raz spojrział w lustro, to sam siebie nie poznałem.

— Biedaku, jakże cię żałuję!

— Wdzięczny ci jestem, że pamięć na nasze, choć krótkie koleżeństwo i wspólnie przebyte biedy...

— Takich rzeczy nie zapomina się nigdy.

— Gdyby nie ta dobra panienka i jej zacna ciotka, — mówił dalej Gruzda, — jużbym dawno spoczywał w ziemi, przyklepany łopatą grabarza.

— Jakże Bię tu dostałeś?

— Jak tylko powstałem na nogi, zaraz powlokłem się ku domowi, ale jakem się tu dopchał, dalej ani rusz... Czy pamiętasz, Janku?..

I zaraz Rozpoczęła się gawędka, co który porabiał, przez jakie wypadki przechodził. Oba zmienili się nie do niepoznania. Gruzda przez rany i chorobę, Janek przez zmężnienie, mundur oficerski i śmiałą postawę, jakiej nabrał podczas krótkiej swej służby. Nic więc dziwnego, że się nie poznali.

- Az Jurwasem, co się stało? — zapytał Janek.
- Zginął, mój bracie, pod Pakozdem, gdzie mnie tak pięknie poczęstowano. Gdym się ocknął, zdało mi się, że wbito na rożen i piekę się przy ogromnym ognisku.
- Biedny Jurwas...
- Co chcesz, mój bracie, toć i nas to nie minie. Miał on przeprawę z Czuwasem, a i ja także, w której o mało że nas stryczek nie spotkał. Na szczęście nadszedł Mastar z oddziałem, uwolnił nas i zabrał z sobą. Ale temu zbójowi nigdy nie daruję, że mnie przez dwie doby trzymał w lochu, i ledwo nie zagłodził. Umknąłem też przy pierwszej sposobności. ■
- Będzie ukarany, niech cię to choć trochę pocieszy!
- Co, co? A to jakim sposobem?
- Bo go schwytałem przy dzisiejszym...
- Gdzie go masz, gdzie, powiedz?'
- Leży na podwórzu jak baran związany.
- Ach! coż to za radość, zawsze mnie nazywał nochalem, iżem stracił kawałek nosa przy napadzie na furgon pocztowy. Chodźmy, a ty pozwól, że go za nos wytargam ze wszystkich sił swoich, i tak nim będę kręcił, i w prawo i w lewo, że zrobię z niego grajcarek do odkorkowywania butelek z nektarem wyciśniętym ze zgniłych jabłek i jaj zepsutych.
- Daj mu pokój, mój bracie,— odrzekł Janek,— odcierpi się on za swoje/ a znęcać się nad pokonanym nie należy. Trzeba mieć litość nawet dla takich jak on niegodziwców.
- Masz słuszność, słowo honoru, jak mawiał niegdyś ś. p. wachmistrz od pandurów.
- Czy już liie żyje?
- A kto go tam wie. Ale dla mnie każdy jest umarłym, o którym nie wiem co się z nim dzieje. Dlatego przez pamięć i na znak żałoby, przechowując jego przysłowie, mam nadzieję, że nieprędko zaginie. Ludzie w słowach są niezmiernie honorowi. Ale mniejsza o papłów, którzy się bezmyślnie honorowem posługują. Powiedz mi teraz, mój kolego, jak będę przez ciebie uważany? Czy jako wolny, czy jakoj jeniec wojenny?
- Z przykrością, ale zmuszony jestem ci oświadczyć, że jesteś moim jeicem wojennym...

— Ano, to dobrze że o tem wiem, — odrzekł Gfuzda i podniósł się z siedzenia, zabierając się do wyjścia. .

— A gdzie to, gdzie? — zapytał Janek.

— Idę testament pisać i rozporządzić mojem mieniem, żeby się snkcesorowie za łby nie wodzili. Jak honor kocham!

Janek wytłómaczył Grnździe, że inaczej zrobić nie może, że musi go uważać za jeńca, dopóki nim nie rozporządzi wyższa władza, ale że go zostawi w miejscu na zn pełnej swobodzie.

— Dziękuję ci serdecznie! — odrzekł Gruzda, wyciągając rękę do Janka — Gdyby bowiem przyszło mi znowu puścić się na włóczęgę, jako braniec wojenny, z pewnością wasze ambulansowe wozy wytrzęsłyby ze mnie duszę.

— Możesz się jednak przygotowaniem testamentu zająć, to nic jedno drugiemu nie przeszkadza!

— Mój Janku, pewny twej życzliwości, żartowałem tylko, — odrzekł Gruzda ze smutkiem, — gdyż wszystko co mam na sobie, to cudze, a nawet własna moja osoba już nie moja, tylko wasza.

— Pięknie ci się poszczęściło!

— Przewybornie, ani słowa, — odrzekł Gruzda,— ale pozostało mi jeszcze serce, i jeżeli niem nie wzgardzisz...

— Czy możesz wątpić?

Wtem do pokoju wszedł pandur w całym uniformie wojennym, i wróciwszy się do Janka, rzekł:

— Raportuję panu adjutantowi, że ja, Jarosz Hahaj, wachmistrz pandorów, wysłany z patrolem, mogę jeńców zabrać z sobą, stosownie do rozkazu.

Był to znany nam wachmistrz, tak często powołujący się na honor. Stał wyprostowany z wąsem sumiasto zakreconym. Janek poznał go odrazu, nie zdradził się z tem jednak. Gruzda nie był tak wytrzymały i patrząc na poważną minę Janka, a na postawę wachmistrza tak pełną uszanowania, rozśmiał się, zasłaniając usta chustką.

— W samą porę przybyłeś, pknie wachmistrzu,— odezwał się Janek.— Schwytani nie są jeńcami, tylko

rozbójnikami, odstawisz więc ich do obozu, a ja pośpieszę w dalszą okolicę, aby ją z tych opryszków zupełnie oczyścić.

— Spełnię rozkazy — odrzekł wachmistrz, rzucając spojrzenie na ciągle cichaczem śmiejącego się Gruzdę,— ale jak honor kocham, z opryszkami nie ma się co kłopotać i najlepiej powiesić na jednej gałęzi.

— To zrobisz wachmistrzu, co ci polecam! — odrzekł Janek stanowczo.

— Jestem na rozkazy pana adjutanta, — odrzekł Hahaj, salutując.

— Czy masz mi jeszcze co zaraportować? — zapytał Janek, widząc, że wachmistrz stoi w miejscu wyprostowany i nie myśli wychodzić.

— Już nic, panie adjutancie, tylko się dziwię — odrzekł tenże, wskazując na Gruzdę, — że ten pan błady, jak trup, a żółty jak ulęgalka, śmieje się tak uporczywie? To podejrzanę, słowo honoru, wartoby go wziąć do protokołu!

Janek rozśmiał się, Hahaj zrobił wielkie oczy i pokręcił wąsy.

— Nie dziw się. temu, panie wachmistrzu,—odezwał

się Janek,—a kiedy się zadość stało, 'co służba wymagała, powiedz, czy nas nie poznajesz?

— Nie, panie adjutancie, słowo honoru, jakim Hahaj!

— A czy pamiętasz tych trzech schwytyanych w dole, których stryczkiem miałeś poczęstować? — zapytał Janek.

— Z przeproszeniem, panie adjutancie, jak honor kocham, miałem ich rozstrzelać, nie powiesić, bo to były ostatnie łotry, obwiesie, nicponie, wyrzutki społeczne...

— Słowo honoru, nie prawda!—przerwał Gruzda.

— Jak honor kocham, oponuję...

— I ja oponuję, jak honor kocham! — zawołał Gruda.

— Wybacz, panie adjutancie, — odezwał się Hahaj, zwracając się z salutowaniem do Janka, — ale tu idzie o mój honor, i dlatego tego pana ulęgałkę wyzywam na pałasze, choć dość prochem do niego wystrzelić, ażeby się wyrócił.

— Nie nabrałbyś z tego chluby, panie wachmistrzu! — odezwał się Janek, przybierając minę urzędową. — Ale dość tych żartów! Jesteśmy właśnie ty mi, których niegdyś schwytałeś w dole ziemniaczanym i miałeś rozstrzelać, jak twierdzisz.

Nastąpiła chwila milczenia. Hahaj spoglądał to po Janku, to po Grazdzie, mrugał oczami, przestępował z nogi na nogę, wreszcie wyprostowawszy się, mruknął :

— Przepraszam pana adjutanta, słowo honoru, gdybym się mógł domyśleć, jak honor kocham...

— Ja jestem jednym z nich! — odrzekł Janek.

— A ja drugim, słowo honoru!—dodał Gruzda.

— A to ten zapewne, co miał takie brzydkie przyzwyczajenie—ciągle honor mieć na ustach?

— Ten sam,—odrzekł Gruzda,—i na znak naszej dla ciebie wdzięczności, przez pamięć twego wstawienia się za nami do komendanta...

— To prawda, jak honor kocham, i gdybym nie ja..

— Dość tego! — przerwał Janek,—na wojnie różnie bywa, a teraz możesz, wachmistrzu, odejść do swej komendy.

— Czy raportować mam ustnie? — zapytał Hahaj, przybierając postawę podkomendnego.

— Raport sam przygotuję i doręczę ci go przed

•wymarszem,—odrzekł Janek.—Za godzinę niech wszystko będzie gotowe.

Hahaj zrobił lewo w tył i wyszedł z pokoju, a Janek prosił Etelki o przybory do pisania, dla przygotowania raportu.

— Ach! Janku, — odezwała się Etelka, wprowadziwszy go do drugiego pokoju, — nie poznaję cię, tak się zmieniłeś i prawie' nie śmiem cię nazywać po imieniu.

— O! dla ciebie, moja Etelko, zawsze pragnąłbym zostać towarzyszem, jakim byłem w naszym kochanym Bożygrodzie. Tu co innego, muszę być posłuszny subordynacyi wojskowej, bo bez niej rozprzęglby się cały porządek, a armia przemieniłaby się w bandę opryszków, dla wszystkich bardzo niebezpieczną. •

— Zawszp to jednak dziwne dla mnie, — odrzekła Etelka,—że z owego wesołego Janka, co lubił pośmiać się i pofiglować, zmieniłeś się tak prędko w poważnego dowódcę. Gdyby cię ksiądz Michał zobaczył, z pewnością nie poznałby. Ciotka Barbara nie wiedziałaby, jak cię tytułować, a huzar, pan Tomasz, zwałby cię pułkownikiem.

— Poczciwi,— odrzekł Janek z westchnieniem,—

'<* | M

jakże radbym wszystkim im ucałować ręce za ich dla mnie życzliwość. Może już mnie zapomnieli?

— Co też mówisz? — zawołała Etelka.— Zawsze cię nazywają jedynym chłopcem i powiadają, że ci nigdy źle na świecie nie będzie, bo grzecznością, uprzejmością, uszanowaniem dla starszych i pragnieniem zrobienia każdemu jakiej przysługi, umiesz skarbić serca ludzkie, a takim zawsze Bóg błogosławi.

■— Nad zasługę mnie chwałą,—odrzekł Janek i dodał z westchnieniem,—czy też zobaczę ich kiedy?

— Ach! Janku, nie wąp o tem... Teraz wszyscy u nas już wiedzą, że nas obietnicami tylko ludzono, i wszyscy po stronie Węgier stanęli.

Janek nie mógł się długo cieszyć towarzystwem Etelki i tak niespodziewanie spotkanego Gruzdy. Służba powoływała go do dalszych w okolicy poszukiwać, choć więc z wielkim żalem, musiał się pożegnać i przygotować cały oddział do marszu. Żegnając się, polecił Etelce przesłanie pozdrowienia do Bożygrodu, a Gruź- dzie życzył szczęśliwego powrotu do zdrowia i wstąpienia potem do armii węgierskiej, jeżeli mu siły na to pozwolą.

— Mój bracie, jnż to z tego podobno nic nie bidzie! — odrzekł Gruzda. — Plastrów na mnie tyle co włosów na głowie, pochyrlam więc jakiś czas i pójdę za Jurwasem.

— Krzep się, bracie, jak możesz, a resztę oddaj woli Bożej! — odrzekł Janek, ściskając go na pożegnanie.

— A zajrzyj do nas jeszcze, Janku! — prosiła się Etełka, — jeżeli znów kiedy w stronach tych się znajdziesz.

— Z pewnością to zrobię, a teraz bywaj mi zdrowa, kochana Etełko! — odrzekł Janek już z konia. — Módl się za mnie i pamiętaj o swoim nauczycielu. Jakże wdzięczny jestem księdzu Michałowi, że trudził się nad moją nauką, której jedynie winienem to, czem jestem.

Janek, wyrzekłszy to, podjechał ku oddziałowi, stojącemu już w gotowości na drodze i czekającemu na swego dowódcę. W kilku susach stanął na jego czele, dobył pałasza, zakomenderował, i oddział ruszył w pochód. Janek, dopóki mógł dojrzeć, zwracał się do pozostałych na podwórzu, Etełka powiewała chustką. Gru-

»44

zda machał czapką, Janek odpowiadał na to poruszeniami szabli, a wreszcie oddział cały, spuściwszy się w dolinę, wszedł w gęste zarośla, zostawiając za sobą tylko tuman kurzu, długą wstęgą wijący się w powietrzu.

Na włóczędzie: Cz. II. 10

M5

ZAKOŃCZENIE.

W dalszej kampanii wojska austriackie, zupełnie rozbite i po części zniszczone, z granic Węgier zostały wyparte. Mimo to generał Gergej z całym swym korpusem złożył broń dnia 13-go sierpnia 1849 roku. W Węgrzech surma wojenna zupełnie przycichła i zapanowała ponura cisza.

Janek już więcej nie widział się z Etełką, w Bo-żygrodzie także nie był, domyślano się tylko, że musiał wyjść za granicę i tam szukać dla siebie przytułku. I długo nie miano od niego żadnej wiadomości, sądzono, że nie żyje: ksiądz Michał codziennie, przy odprawianem nabożeństwie, wspominał czule o swoim wychowaricu: pani Barbara ułała woskową świecę i ofiarowała przed obraz swej patronki. Przy pacierzu wieczornym świecę tę zawsze zapalała: huzar, pan Tomasz, często zachodził na plebanię dla dowiedzenia się, czy pismo jakie od niego nie nadeszło. Etełka W każdym liście to samo powtarzała zapytanie, ale wszystko na próżno, Janek jakby się zatracił, żadnej wieści od niego nie było.

Aż wreszcie list tak upragniony nadszedł, w którym Janek donosił, że znajduje się w Brussy, w mieście położonem naprzeciw Konstantynopola, w Turcyi azyatyckiej, i że zawiązał kompanię myśliwską przy stowarzyszeniu angielskiem wyrabiania bulionu, do którego zobowiązał się dostawiać potrzebną zwierzynę, mniej kosztowną od bydła domowego.

Działo mu się dość dobrze, przynajmniej nie dokuczała wielka bieda, wypytywał się o najdrobniejsze szczegóły domowe, o wszystkich dalszych i bliższych znajomych, a Etełkę prosił o wiadomości, choćby najdrobniejsze, które dla duszy jego wędnącej w tęsknocie będą, jak rośliny, ożywczą rosą, utrzymującą ją przy życiu wśród skwaru piaszczystej pustyni.

Etełka prośbie zadość uczyniła, i odtąd przez jakiś czas korespondencya stale prowadzoną była. Na

rzekał tylko Janek w następnych listach, że w młodości" nie wykształcił się w jakimś zawodzie specjalnie, w którym umiałby na chleb zarabiać.

„Umiem wprawdzie dobrze strzelać, — pisał w jednym ze swych listów, — zwierzyły tu mnóstwo, ale po rozwiązaniu się towarzystwa wyrabiania bulionu, które zbankrutowało, myśliwstwo mały mi przynosi zarobek, i musiałem je porzucić. Umiem także grać na organach, ale w Azy i, między Arabami i Turkami, żadnej to nie przynosi korzyści. Znam równie kilka języków, umiem nawet niezgorzej po łacinie, ale cóż mi z tego, kiedy ni z Turkiem ani z Arabem, nie mogę się rozmówić. Nie kłopotcie się jednak o mnie, dam sobie zawsze radę! W ubogim waszym Bożygro- dzie nauczyłem się jednej ważnej rzeczy, oto pracy ręcznej przy pługu i siekierze i wyrobiłem sor. bie odpowiedkie do tego siły fizyczne.. Przy tej umiejętności nie zginę z głodu i nawet mam nadzieję, że pomału dojdę do chleba więcej posil- niejszego”.

Z biegiem czasu, korespondencje Janka stawały się coraz rzadsze, widocznie nie wiodło mu się; blisko

przez rok nie dał o sobie żadnej wiadomości, później doniósł, że nległ ciężkiej chorobie, z której zaledwie się wygrzebał, i że znajdował się w pustkowiu odcie- tem zupełnie od świata cywiiizacyi, z którego nie mógł nawet listu przesłać przez pocztę.

Odtąd korespondencja zupełnie ustała. Był to ostatni list, jaki od niego odebrano, choć mu zaraz według adresu odpisano.

I tak przeszło lat kilka, aż wreszcie wyczytano w gazetach, iż okręt płynący do Egiptu wraz z całą prawie załogą utonął i na liście utopionych mieścił się Jan Kowas.

Gdy w Bożygrodzie przeczytano tę wiadomość, pani Barbara o mało nie zemdląła, a ksiądz Michał odprawił nabożeństwo za duszę ukochanego swego wychowanka. Na nabożeństwie tem wszyscy mieszkańcy wsi znajdowali się.

Dawny zaś huzar, Tomasz, wyrzezał z drzewa ozdobny krzyż, pomieścił na nim napis poświęcony pamięci poczciwego młodzieńca, i usypawszy mogiłę na miejscowym cmentarzu, wetknął krzyż w ziemię i zasadził obok cztery topólki. > /

Etelka była niepocieszoną; wychudła, zmizerniała. A gdy wkrótce ciotka jej, u której bawiła, umarła, znalazła się znowu bez żadnej dla siebie opieki. Zapisła jej jednak dwa tysiące reńskich, które odebrawszy; przenieśli się do Bożygrodu i tam za poradą księdza Michała założyła szkółkę wiejską i została w niej nauczycielką.

— Wszystkich naszych nieszczęść,—rzekł jej ksiądz. Michał,—głównym powodem jest brak oświaty, z czego źli tylko korzystają i wyzyskują tych, którzy jej nie mają. Kto ją szerzy, choćby w najmniejszym kółku, w jednej wiosce lub osadzie, choćby jednostkę jedną przemieni na myślącą istotę, ten staje się rzeczywistym dobrodziejem całej społeczności, bo jej światłem rozumu rozświeca drogę, którą postępuje, i nie daje zbaczać na manowse wiodące do nieszczęścia. Zawód nauczycielski—to krynica, z której tryska samo dobro na miłości chrześcijańskiej oparte. Bądź więc nauczycielką i niech ci Bóg błogosławi!

Odtąd życie w Bożygrodzie potoczyło się dawnym torem, cicho, spokojnie, zwyczajnie jak pomiędzy ludźmi oddanymi pracy pożytecznej. Zacny proboszcz spełniał swoje obowiązki z prawdziwym namaszczeniem świętości kapłańskiego stanu, modlił się, pocieszał, radził, uspakajał, wspierał, o ile stać go było, pani Barbara kłopotowała się gospodarstwem i zaradzała jak mogła, aby szpital nie świecił pustkami, a Etelka w pośród grona dzieci, chętnie jej bardzo przez rodziców do szkoły posyłanych, znajdowała prawdziwą pociechę w swym sieroctwie.

I tak czas upływał w Bożygrodzie. Nic się nie zmieniło, proboszcz tylko się cokolwiek pochylał, pani Barbara stała się troszkę zrzędniejszą, huzar Tomasz mniej butnym i porywczym, jak to było niegdyś, gdy organistę Cyryla wyzwał na pojedynek, a Etelka rozwinęła się i wyrosła na pannę urodziwą, nie wdziękiem kwiatka, który prędko przekwita i ginie, ale powagą myśli, dobroci i rozsądku, które świeciły jej w oczach i zdobiły lica powabem niczem niezniszczonym.

I tak upłynęło lat znowu kilka. Baz, w dzień świąteczny, na początku lipca, proboszcz w otoczeniu swej gromadki parafialnej, siedział na ganku wraz z siostrą Barbarą i słuchał czytania gazet przez Etelkę. Były one ważniejsze w tym dniu niż zwykle, bo obejmowały ogłoszenie przebaczenia wszelkich przewi-

Etelka była niepocieszoną; wychudła, zmizerniała. A gdy wkrótce ciotka jej, u której bawiła, umarła, znalazła się znowu bez żadnej dla siebie opieki. Zapisła jej jednak dwa tysiące reńskich, które odebrawszy, przenieśli się do Bożygrodu i tam za poradą księdza Michała założyła szkółkę wiejską i została w niej nauczycielką.

— Wszystkich naszych nieszczęść,—rzekł jej ksiądz. Michał,—głównym powodem jest brak oświaty, z czego źli tylko korzystają i wyzyskują tych, którzy jej nie mają. Kto ją szerzy, choćby w najmniejszym kółku, w jednej wiosce lub osadzie, choćby jednostkę jedną przemieni na myślącą istotę, ten staje się rzeczywistym dobrodziejem całej społeczności, bo jej światłem rozumu rozświeca drogę, którą postępuje, i nie daje zbaczać na manowise wiodące do nieszczęścia. Zawód nauczycielski—to krynica, z której tryska samo dobro na miłości chrześcijańskiej oparte. Bądź więc nauczycielką i niech ci Bóg błogosławi!

Odtąd życie w Bożygrodzie potoczyło się dawanym torem, cicho, spokojnie, zwyczajnie jak pomiędzy ludźmi oddanymi pracy pożytecznej. Zacny proboszcz spełniał swoje obowiązki z prawdziwym namaszczeniem

^{15P}

świętości kapłańskiego stanu, modlił się, pocieszał, radził, uspakajał, wspierał, o ile stać go było, pani Barbara kłopotowała się gospodarstwem i zaradzała jak mogła, aby spiżarnia nie świeciła pustkami, a Etelka w pośród grona dzieci, chętnie jej bardzo przez rodziców do szkółki posyłanych, znajdowała prawdziwą pociechę w swem sieroctwie.

I tak czas upływał w Bożygrodzie. Nic się nie zmieniło, proboszcz tylko się cokolwiek pochylił, pani Barbara stała się troszkę zręczniejszą, huzar Tomasz mniej butnym i porywczym, jak to było niegdyś, gdy organistę Cyryla wyzwał na pojedynek, a Etelka rozwinęła się i wyrosła na pannę urodziwą, nie wdziękiem kwiatka, który prędko przekwita i ginie, ale powagą myśli, dobroci i rozsądku, które świeciły jej w oczach i zdobiły lica powabem niczem niezniszczonym.

I tak upłynęło lat znowu kilka. Baz, w dzień świąteczny, na początku lipca, proboszcz w otoczeniu swej gromadki parafialnej, siedział na ganku wraz z siostrą Barbarą i słuchał czytania gazet przez Etelkę. Były one ważniejsze w tym dniu niż zwykle, bo obejmowały ogłoszenie przebaczenia wszelkich przewi

nień popełnionych w ostatnich zaburzeniach. Ucieszyło to wszystkich, rozwinęły się zaraz z tego powodu rozprawy, wymieniono tych, którzy z tego korzystać będą, gdy nagle psy poskoczyły z głośnem szczekaniem na drogę prowadzącą do probostwa. Niebawem pokazał się mały wózek, cały upakowany, okryty starannie ceratą i ciągniony przez małego zgrabnego konika. Przy nim szedł mały chłopczyna a za wózkiem postępował dorosły, silnej postawy mężczyzna, z długą brodą na piersi mu spadającą, w czerwonym fezie na głowie i w nbraniu tureckiem. Chłopczyna był również z turecka przystrojony.

Wszyscy zwrócili spojrzenie na gości tak niezwykłych i tak niespodziewanie przybywających, którzy zatrzymawszy wózek przed gankiem, zaraz przystąpili do zdjęcia ceraty osłaniającej wózek i wydobycia paczek pod nią się znajdujących. Turek, zajęty tą robotą, zachowywał najzupełniej milczenie. Wreszcie rzekł w języku serbskim, iż jest kupcem wędrownym z różnerai wyrobami tureckimi, że zbłądziwszy przypadkiem, dostał się w te strony i prosi o przyjęcie go na nocleg, gdyż podróżą uciążliwą tak on jak chłopiec i koń niezmiernie są utrudzeni. Prosił przytem o jaki posiłek, o chleb i mleko, przyrzekając za wszystko jak najuczciwiej zapłacić.

— Jutro rano,—dodał,—radbym puścić się w dalszą drogę, aby jak najprędzej dostać się do Zagrzebia, a stamtąd powędruje ku Wiedniu, jeżeli mi towaru wiele pozostanie.

Jakolwiek kupiec turecki źle mówił po serbsku i mówienie szło mu z trudnością, mieszkańcy zaś Bo-żygroda z serbskim językiem mało byli obeznani, jednak proboszcz zrozumiał, o co wędrowiec prosi i oświadczył, że mu chętnie użyje gościnności i pożywi na co stać będzie ubogi jego domek. Pani Barbara cokolwiek kwaśno przyjęła wędrownika, bo wiedziała, że głodnego musi nakarmić, ale pocieszona przyrzeczeniem zapłaty, wskazała na stodółkę pustą o tym czasie, i tam wędrownika zaprowadziła. Gdy wózek wjechał, kupiec zapał za nim wierzeje a chłopczyna poprowadził konika do studni dla napojenia. W stodole ozwał się przeraźliwy krzyk i nagle przycichł. Strwożeni włościanie, sądząc, że się coś stać musiało nadzwyczajnego, śmierć a może morderstwo biednej pani Barbary, poskoczyli pędem do stodołki, za nimi podążył proboszcz z Etelką, lecz jakże się zdziwili, gdy zobaczyli Bar-

barę trzymającą kupca w objęciach i płaczącą rzewnymi łzami.

— A to co, co się tu stało?—zapytał proboszcz, gdy gromada włościan zatrzymała się przy progu, zdumiona nadzwyczaj tem co ujrzała.

Pani Barbara łkając, nie mogła słowa przemówić, Turek także nie mógł się z jej objęć uwolnić, włościanie spoglądali na siebie zdumieni. Etelka zarumieniła się, huzar Tomasz pokręcił wąsy, wreszcie Turek rzucił się do kolan proboszcza i tuląc usta do jego ręki, zawołał:

— To ja, wasz Janek, wasz wychowaniec!

— Ty, Janek?—zawołano z wielkim zdumieniem, Janek Eowas?

— Tak, ten sam, Janek, wasz wychowaniec, wasz towarzysz..

— Więc nie utonąłeś na okręcie płynącym do Egiptu?

— Byłem na nim i utonąłem, ale cudem niemal ocalony zostałem. Morze wyrzuciło mnie na ląd a rybacy znaleźli i ratunku udzielili. Witajcie więc, moi drodzy, witajcie!

Rzucono się do Janka, nie zważając na jego tureckie szaty: powitań nie było końca, ledwo go w uściskach nie uduszono; proboszcz ścisnął go i błogosławił, Etelka ze łzami w oczach stała przy Barbarze, która ciągle coś mówiąc na przemian, to śmiała się to płakała, a Tomasz stał wyprostowany jak na służbie, patrząc na Janka otoczonego przez kochające go szczerze osoby.

W tem serdecznem powitaniu nieprędko się uspokojono.

— Co się ze mną działo na włóczędze, później opowiem — rzekł się Janek, gdy wreszcie mógł przyjść do głosu. Było to życie pełne troski i biedy dobrze mi dokuczającej. Gdy cokolwiek z niej wydobyłem się, taka mnie tęsknota opanowała za wami i ojczyzną, że pomimo świadomości niebezpieczeństwa, na jakie się narażam, postanowiłem wrócić do kraju, choćby na dni kilka, aby was zobaczyć. Dla lepszego ukrycia swojej osoby zmieniłem się na kupca tureckiego i tak wędrując, dostałem się aż do was, a zastawszy taką gromadę ludzi, nie wiedząc, czy ktoś w pośród niej nie znajduje się niebezpieczny dla mnie, nie wydałem się kto jestem. Gdym się znalazł sam na sam z ciotką

■jgBjlp

■ WI

Barbarą, nie mogłem dłużej wytrzymać! Ciotka kochana krzykiem radości wydała mnie, zachowajcież więc tajemnicę...

- Już niepotrzebna, przerwał proboszcz, w gazetach ogłoszono ułaskawienie!
- Bogu, niech będą dzięki! Mogę więc nie bać się, że was narażę na odpowiedzialność.
- Najzupelniej.

— Jakież mi ciężar spadł z serca!—odrzekł Janek. Tego najbardziej się lękałem, ale wy nie pojmujecie, co to jest tęsknota na włóczędze za domową strzechą. Poszedłem w postaci kupca tureckiego, bo w ostatnich latach przy handlu pracowałem i coś grosza uciułałem. W postaci więc kupca było mi najzręczniejsz wędrować po węgierskiej ziemi, ale za to przez kilka miesięcy wyrzekłem się własnej mowy i własnej osoby, mówiłem i modliłem się po turecku, przybrałem obyczaj turecki, sposób zachowania się, Turków aby tylko bezpiecznie dostać się do was, uściskać, ucałować, powiedzieć, jak się macie, pożegnać... i znowu puścić się może na potyrkę do końca życia. Pomału opowiem wam wszystko co was dotyczy... Ale co się dzieje z hrabią Szechenyi?

— Niedobrze, moje dziecko!—rzekł proboszcz.— Wieść o chorobie jego, gdy się o mało w Dunaju nie utopił, boleśnie dotknęła cały naród. Pomału gwałtowne jego obłąkanie zamieniło się w spokojną melancholię. Zaczął się nawet zajmować sprawami publicznymi, żył jednak samotnie, mieszkania swego prawie nie opuszczał, przyjmował chętnie licznie go odwiedzających rodaków, nerwowe przecież napady ponawiały się. Najmniejsza wiadomość niepomyślna z Węgier, czasem nawet silny łoskot, jak np. trzaśnięcie drzwiami, wprawiało go w obłąkanie. Raz, pomimo stanu jego zdrowia tak zrujnowanego, powzięto podejrzenie, że coś knuje, i odbyto rewizję w jego mieszkaniu. Jednocześnie dowiedział się o śmierci swego przyjaciela barona Josika, o nowem zachmurzeniu się horyzontu węgierskiego, o nowych jego nieszczęściach... wszystko to tak silnie uderzyło w osłabiony umysł Szechenyego, że nie mogąc dłużej znosić cierpienia, wystrzałem z pistoletu odebrał sobie życie.

- Nieszczęśliwy!—rzekł Janek, a cóż się dzieje z hrabią Bathyanymi?
- Zginął na rnsztowaniu wraz z drugimi.
- Pokój jego duszy!

— A Gruzda, Etelko, — czy przyszedł też do zdrowia?

— Odzyskał je, ale nieprędko; obecnie mieszka w Zagrzebiu, - ożenił się i utrzymuje sklep z winem i różnymi trunkami. Wiedzie mn się nienaj- gorzej.

I rozmowa długo trwała i byłaby się przez noc całą przeciągnęła, gdyby proboszcz nie przypomniał

O spóźnionej porze.

— Spać dzieci, spać! — wołał, — już półno- cek dochodzi, a jutro każdy musi stanąć przy swej pracy.

Choć z zalem, ale rozeszli się; radość wszystkim sen odebrała. Janek na klepisku w stodółce umieścił się. Nie mógł spać i jeszcze przed wschodem słońca ruszył na polowanie. Obciążony zdobyczą wielce radującą panią Barbarę, zastał proboszcza idącego do kościoła dla odprawienia zwykłego nabożeństwa. Na głos sygnaturki, wzywającej wszystkich do modlitwy, poszedł

1 Janek do świątyni, gdzie już z różnych stron podążali mieszkańcy Bożygrodu. Przy samych wrotach kościelnych spotkał młodzież szkolną pod przewodnictwem Etelki parami idącą do kościoła. Dziewczynki i chłopaczki, ubrani schludnie, z miłemi, wesołością oży- wionemi buziakami-, z książeczkami do nabożeństwa w rękach, przedstawiali niezmiernie zajmujący widok, serdeczny i pociągający zarazem. W oczach ich znać było, że to istoty zaczynające już myśleć i zastanawiać się, że jak ich powierzchowność nie miała na sobie już tej dzikiej niejako prostoty, jaką [zwykle spotyka się po wioskach szkółki nieposiadających, tak i w duszyczkach ich przyświecać zaczyna światło nauki, tej • dźwigni podnoszącej człowieka od najmłodszego wieku do godności mu przynależnej.

Gdy Janek oswoił się ze swem nowem położeniem i dość naopowiadał się o wypadkach, jakie mu się na tułactwie przytrafiły, zaczęła się narada, co ma z sobą dalej robić? Projektów było mnóstwo, ale jakoś żaden nie trafiał do jego przekonania.

— Gdyby wojsko było narodowe, — mówił, —chę- tniebym się zapisał do jego szeregów, ale służyć pod obcym sztandarem nie mam ochoty. Do urzędu, mnie nie przyjmą, prywatną służbę, niełatwo dostać coby przyszłość zabezpieczała, wreszcie zanadto przywykłem

do swobody i niezawisłości, abym obcej woli miał się poddać bezwarunkowo. Znam się cokolwiek na ku- piectwie, ale choć na niem zarobiłem trochę grosza, chwyciłem się go z konieczności bez zamiłowania* Rzemiosła nie nmiem żadnego, mógłbym go się wprawdzie jeszcze nauczyć, ale i jemu poświęciłbym się tylko z konieczności. Jedno mi więc tylko jak obecnie pozostaje, albo przyjąć gdzie obowiązki strzelca przy jakim dworze, dla dostarczania zwierzyny, albo na własnym kawałku roli wziąć się do pracy i oganiać się biedzie, dopóki Bóg życia pozwoli.

— To najlepsze, — odezwała się Barbara, bo się już z sobą nie rozłączymy.

— Zapewne, — odrzekł Janek, — to mi się najlepiej uśmiecha, tylko na zagospodarowanie nie posiadam tyle ile potrzeba. Poszukam więc gdzie miejsca na nauczyciela ludowego, na co z łaski ojca Michała dostatecznie jestem usposobiony, a i do czego czuję w sobie usposobienie.

" — Wybornie, — zawołała Barbara,—nam też brak nauczyciela...

— A Etelka, czyż już nie zajmuje tęgp miejsce?— zapytał Janek.

— To się ożeń z nią, będziecie dzieci razem uczyli, — odrzekła Barbara, — ona ma także trochę grosza z zapisu ciotki, ty również coś oszczędziłeś, to kupicie sobie gruntu i ucząc wspólnie i pracując, chleba wam nigdy nie braknie w naszym Bożymgrodzie.

Etelki nie było przy tej rozmowie, Janek nic nie odpowiedział. Proboszcz spojrział na niego i rzekł:

— Rada bardzo dobra, spełń ją Janku,* pobłogosławię wam i połączę ślubem małżeńskim. Brak mi także dobrego organisty, bo od śmierci poczciwego Cyryła, pełni obowiązki te uczeń jego, szewc miejscowy, ale że organy nie buty, które dobrze wyrabia chętnie ustąpi ci miejsca. Mógłbyś więc zpstać i organistą, a przy trzech zatrudnieniach, miałbyś zarobek nienajgorszy I cóż ty, Janku, na to?

— Projekt prześliczny, — odrzekł Janek, — ale przyznasz, księżę proboszczu, jak sam zawsze mnie uczyłeś, że zdobywać chleb posagiem żony, to poniżające dla mężczyzny.

— To tylko pomoc, nie posag, — odrzekł Proboszcz. — Dwa tysiące reńskich, to nie majątek...

— To ja mam więcej, bo dwa tysiące dwieście,— zawołał Janek, — ale nie wiem czy mnie Etelka zechce.

— Już ja to biorę na siebie, — odezwała się Barbara, — pomówię z nią i mam nadzieję, że się zgodzi. Tylko tajemnica, ani słówka nikomu)

Swaty udały się, i w miesiąc później, para młodych narzeczonych stanęła przed ołtarzem, aby przyjąć błogosławieństwo Kościoła, udzielone im przez zanego kapłana. Weselę było huczne, bo z muzyką i tańcami, na które wszyscy mieszkańcy wsi zostali zaproszeni. Każdy pośpieszył z jakąś ofiarą, tak, że kosztów przyjęcia nowożeńcy prawie żadnych nie mieli. Bawiono się ochoczo, prawie do rana, zabawa ponowiła się jeszcze na dzień drugi i trzeci, jak to u nas bywa między' ludem, i byłaby się przewlokła do całego tygodnia, ale Proboszcz zalecił umiarkowanie i wszyscy powrócili do przerwanej pracy.

W kilka tygodni później, nowożeńcy pojechali do Zagrzebia dla odwiedzenia Gruzdy, .Ma liczko w i Stefanów, którym Janek tak wiele zawdzięczał w czasie chwilowego pobytu w tem mieście. Wszyscy oniemieli

prawie z zadziwienia, zobaczywszy tego, którego mieli za straconego. Gruździe nieźle się wiodło w handlu, ożenił się z Tereską, córką Stefanów. Pani Stefanowa zawsze była jednakową, wiele mówiącą; Stefan, jak dawniej, nim komu co odrzekł, podnosił ramiona i poruszał głowę, co żonę jego do niecierpliwości przyprowadzało, a Maliczkanie przedstawili syna swego Oskara, już młodzieńca kilkunastoletniego, którego Janek od pewnej śmierci wyratował. Powitań, radości, śmiechu, przypominań wypadków minionych—nie było końca. Najbardziej wszystkich śmieszyło opowiadanie o woźnicy, który był pewny, że wywiózł z Zagrzebia potępieńca, z dziewczyny przemienił się nagle w chłopca i gonił go, aby kark mu skrócić i duszę porwać do piekła.

— Oj! nagadałam się mu nagadała, — odezwała się Stefanowa, — ale wszystko nic nie pomogło, i do dziś dnia jest pewny, że z upiorem miał spotkanie.

— A to walny z niego człowiek, — rzekł Gruzda, — twardy jak skała w swej głupocie, słowo honoru, jak powiadał niegdyś Jarosz Hahaj wachmistrz pandurów.

— Cóż się z nim dzieje?

— Zapewne dalej harcnie z honorem, według swego zwyczaju, bo z kampanii wyszedł z całą głową, tylko bez dwóch palców u lewej ręki. Pytał się o ciebie, mój Janku, powiedziałem mu, że zostałeś pułkownikiem w wojsku tureckim...

— Oj! ty zartownisiu.

— Uwierzył temn najzupełniej, i wyprostowawszy się, jakby stał przed tobą, kiedy to składał raport przy pochwyceniu Mikosa, odrzekł: — Jak bonor kocham, byłem pewny, że się to stanie, bo kiedy przy generale Perczełu został adjutantem, to przy sultanie tureckim wyjdzie przynajmniej na pułkownika, słowo, honoru! — dodał na zakończenie.

— Butna to sztuka... ; '-^Ji^S ty— I głupia, jak stołowe nogi, jak honor kocham!—
dodał Gruzda.

— Az Mikosem, co się stało? —zapytał Janek,— bo wiem, że temu gawronowi Hahajowi uciekł w drodze, kiedy go do Pesztu konwojował.

— Złapano go jednak'powtórnie przy nowym ra
BAMdMŁ iii

bunku, ale znowu uciekł i znów go złapano, i wówczas doraźnie bez sądu powieszono.

— Otóż i doczeka) się zasłużonej nagrody.

Po kilkudniowym pobycie w Zagrzebiu, nowożeńcy powrócili do Bożygrodu. osiedlili się w domku dla 'organisty przeznaczonym, w którym się teraz szkółka znajdowała; kupili całą jedną osadę, inwentarza i sprzętów gospodarczych, i nadto za namową Gruzdy i wyjednaniem kredytu, założyli mały sklepik z najniezbęd- niejszemi przedmiotami dla włościan. Rano więc Janek grał na organach; potem pracował przy gospodarstwie, w miarę potrzeby wyręczał Etelkę w szkole, nie zapomniał i o polowaniu, a przy sklepiku osadził jedną z kobiet, biedną wdowę, która chętnie się podjęła spełniać obowiązki sklepowej.

I życie płynęło im bardzo szczęśliwie. W pomyślności cieszyli się, w smutku i jakiej boleści krzepili się ufnością w miłosierdzie Boże, a nie zazdroszcząc nic nikomu, ciesząc się tem co posiadali, oszczędzając o ile mogli, przyszli do pewnej zamożności nawet, która obawę niedostatku zupełnie usunęła.

Skromność i umiarkowanie w żądaniu, to najpew-

niejsza droga uszczęśliwienia, bo szczęście nie w bogactwie się mieści, tylko w nas samych. Tak postępować każdy może, byleby uczył się, był pracowitym, dobrym, i wierzył w mądrość i miłość niepojętej Opatrzności Bożej. *

KONIEC